

RUTH RENDELL

Najprawdopodobniej najlepsza autorka
kryminałów na świecie – **Ian Rankin**

A
me
aga
H
Lyl
in
lin



Z NAJLEPSZYM! ŻYCZENIAM! ŚMIERCI



**Z NAJLEPSZYMI
ŻYCZENIAMI ŚMIERCI**

RUTH RENDELL

Tłumaczyła
Martyna Plisenko

Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI ŚMIERCI


Replika

Tytuł oryginału
From Doon with Death

Copyright © Kingsmarkham Enterprises Ltd, 1978
First published as From Doon with Death by John Long,
an imprint of Cornerstone. Cornerstone is part of the
Penguin Random House group of companies

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo
Replika, 2018

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Maria Ignaszak

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

skan i opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

ISBN: 978-83-7674-779-8

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 19
replika@replika.eu
www.replika.eu

Dla Dona

Złamałaś mi serce. Proszę, oto udało mi się to napisać. Nie po to, Minno, żebyś to przeczytała, bo ten list nigdy nie zostanie wysłany, nie skurczy się ani nie zniknie wśród śmiechu dobywającego się spomiędzy twych drobnych warg, delikatnych i wygiętych, śmiechu jak muzyka dzwoneków...

Czy mam ci opowiedzieć o oczekującej mnie Muzie? Mym pragnieniem było, byś wraz ze mną wkroczyła do jej podziemnego domostwa. O, wiosny Helikonu! Dzięki mnie pełna byś była strawy dla duszy, chleba prozy i wina poezji. Ach, Minna, wino... Oto różanoczerwienna krew trubadura!

Minno, nigdy nie wyruszę w tę podróż, boś widząc owo przywiezione przeze mnie wino, odwzajemniła się wodą obojętności. Chleb owinięty był w złoto, lecz ty wrzuciłaś jego kromki do garnca pogardy.

Prawdziwie złamałaś mi serce, a kielich na wino roztrzaskałaś o ścianę...

1

Zawołaj raz jeszcze Głosem, który zna:
Margaret, Margaret!"

Matthew Arnold,
*The Forsaken Merman*¹

- Panie Parsons, wydaje mi się, że nieco pan wyolbrzymia - powiedział Burden. Był zmęczony i zamierzał zabrać żonę do kina. Poza tym pierwszą rzeczą, jaką zauważył, gdy Parsons wprowadził go do tego pomieszczenia, były książki na regale przy kominku. Same tytuły byłyby wystarczające, by najbardziej opanowany człowiek zaczął się denerwować, a już na pewno wystarczające, by człowiek zrobił się niespokojny, choć nie było po temu powodu: *Palmer truciciel, Proces Madeleine Smith, Trzy utopione narzeczone, Słynne procesy, Znane procesy brytyjskie.*

- Nie sądzi pan, że te lektury mają wpływ na stan pańskiego umysłu?

- Interesuję się zbrodnią - oświadczył Parsons. - Takie mam hobby.

- Widzę. - Burden nie miał zamiaru siadać, jeśli mógł tego uniknąć. - Proszę posłuchać, nie można powiedzieć, żeby pańska żona faktycznie zaginęła. Jest pan w domu od półtorej godziny, a jej tu nie ma. I tyle. Pewnie poszła do kina. A skoro już o tym mowa, to właśnie wybieram się tam z własną małżonką. Przypuszczam, że spotkamy

¹ Cytaty na początku każdego rozdziału oraz wpisy w książce Minny pochodzą z *Oksfordzkiej księgi wierszy wiktoriańskich.*

ją, gdy będzie wychodziła.

- Panie Burden, Margaret nie robi takich rzeczy. Ja ją znam, a pan nie. Jesteśmy małżeństwem od prawie sześciu lat i przez ten czas nigdy się nie zdarzyło, żebym wrócił do pustego domu.

- Powiem panu, co zrobię. Wpadnę tu w drodze powrotnej. Ale może pan być pewien, że do tego czasu będzie w domu. - Ruszył w stronę drzwi. - Niech pan pojedzie na posterunek, jeśli pan chce. To w niczym nie zaszkodzi.

- Nie, nie zrobię tego. Tyle że pan mieszka na tej samej ulicy i jest policjantem...

I nie jestem na służbie, pomyślał Burden. To lekarz, nie policjant, przyjmuje na boku prywatnych pacjentów. Założę się, że gdyby musiał wnieść opłatę, to nie byłby taki zainteresowany moimi usługami.

Siedząc w pustawej sali kinowej, pomyślał: W sumie to zabawne. Normalne, zwyczajne żony, tak konwencjonalne jak pani Parsons, żony, które zawsze na szóstą mają dla mężów gotowy posiłek, nie wychodzą ni z tego, ni z owego, nie zostawiając żadnej kartki.

- Zdaje się, że mówiłaś, że to dobry film - szepnął do żony.

- Cóż, krytykom się podobał.

- Och, krytykom - mruknął.

Inny mężczyzna, to mogło być to. Ale pani Parsons? Albo mógł się wydarzyć wypadek. Był nieco niefrasobliwy, nie każąc Parsonsowi zaraz zadzwonić na posterunek.

- Kochanie, posłuchaj - powiedział. - Nie mogę usiedzieć. Zostań i obejrzyj film do końca. Ja muszę wrócić do Parsonsa.

- Szkoda, że nie wyszłam za tego reportera, który był dla mnie taki miły.

- Chyba żartujesz - powiedział Burden. - Siedziałyby po nocach, zajmując się gazetą. Albo sekretarką wydawcy.

Ruszył w górę Tabard Road, a potem spacerkiem podszedł do wiktoriańskiego domu, w którym mieszkali Parsonsowie. Był zupełnie ciemny, zasłony w wielkim wykuszu na dole były zasunięte. Stopień był pobielony, a jego mosiężny karb wypolerowany. Pani Parsons była schludną kobietą. Była? A dlaczego nie nadal jest?

Parsons otworzył drzwi, zanim inspektor zdążył zapukać. Nadal wyglądał porządnie, schludnie ubrany w podniszczony garnitur i starannie zawiązany krawat. Twarz jednak miał zielonkawoszara. Taki kolor Burden widział raz w kostnicy na twarzy topielca. Żeby pomóc dziewczynie, która przyszła go zidentyfikować, z powrotem nałożyli okulary na gąbczasty nos.

- Nie wróciła - powiedział. Głos miał taki, jakby kłuła mu się grypa. Ale przypuszczalnie był to tylko lęk.

- Napijmy się herbaty - zarządził Burden. - Napijemy się herbaty i porozmawiamy o tym.

- Bez przerwy się zastanawiam, co się z nią stało. Tutaj jest tyle przestrzeni. Zresztą jak ma być na wsi.

- To przez te książki, której pan czytuje - stwierdził Burden. - To nie jest zdrowe. - Znowu przyjrzał się błyszczącym okładkom. Na grzbiecie jednej z nich była sterta pistoletów i noży na tle czerwonym jak krew. - To nie dla amatora - powiedział. - Mogę skorzystać z telefonu?

- Jest we frontowym pokoju.

- Zadzwoń na posterunek. Może są jakieś informacje ze szpitali.

Pokój frontowy wyglądał tak, jakby nikt nigdy w nim nie siadywał. Z lekką konsternacją zauważył jego wypolerowaną biedę. Jak dotąd nie wpadł mu w oko ani jeden mebel, który miałby mniej niż pięćdziesiąt lat. Burden bywał w najróżniejszych domach i potrafił poznać antyki, gdy je widział. Ale to antyki nie były i nikt nie wybrałby ich, bo były piękne albo rzadkie. Były po prostu stare. Dostatecznie stare, żeby były tanie,

pomyślał Burden, a jednocześnie na tyle nowe, żeby nie były drogie. Zagwizdał czajnik, a on usłyszał, jak Parsons tłucze się w kuchni. Na podłodze roztrzaskał się kubek. Dźwięk był taki, jakby zachowali starą betonową podłogę. To by wystarczyło, żeby przyprawić o dreszcze każdego człowieka, pomyślał znowu, który by zasiadał w jednym z tych pokoi o wysokich sufitach, nasłuchiwał niewyjaśnionych poskrzypywań ze schodów i kredensu, czytał o truciznach, szubienicach i śmierci.

- Zgłosiłem zaginięcie pańskiej żony - poinformował Parsonsa. - Ze szpitali nie było żadnych doniesień.

Parsons włączył światło w pokoju z tyłu i Burden poszedł za nim. W lampie z pergaminowym abażurem, która wisiała u sufitu, żarówka musiała być słaba. Jakieś sześćdziesiąt watów, pomyślał Burden. Klosz kierował całe światło w dół, sufit ze sztukateriami w formie pękatych owoców pozostawiając w mroku i znacząc narożniki głębszymi cieniami. Parsons postawił kubki na szafce, wielkiej, mahoniowej, która ze swoimi kondygnacjami, galeryjkami i wystającymi, guzowatymi półkami wyglądała raczej jak jakiś fantastyczny drewniany dom niż jak mebel. Burden usiadł na krześle z drewnianymi poręczami i sztruksowym obiciem. Od linoleum ciągnęło mu chłodem po nogach.

- Ma pan w ogóle jakiś pomysł, dokąd mogła pójść pańska żona?

- Zastanawiałem się nad tym. Przekopuję mózg. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- A jej przyjaciółki? Jej matka?

- Jej matka nie żyje. Nie mamy tu żadnych przyjaciół. Przeprowadziliśmy się tutaj dopiero sześć miesięcy temu.

Burden zamieszał herbatę. Na zewnątrz było duszno, wilgotno. Tutaj, w tym mrocznym domu o grubych ścianach, jak przypuszczał, zawsze musiało być jak zimą.

- Proszę mnie posłuchać - powiedział. - Nie chcę tego mówić, ale ktoś będzie musiał zadać panu to pytanie.

Równie dobrze to mogę być ja. Czy to możliwe, żeby zniknęła z jakimś mężczyzną? Przepraszam, ale musiałem zapytać.

- Oczywiście, że pan musiał. Wiem, wszystko tam jest. - Poklepał szafkę na książki. - To tylko rutynowe pytania, prawda? Ale myli się pan. Nie Margaret. To śmiechu warte. - Zamilkł, nie śmiejąc się. - Margaret to dobra kobieta. Jest lektorką w kościele wesleyańskim² w dole ulicy.

Nie ma co drażnić, pomyślał Burden. Kto inny będzie go pytał, zagłębiał się w jego życie osobiste, czy mu się to będzie podobało, czy nie, jeśli jego żona nie wróci do domu ostatnim pociągiem lub ostatnim autobusem parkującym w zajezdni Kingsmarkham.

- Przypuszczam, że dom pan przeszukał? - zapytał.

Od roku przejeżdżał tą ulicą dwa razy dziennie, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy dom, w którym przebywał, miał dwa piętra czy trzy. Jego policyjny mózg próbował pozbierać obrazy z policyjnego oka. Na dole okno wykuszowe, powyżej dwa odsuwane okna i - tak, dwa okienka pod nawisem krytego łupkiem dachu. Brzydki dom, pomyślał, brzydki i ponury.

- Sprawdziłem w sypialniach - powiedział Parsons. Przestał chodzić po pokoju, a nadzieja zabarwiła mu policzki. - Myśli pan, że może być na strychu? - zapytał, a strach na nowo powlókł je białą. - Zemdląca czy coś takiego?

Mało prawdopodobne, żeby nadal tam siedziała, gdyby tylko zdarzyło jej się zemdleć, pomyślał Burden. Gdyby chodziło o wylew do mózgu czy jakiś wypadek, to owszem.

- Najwyraźniej musimy sprawdzić - stwierdził. - Uznałem za pewnik, że pan to zrobił.

- Wołałem. Rzadko tam w ogóle zaglądamy. Nie

² Kościół wesleyański - jeden z ruchów w ramach Ewangelicznego Kościoła Metodystycznego, założony przez Jana Wesleya.

korzystamy z tamtych pomieszczeń.

- Chodźmy - powiedział Burden.

Światło w korytarzu było jeszcze słabsze niż to w jadalni. Mała żarówka słabo oświetlała pleciony, różowawy chodnik i brązowe linoleum we wzór klepki parkietowej. Parsons szedł przodem, a Burden wspinał się za nim po stromych schodach. Dom był spory, ale materiały użyte do budowy kiepskie, a jakość wykonania marna. Na piętrze było czworo drzwi, drewnianych, ale bez ozdób i lichy wyglądających. Prostokąty sklejkki w ich ramach przywodziły Burdenowi na myśl zabite otwory okienne w starych budynkach.

- W sypialniach sprawdziłem - odezwał się Parsons. - Wielkie nieba, a ona może leżeć bezradna tam, na górze!

Pokazał na wąski, pozbawiony chodnika ciąg schodów, a Burden zauważył, że powiedział "Wielkie nieba!", a nie "Boże!" albo "Mój Boże!", jak mogliby zrobić inni.

- Właśnie mi się przypomniało, że na strychu nie ma żadnych żarówek w lampach. - Parsons wszedł do frontowej sypialni i wykręcił jedną z głównej lampy. - Proszę uważać, jak pan stawia stopy.

Na klatce schodowej panowała smolista ciemność. Burden otworzył drzwi, które się przed nim pojawiły. Do tej pory był pewien, że znajdą ją rozciągniętą na podłodze i możliwie najszybciej chciał mieć to znalezisko za sobą. Przez całą drogę na górę wyobrażał sobie minę Wexforda, gdy mu powie, że cały czas tam była.

Ze strychu powiało stęchłym chłodem pomieszanym z wonią kamfory. Pokój był częściowo umeblowany. Burden widział zarys łóżka. Parsons wszedł na bawełnianą narzutę, żeby wkręcić żarówkę. Podobnie jak te na dole, świeciła słabo, a jej blask przebijał się anemicznie przez mrok podziurawiony drobnymi otworkami, znacząc sufit i koślawe ściany żółtawymi kropkami. W oknie nie było zasłony. W czarny kwadrat okna wpłynął jaskrawy, zimny księżyc i zniknął znowu

pod wystrzępionym skrajem chmury.

- Tu jej nie ma - stwierdził Parsons. Jego buty pozostawiły ślady w białym kurzu, który pokrywał łóżko jak całun.

Burden uniósł narzutę, a potem zajął pod łóżko, jedyny mebel w tym pokoju.

- Chodźmy dalej - powiedział.

Parsons znużonymi, irytująco powolnymi ruchami ponownie wykręcił żarówkę. Teraz ich drogę oświetlał tylko zimny blask wpadający przez okno. Kolejne pomieszczenie było mniejsze i bardziej zabałaganione. Burden otworzył szafkę i podniósł wieka dwóch kufrów. Widział, że Parsons się w niego wpatruje, rozmyślając być może o tym, co nazywał swoim hobby, i o rzeczach, które mogły być w tych kufrach. Jednak wypełniały je książki, stare książki tego rodzaju, jakie czasem widuje się wystawione na zewnątrz sklepów ze starzyzną.

Szafka była pusta i z wewnętrznych ścianek zdarto papier, ale nie było tam żadnych pajaków. Pani Parsons była schludną kobietą.

- Jest wpół do jedenastej - powiedział Burden, spoglądając na zegarek. - Ostatni pociąg będzie o pierwszej. Może nim przyjedzie.

- Nie pojechaliby nigdzie pociągiem - z uporem odpowiedział Parsons.

Wrócili na dół, zatrzymując się po drodze, żeby wkręcić żarówkę na miejsce we frontowej sypialni. Było coś złowieszczonego i upiornego w klatce schodowej, którą tak łatwo można by rozjaśnić białą farbą i mocniejszym światłem, dumiał Burden. Gdy zeszli, pomyślał przelotnie o tej kobiecie i życiu, jakie tu wiodła, pedantycznie wypełniając swoje obowiązki, próbując wprowadzić trochę elegancji do wnętrza wypełnionych drewnem o barwie błota i paskudnym, pofałdowanym linoleum.

- Nie wiem, co robić - przyznał się Parsons.

Burden nie chciał wracać do tej małej jadalni z

przytłaczającymi meblami i zimnych resztek herbaty w dwóch kubkach. Do tej pory Jean wróciła już z kina.

- Może pan spróbować zadzwonić do jej przyjaciół z kościoła - powiedział, ruszając do drzwi frontowych. Gdyby tylko Parsons wiedział, ile dostawali zgłoszeń o zaginionych kobietach, i jak niewiele z nich znajdowali martwe gdzieś na polach czy pocięte na kawałki...

- O tej porze?

Parsons wyglądał niemal na zbulwersowanego, jakby nawyku wpajanego mu przez całe życie, zasady, zgodnie z którą po dwudziestej pierwszej nie dzwoni się do nikogo, nie wolno było złamać nawet w sytuacji kryzysowej.

- Niech pan weźmie dwie aspiryny i spróbuje się przespać - poradził mu Burden. - Jeśli coś się wydarzy, proszę do mnie zadzwonić. Na posterunku mają zgłoszenie. Nic więcej nie możemy zrobić. Gdy tylko się czegoś dowiedzą, poinformują pana.

- A co jutro rano?

Gdyby był kobietą, pomyślał Burden, błagałby mnie, żebym został. Przywarłby do mnie i powtarzał: "Niech pan nie wychodzi!".

- Zajrzę do pana po drodze na posterunek - zdecydował.

Parsons zamknął drzwi dopiero, gdy inspektor był już w połowie ulicy. Obejrzał się raz i zobaczył białą, oszołomioną twarz i słabe światło sączące się z holu na masywny stopień. Potem, czując bezsilność, bo nie przyniósł temu człowiekowi żadnego pocieszenia, uniósł rękę na pożegnanie.

Ulice były puste, spokojne, panowała na nich niemal namacalna cisza wsi nocą. Może kobieta była akurat na stacji kolejowej, szybkim i nerwowym krokiem idąc wzdłuż peronu, w dół po drewnianych schodach, składając w głowie usprawiedliwienie, które sobie przygotowała. Lepiej, żeby było dobre, pomyślał Burden, wspominając mężczyznę, który balansował pomiędzy

nadzieją i paniką.

Nie było mu to po drodze, ale poszedł do rogu Tabard Road i spojrział w górę High Street. Z tego miejsca sięgał wzrokiem do samego początku Stowerton Road, gdzie z podjazdu Gałązki Oliwnej "Gołębicy" ruszały ostatnie samochody. Plac targowy był pusty, jedynymi ludźmi była para zakochanych, stojących na Kingsbrook Bridge. Pomędzy sosnami na horyzoncie pojawił się autobus ze Stowerton. Znowu zniknął w obniżeniu drogi za mostem. Zakochani, trzymając się za ręce, pobiegli na przystanek w centrum targowiska. Autobus zatrzymał się przy rozmontowanych zagrodach dla bydła. Nikt nie wysiadł. Burden westchnął i poszedł do domu.

- Nie znalazła się - powiedział żonie.

- Wiesz, Mikę, to jest dziwne. Powiedziałabym, że była ostatnią osobą, która uciekłaby z jakimś mężczyzną.

- Nie było na czym oka zawiesić?

- Tak bym tego do końca nie określiła - odparła Jean. - Wyglądała tak bardzo, jakby to powiedzieć... no, szacownie. Buty na płaskim obcasie, żadnego makijażu, starannie upięta trwała ondulacja. Wiesz, co mam na myśli. Musiałeś ją widywać.

- Może i tak - mruknął Burden. - Nie zarejestrowałem.

- Ale nie nazwałabym jej pospolitą. Miała taką zabawną, staroświecką twarz, jakie się widuje w rodzinnych albumach. Może by ci się nie spodobała, Mikę, ale nie zapomniałbyś jej twarzy.

- Cóż, a jednak zapomniałem - odparł Burden.

Przestał myśleć o pani Parsons i zajęli się rozmową o filmie.

2

*Pewnego popołudnia ptak nie usiadł na gnieździe.
Nie wrócił ani tego dnia, ani następnego.
Nie pojawił się już nigdy.*

Walt Whitman,
Out of the Cradle Endlessly Rocking

Burden, przyzwyczajony do kryzysów, szybko zasnął. Nawet tutaj, w miasteczku targowym, po którym po Brighton spodziewał się, że będzie nudne, wydział dochodzeń kryminalnych rzadko bywał bezczynny.

O siódmej zadzwonił telefon.

- Burden.

- Mówi Ronald Parsons. Nie wróciła. I jeszcze coś, panie Burden - nie wzięła płaszcza.

Był koniec maja, a miesiąc był zimny i wietrzny. Zasłony w jego sypialni poderwał mocny powiew. Usiadł.

- Jest pan pewien? - zapytał.

- Nie mogłem zasnąć. Zacząłem przeglądać jej ubrania ~jestem pewny, że nie wzięła płaszcza. Ma tylko trzy: pelerynę przeciwdeszczową, płaszcz zimowy i taki stary, w którym pracuje w ogrodzie.

Burden zasugerował garsonkę.

- Ma tylko jeden kostium. - Parsons użył staroświeckiego określenia, co do niego pasowało. - Jest w jej garderobie. Chyba musiała mieć na sobie bawełniany fartuch, jej nowy. - Zamilkł i odchrząknął. - Dopiero co go uszyła - dodał.

- Załatwię kilka rzeczy - powiedział Burden. - Będę u

pana w ciągu pół godziny i razem pojedziemy na posterunek.

Parsons ogolił się i ubrał. Małe oczy miał rozszerzone ze strachu. Kubki, z których poprzedniego wieczoru pili herbatę, były świeżo umyte i obciekały na własnej roboty drewnianej kratce. Burden podziwiał zakorzeniony w tym człowieku nawyk przyzwoitości, który nawet w obliczu kryzysu kazał mu zadbać o siebie i zająć się domem.

Próbował powstrzymać się od rozglądania po małej kuchni, patrzenia na miedziany rondel w kącie, starą kuchenkę gazową na nóżkach, stół przykryty zielonym obrusem. Nie było pralki, nie było lodówki. Ze względu na obłazącą farbę w nieprzyjemnym, rdzawym kolorze, kuchnia wydawała się brudna. Tylko bardzo uważna obserwacja, gdy Parsons na niego nie patrzył, pozwoliła Burdenowi dostrzec, że wszystko było fanatycznie, żałośnie czyste.

- Jest pan gotowy? - zapytał. Parsons zamknął tylne drzwi ogromnym kluczem. Potrząsnął ręką nad spękаныmi, pokrytymi plamami płytkami. - Ma pan zdjęcie?

- W kieszeni.

Przechodząc przez jadalnię, znowu zwrócił uwagę na książki. Tłoczyły się przed nim tytuły na czerwonych, żółtych i czarnych okładkach. Teraz, gdy nastał ranek, a pani Parsons nadal była zaginiona, Burden zastanawiał się nierealnie, czy w kronikach złowieszczych ulic Tabard Road dołączy do Hilldrop Crescent i Rillington Place.

Czy któregoś dnia historia zniknięcia Margaret Parsons pojawi się w takiej książce, z twarzą jego towarzysza spoglądającą z okładki? Twarz mordercy jest twarzą zwykłego człowieka. O ileż mniej przerażająca by była, gdyby zabójca nosił na twarzy piętno kainowe tak, by widział je cały świat! Ale Parsons? Mógł ją zabić, miał dobre przygotowanie. Jego książki o tym świadczyły. Burden pomyślał o przepaści pomiędzy teorią i praktyką.

Otrząsnął się z rojeń i poszedł za Parsonsem do drzwi frontowych.

Kingsmarkham się budziło i zaczynało szumieć. Sklepy nadal były pozamykane, ale autobusy jeździły już od dwóch godzin. Od czasu do czasu przebijały się jaskrawe snopy światła słońca, które zaraz znikało na nowo pod chmurami, białymi i ciężkimi albo szarawymi od deszczu. Kolejka do autobusu rozciągała się prawie do mostu; przy stacji kolejowej roili się ludzie, pojedynczo albo w parach, w melonikach, z parasolami zabranymi na wszelki wypadek, dzięki wprawie nie przejmujący się godzinną podróżą do Londynu.

Burden podjechał do skrzyżowania i przepuścił pomalowany na pomarańczowo traktor jadący drogą główną.

- Wszystko się toczy tak, jakby nic się nie stało - odezwał się Parsons.

- I dobrze. - Burden skręcił w lewo. - To pomaga zachować poczucie proporcji.

Posterunek policji znajdował się stosownie na wjeździe do miasteczka, jak wieża strażnicza albo ostrzeżenie. Był nowy, biały i prostokątny niczym kostka mydła i - raczej bezcelowo, jak myślał sobie Burden - tu i ówdzie ozdobiony mydlanymi kolorami. Naprzeciwko wysokich, starych wiązów, zaledwie o kilka jardów od ostatniego domu z czasów regencji, kłuł w oczy swoją bielą, swoim połyskiem, jak jakiś jaskrawy śmieć na idyllicznej polance.

Ukończenie budowy budynku i przeniesienie Burdena do Kingsmarkham zbiegło się w czasie, ale niekiedy widok posterunku nadal nim wstrząsał. Przekraczając próg, obserwował reakcję Parsonsa. Okaże lęk czy tylko zwykłą obywatelską ostrożność? W sumie wydawał się być zwyczajnie pełen respektu.

Nie po raz pierwszy miejsce to zirykowało Burdena. Ludzie spodziewali się sosny i linoleum, zielonego sukna

i pełnych ech korytarzy. Taki wystrój był jednocześnie przytłaczający dla przestępców i uspokajający dla niewinnych. Tutaj były marmury i kafelki, nieregularnie upstrzone wzorem przypominającym rozlany olej, tablica ogłoszeń, wielki czarny kontuar, który biegł łukiem przez połowę holu, wskazując, że porządek i harmonia muszą być ponad wszystkim. To było tak, jakby osobiste losy mężczyzn i kobiet przekraczających drzwi miały mniejsze znaczenie niż nieskazitelne akta nadinspektora Wexforda.

Zostawił oszołomionego Parsonsa pomiędzy sztucznym kwiatem a krzesłem w kształcie miski czy łyżki, gąbczastej łyżki, w nieprzyjemnym odcieniu czerwieni. To absurd, pomyślał, pukając do drzwi Wexforda, stawiać taki betonowy klocek pomiędzy cichymi, stłoczonymi domami na High Street. Wexford zaprosił go do środka.

- Sir, na zewnątrz czeka pan Parsons.

- W porządku. - Wexford spojrział na zegarek. - Od razu z nim porozmawiam.

Był wyższy od Burdena, mocnej budowy, ale nie gruby, miał pięćdziesiąt dwa lata i wyglądał jak archetyp aktora grającego pierwszorzędnego policjanta. Urodzony w Pomfret, w tej części Sussex przeżył większą część swojego życia, znał większość ludzi i okolicę tak dobrze, że mapa przypięta na maślanożółtej ścianie stanowiła jedynie dekorację.

Parsonś wszedł podenerwowany. Rzucił ukradkowe, ostrożne spojrzenia i było w nim coś buntowniczego, jakby wiedział, że jego duma zostanie zraniona i szykował się do jej obrony.

- Bardzo to dla pana przykra sprawa - powiedział Wexford. Odezwał się, nie akcentując żadnego słowa, głos miał spokojny i mocny. - Inspektor Burden mówi, że nie widział pan żony od wczorajszego ranka.

- Zgadza się. - Z kieszeni wyjął zdjęcie żony i położył je na biurku Wexforda. - To ona, to Margaret. - Skinął głową

w stronę Burdena. - Inspektor powiedział, że będzie pan je chciał zobaczyć.

Na fotografii była dość młoda kobieta w bawełnianej bluzce i obszernej, ściągniętej w pasie sztywnej spódnicy, z rękami po bokach, w ogrodzie Parsonsów. Uśmiechała się nienaturalnie szeroko, prosto w słońce, i wydawała się zaczerwieniona, bez tchu, jakby odwołano ją od jakichś prozaicznych prac domowych - może od prania; zerwała fartuch, osuszyła ręce i pobiegła do męża czekającego na ścieżce z aparatem.

Oczy miała zmrużone, policzki pulchne; naprawdę mogłaby mówić: "cheese!". Nie było w niej nic z delikatnej kamei, którą sugerowały słowa Jean.

- To najlepsze zdjęcie, jakie pan ma? - zapytał Wexford.

Parsons przykrył fotografię dłonią, jakby została zbezczeszczona.

Wyglądał, jakby miał wybuchnąć gniewem, ale się powstrzymał.

- Nie mamy zwyczaju bywać w studiu fotograficznym.

- A paszport?

- Nie stać mnie na wakacje za granicą.

Ton Parsonsa był gorzki. Zerknął szybko na weneckie żaluzje, mały kawałek grubego dywanu, fotel Wexforda z obiciem z fiołkowego tweedu, jakby to były oznaki osobistego bogactwa, a nie elementy umeblowania narzucone odgórnie.

- Panie Parsons, chciałbym poznać rysopis pańskiej żony - powiedział Wexford. - Może pan usiądzie?

Burden wezwał młodego Gatesa, który dwoma palcami pisał na małej, szarej maszynie.

Parsons usiadł. Zaczął mówić powoli, z zawstydzoną miną, jakby został poproszony, by obnażył żonę.

- Ma jasne włosy - powiedział. - Jasne, kręcone włosy i bardzo jasne niebieskie oczy. Jest śliczna. - Wyzywająco spojrział na Wexforda, a Burden zaczął się zastanawiać, czy wie, jak kiepskie wrażenie zrobiło jej zdjęcie. -

Uważam, że jest śliczna. Ma dość wysokie czoło. - Dotknął własnego, wąskiego. - Nie jest szczególnie wysoka, jakieś pięć stóp i cal albo dwa.

Wexford nadal wpatrywał się w fotografię.

- Szczupła? Mocno zbudowana?

- Chyba mocno zbudowana. - Na bladej twarzy pojawił się niezręczny rumieniec. - Ma trzydzieści lat. Skończyła trzydziestkę w marcu.

- Co miała na sobie?

- Zielono-białą sukienkę. No, białą z zielonymi kwiatami, i żółty kardigan. Och, i sandały. Latem nigdy nie nosi pończoch.

- Torebka?

- Nigdy nie nosi torebki. Rozumie pan, ona nie pali ani się nie maluje. Torebka nie byłaby jej do niczego potrzebna. Tylko portmonetka i klucz.

- Jakież znaki szczególne?

- Blizna po wyrostku - odpowiedział Parsons, znowu oblewając się rumieńcem.

Gates wyrwał kartkę z maszyny, a Wexford ją przeczytał.

- Panie Parsons, proszę mi opowiedzieć o wczorajszym ranku - powiedział. - W jakim nastroju była pańska żona? Podekscytowana? Zmartwiona?

Parsons opuścił dłonie na kolana. To był gest rozpacz; rozpacz i rozdrażnienia.

- Była taka jak zwykle - odparł. - Niczego nie zauważyłem. Widzi pan, ona nie jest zbyt emocjonalną kobietą. - Opuścił wzrok na swoje buty. - Była taka jak zwykle - powtórzył.

- O czym państwo rozmawiali?

- Nie wiem. O pogodzie. Niewiele rozmawialiśmy. O wpół do ósmej muszę wyjść do pracy. Pracuję w Southern Water Board w Stowerton. Powiedziałem, że jest ładny dzień, a ona powiedziała, że tak, ale jest zbyt jasno. I że

zanosi się na deszcz. Miała rację. Padało, lało przez cały ranek.

- A pan pojechał do pracy. Czym? Autobusem, pociągiem, samochodem?

- Nie mam samochodu...

Sprawiał wrażenie, jakby miał wyliczyć wszystkie inne rzeczy, których nie ma, więc Wexford przerwał mu szybko.

- Czyli autobusem?

- Zawsze jeżdżę tym o siódmej trzydzieści siedem z targowiska. Pożegnałem się z żoną. Nie podeszła do drzwi. Ale to nic nie znaczy. Nigdy tego nie robiła. Była zajęta praniem.

- Czy mówiła, co ma zamiar robić w ciągu dnia?

- Pewnie normalne rzeczy, zakupy i prace domowe. Wie pan, takie rzeczy, którymi zajmują się kobiety. - Przerwał, po czym podjął znienacka: - Proszę posłuchać, ona by nie popełniła samobójstwa. Nawet o tym nie myślcie. Margaret by się nie zabiła. Jest religijną kobietą.

- Dobrze, panie Parsons. Proszę zachować spokój i się nie zamartwiać. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby ją znaleźć.

Wexford rozmyślał z niezadowoleniem wypisanym na twarzy, a Parsons chyba zinterpretował to po swojemu. Poderwał się rozdygotany.

- Wiem, co pan sobie myśli! - Krzyknął. - Myśli pan, że się jej pozbyłem. Wiem, jak pracuje pański umysł. Przeczytałem o tym wszystko.

Burden odezwał się szybko, próbując załagodzić sytuację.

- Pan Parsons w pewnym sensie zajmuje się kryminalistyką.

- Kryminalistyką? - Wexford uniósł brwi. - A konkretnie?

- Weźmiemy samochód i odstawimy pana do domu - powiedział Burden. - Powinien pan wziąć dzień wolny. Niech pan pójdzie do lekarza, jeśli nie może pan spać.

Parsons wyszedł chwiejnie, idąc jak paralytyk. Burden z okna obserwował, jak wsiada do samochodu obok Gatesa. Sklepy właśnie się otwierały, a sprzedawca owoców po drugiej stronie ulicy, przewidując piękny dzień, podnosił rolety. Gdyby to była normalna środa, pomyślał Burden, normalny dzień, to Margaret Parsons właśnie klęczałaby w słońcu, polerując mosiężny kątownik na schodku, albo otwierała okna, by do tych zawilgoconych pokoi wpuścić nieco powietrza. Gdzie też się podziewała? Budziła się w ramionach kochanka czy leżała na miejscu bardziej ostatecznego spoczynku?

- Mike, ona nawiała - powiedział Wexford. - Tak mój stary ojciec mawiał o kobietach, które uciekły z kochankiem. Że są jak koń, który wyrwał się na wolność. Jednak lepiej postępować zgodnie z procedurą. Możesz sam się tym zająć, skoro znałeś ją z widzenia.

Burden zabrał zdjęcie i wsadził je do kieszeni. Najpierw poszedł na stację kolejową, ale kontroler biletów i kasjerzy byli pewni, że pani Parsons tam nie było.

Jednak kobieta obsługująca stoisko z książkami od razu ją rozpoznała.

- Zabawne - powiedziała. - Pani Parsons zawsze we wtorki przychodziła zapłacić za swoje gazety. Wczoraj był wtorek, a jestem pewna, że jej nie widziałam. Proszę zaczekać, po południu był tu mój mąż. George, pozwól na momencik! - zawołała.

Właściciel stoiska wyszedł ze sklepu. Otworzył książkę zamówień i przesunął palcem w dół jednej ze stron.

- Nie - powiedział. - Nie pojawiła się. Jest zaległość. - Z ciekawością popatrzył na Burdena. - Osobliwe - dodał. - Zawsze płaci regularnie jak w zegarku.

Burden wrócił na High Street, żeby obejść sklepy. Wszedł do dużego supermarketu i podszedł do kasy. Kobieta za kontuarem stała beczynnym, usypiana przez muzykę w tle. Gdy Burden pokazał jej zdjęcie, gwałtownie wróciła do życia.

Tak, znała panią Parsons z nazwiska i z widzenia. Była stałą klientką i wczoraj pojawiła się jak zwykle.

- To była jakaś dziewiąta trzydzieści - powiedziała. - Zawsze o tej samej porze.

- Rozmawiała z panią? Pamięta pani, co mówiła?

- Ależ pan pytania zadaje. Proszę dać mi chwilę, przypomnę sobie. Coś mi świta. Powiedziałam, że nie wiem, co jej polecić, a ona powiedziała, że człowiek nie ma ochoty na fikuśne sałatki, nie, kiedy pada. Powiedziała, że ma mięso na kotlety, miała zamiar je utłuc, a ja zerknęłam mimowolnie na jej rzeczy, na to, co miała w koszyku. Ale powiedziała, że nie, że kupiła mięso w poniedziałek.

- Pamięta pani, jak była ubrana? Zielona, bawełniana sukienka, żółty kardigan?

- O nie, zdecydowanie nie. Wczoraj rano wszyscy klienci byli w płaszczach przeciwdeszczowych. Chociaż zaraz, coś pamiętam. Powiedziała: "Kurczę, ale leje". Pamiętam, zapamiętałam to, bo powiedziała to "kurczę" jak mała dziewczynka. Powiedziała: "Będę musiała kupić coś na głowę", więc zasugerowałam: "Może jeden z naszych kapturów przeciwdeszczowych w promocji?". Spytała, czy to nie okropne, żeby w maju kupować kaptur od deszczu. Ale wzięła jeden. Pamiętam to na pewno, bo musiałam go osobno skasować. Skończyłam już kasować jej zakupy.

Wyszła z kasy i zaprowadziła Burdena do półki z wymieszanymi, przezroczystymi kapturami, różowymi, niebieskimi, morelowymi i białymi.

- W sumie to nie chronią przed deszczem - powiedziała konfidencko. - Nie przed ulewą, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Ale są ładniejsze od plastikowych. Bardziej szykowne. Wzięła różowy. Jestem tego pewna. Powiedziałam, że będzie pasował do jej różowego pulowerka.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział Burden. - Była pani ogromnie pomocna.

Zajrzał do sklepów pomiędzy supermarketem a Tabard Road, ale nikt nie pamiętał, żeby widział panią Parsons. Na samej Tabard Road sąsiedzi sprawiali wrażenie zaszokowanych i bezradnych. Pani Johnson, sąsiadka Marga ret Parsons przez płot, widziała ją, jak wychodziła tuż po dziesiątej i wróciła za piętnaście jedenasta. Potem, koło dwunastej, tak jej się wydaje, była u siebie w kuchni i widziała panią Parsons, jak wyszła do ogrodu i powiesiła na sznurku dwie pary skarpet. Pół godziny później usłyszała, jak frontowe drzwi Parsonsów otwierają się i zamykają cicho. Ale to nic nie znaczyło. Mleczarz zawsze późno przychodził, narzekały na to, i mogła po prostu wziąć butelki, stojąc w proggu.

Poprzedniego popołudnia w salach aukcyjnych na rogu Tabard Road była wyprzedaż. Burden zaklął, bo to znaczyło, że wzdłuż ulicy było zaparkowanych dwa razy więcej samochodów. Każdy, kto patrzył wtedy w dół jej schodów, zobaczyłby tylko chodnik ciasno zastawiony autami.

Próbował w zajezdni autobusowej, a nawet, raczej bez sensu, w firmach wypożyczających samochody, i nic nie wskórał. Pełen złych przeczuć powoli wrócił na posterunek policji. Samobójstwo wydawało się być obecnie całkowicie wykluczone. Nie gawędzisz pogodnie o kotletach, które masz zamiar przyrządzić mężowi na kolację, skoro planujesz się zabić, i nie idziesz na spotkanie z kochankiem, nie zabierając płaszcza ani torebki.

Tymczasem Wexford przeszukał dom Parsonsów od paskudnej małej kuchni po stryszek. W szufladzie toaletki pani Parsons znalazł dwie flanelowe koszule nocne, stare i spłowiałe, ale starannie złożone, jedną koszulę z drukowanej bawełny oraz jedną, pogniecioną i używaną może przez dwie noce, na podwójnym łóżku pod poduszką bliżej ściany. Jego żona nie miała więcej koszul nocnych, oświadczył Parsons, a jej szlafrok z

niebieskiego, wełnistego materiału z granatowym obszyciem nadal wisiał na haczyku za drzwiami sypialni. Szlafroka na lato nie miała, a jedyną posiadaną przez nią parę kapci Wexford znalazł ułożoną porządnie w szafce w jadalni.

Wyglądało na to, że Parsons nie mylił się co do portmonetki i klucza. Nigdzie ich nie było.

Zimą jedyne ogrzewanie domu stanowiły dwa otwarte paleniska i woda podgrzewana grzałką elektryczną. Wexford odesłał Gatesa, żeby obejrzał kominki i przeszukał kubeł na śmieci, ostatnio opróżniany przez Kingsmarkham Borough Council w poniedziałek, ale nie było w nim ani śladu popiołu. Ruszt w jadalni był przykryty stroną z gazety, a na niej, lekko przyprószone sadzą, widniała data piętnastego kwietnia.

Parsons powiedział, że w piątek dał żonie pięć funtów na dom. Z tego, co wiedział, z poprzednich tygodni nie miała żadnych oszczędności. Gates, przeszukując kredens kuchenny, znalazł dwa funtowe banknoty zwinięte w puszcze po kakao na jednej z półek. Jeżeli pani Parsons dostała w piątek jedynie pięć funtów, z których kupiła jedzenie dla swojego męża i dla siebie na cztery czy pięć dni, zostawiając dwa funty na resztę tygodnia, to w portmonetce mogła mieć w najlepszym razie kilka szylingów.

Wexford miał nadzieję, że znajdzie pamiętnik, notes z adresami albo jakiś list, który mógłby mu pomóc. Miedziany koszyczek na listy na ścianie jadalni zawierał tylko rachunek za węgiel, okólnik z firmy instalującej centralne ogrzewanie (czyżby pani Parsons mimo wszystko miała jakieś marzenia?), dwa bony na mydło i ogólną wycenę osuszenia ściany w kuchni.

- Panie Parsons, czy pańska żona miała jakąś rodzinę? - zapytał Wexford.

- Tylko mnie. Trzymaliśmy się razem. Margaret niełatwo się zaprzyjaźniała... zaprzyjaźnia. Ja dorastałem w domu

dziecka, a gdy Margaret straciła matkę, przyjechała zamieszkać z ciotką. Ale ta ciotka zmarła, gdy byliśmy narzeczeństwem.

- Gdzie to było? To znaczy, gdzie się poznaliście?

- W Londynie. W Balham. Margaret uczyła w przedszkolu, a ja wynajmowałem kwatery w domu jej ciotki.

Wexford westchnął. Balham! Sieć sięgała coraz dalej. Nadal jednak nikt nie będzie jechał czterdziestu mil bez płaszcza i torebki. Zdecydował, że chwilowo nie będzie się zajmować Balham.

- Czy w poniedziałek wieczorem ktoś do pańskiej żony telefonował? Czy wczoraj rano odebrała jakieś listy?

- Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził, nie było żadnych listów. - Parsons wydawał się dumny ze swojego pustego życia, jakby to był dowód szacowności. - Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Margaret robiła na drutach. Ja chyba przez jakiś czas rozwiązywałem krzyżówkę. - Otworzył szafkę, w której były kapcie, i z górnej półki wyciągnął niebieską robótkę na czterech drutach. - Ciekawe, czy kiedykolwiek to skończy - mruknął. Palce zacisnął na kłębku wełny, wbijając sobie druty w dłoń.

- Bez obaw - powiedział Wexford, serdecznie i z fałszywą nadzieją. - Znajdziemy ją.

- Jeśli skończyli panowie z sypialniami, to chyba pójdę się jeszcze położyć. Lekarz dał mi coś na sen.

Wexford posłał wszystkich dostępnych ludzi, by przeszukali puste domy w Kingsmarkham i okolicach, pola, które nadal rozciągały się nietknięte pomiędzy High Street i Kingsbrook Road, a także, z nastaniem popołudnia, sam potok Kingsbrook. Odłożyli te szeroko zakrojone działania do czasu zamknięcia sklepów, czekając, żeby ludzie się rozeszli, ale nawet wtedy na moście zebrał się tłum i ponad barierkami gapił na brodzących policjantów. Wexford, który nie znosił tego szczególnego rodzaju karmienia się makabrą, tego

pragnienia koszmarnych widoków ledwie skrywanego pod maską zaszokowanego współczucia, patrzył na nich wilkiem i próbował namówić, żeby zeszli z mostu, ale wracali dwójkami i trójkami. Wreszcie, gdy się ściemniło, a poszukiwacze dobrnęli z nurtem strumienia daleko na północ, odwołał poszukiwania.

W tym czasie Ronald Parsons, oszołomiony amobarbitalem, zasnął na swoim nierównym materacu. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy na toaletce, żelaznym obramowaniu kominka i pokrytej linoleum podłodze zaczął osiadać kurz.

Oto jej członki,
 Zanadto zesztyniałe.
 Wyglądź je i ulóż,
 Skromnie i życzliwie.
 Zaś jej oczy ślepo patrzące, Zamknij.

Thomas Hood, *The Bridge of Sighs*

W czwartek rano pomocnik piekarza, nowy w tej pracy, zadzwonił do drzwi farmy należącej do człowieka o nazwisku Prewett, położonej przy głównej drodze z Kingsmarkham do Pomfret. Nikt się nie pojawił, więc zostawił duży bochen białego chleba i mały razowca na parapecie i wrócił do miejsca, w którym zaparkował swojego vana, nie zamykając za sobą bramy.

Wkrótce potem bramę trąciła krowa i skrzydła otworzyły się szeroko. Reszta stada, jakiś tuzin zwierząt, ruszyła za nią i zaczęła meandrować po drodze. Na szczęście dla pana Prewetta (ponieważ na drodze, ku której zmierzały, nie było ograniczeń ruchu) ich uwagę przyciągnęły kępy suchych ostów na skraju niewielkiego lasu. Jedna po drugiej gramoliły się na trawiaste pobocze, przeżuwały osty i stopniowo, powoli, zagłębiały w krzakach. Dzikie róże były gęste, a las mroczny. Nie było tam więcej ostów ani soczystej trawy. Uwięzione i dezorientowane, stały spokojnie i muczały z nadzieją.

To właśnie w tym lasu pastuch pana Prewetta o wpół do drugiej znalazł krowy oraz ciało pani Parsons.

Do drugiej Wexford i Burden przyjechali samochodem

Burdena, a Bryant i Gates przywieźli doktora Crockera i dwóch ludzi z aparatami fotograficznymi. Prewett i facet od krów, Bysouth, uzbrojeni w wiedzę rodem z seriali telewizyjnych, niczego nie dotykali, a Margaret Parsons leżała tak, jak znalazł ją Bysouth, kupka mokrej bawełny z żółtym kardiganem naciągniętym na głowę.

Burden rozepchnął gałęzie, żeby utworzyły łuk, i wraz z Wexfordem podeszli bliżej, aż stanęli nad ciałem. Pani Parsons leżała pod drzewkiem głogu wysokim może na osiem stóp. Gałęzie rozpościerające się na boki i w dół jak druty parasola tworzyły prawie namiot w kształcie igloo.

Wexford pochylił się i delikatnie uniósł kardigan. Nowa sukienka miała kołnierzyk wycięty na plecach nieco niżej. Na skórze, od gardła do karku, widniał fioletowy okrąg jak wąska wstążka. Burden spojrzał na jej twarz, a niebieskie oczy wydawały się odwzajemniać jego spojrzenie. Staroświecka twarz, powiedziała Jean, twarz, której się nie zapomina. Nikt nic nie mówił. Zwłoki zostały obfotografowane z różnych stron, a lekarz zbadał szyję i spuchniętą twarz. Potem zamknął jej oczy i Margaret Parsons już na nich nie patrzyła.

- No cóż - powiedział Wexford. - No cóż.

Powoli pokręcił głową. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Po chwili przyklęknął i wyczuł coś w opadłych liściach. Pod osłoną opadających gałęzi nie było przyjemnie, ale nic nie śmierdziało. Wexford odwrócił ciało, szukając portmonetki i klucza. Burden zobaczył, że coś podnosi. To była wypalona do połowy zapałka.

Z głogowego szałasus wyszli na światło.

- Jak długo były tutaj te krowy? - zapytał Wexford Bysoutha.

- Trzy godziny albo trochę dłużej, sir.

Wexford znacząco popatrzył na Burdena. Lasek był mocno stratowany, a kilka nagich połaci ziemi było

zasłanych łajnem. Przed śniadaniem mógłby się tam odbyć pojedynek zapaśniczy, ale krowy Prewetta do lunchu zatarłyby wszystkie ślady; pojedynek zapaśniczego albo walki pomiędzy zabójcą a przerażoną kobietą. Wexford posłał Bryanta i Gatesa, żeby rozejrzeli się w gąszczu pełnych komarów krzaków, podczas gdy on i Burden wrócili wraz z farmerem do samochodu.

Pan Prewett należał to tak zwanych farmerów dżentelmenów, a jego wyglansowane oficerki, obecnie cokolwiek ubłocone, stanowiły tylko wyraz jego powołania. Skórzane łąty na łokciach tabaczkowej, dopasowanej marynarki zostały tam naszyte przez krawca.

- Sir, kto użytkuje tę drogę?

- Po drugiej stronie Pomfret Road wypasam stado jerseyek - odparł Prewett. Mówił bardzo starannie, bez śladu wiejskiego akcentu. - Bysouth przeprowadza je tam rano i poboczem zagania po południu. Czasem przejedzie jakiś traktor.

- A co z zakochanymi parami?

- Jakieś pojedyncze samochody. - Z niesmakiem powiedział Prewett. - Oczywiście to jest droga prywatna. W gruncie rzeczy równie prywatna, panie inspektorze, jak pański własny podjazd, ale w dzisiejszych czasach nikt nie szanuje własności prywatnej. Nie sądzę, by jacykolwiek miejscowi młodzieńcy i damy przychodzili tutaj na piechotę. Pola są znacznie bardziej - cóż, zdrowotne, tak chyba powinienem powiedzieć? Zdarzają się tutaj samochody. Można postawić auto pod tymi wiszącymi gałęziami, a nocą ktoś, kto przechodziłby obok, nawet by go nie zauważył.

- Zastanawiam się, czy od wtorku do teraz zauważył pan może jakieś nieznanne ślady opon?

- No co też pan. - Prewett niespecjalnie zrogowaciałą dłonią machnął w stronę wjazdu na drogę i Burden zobaczył, co ten miał na myśli. Droga cała była w śladach

opon; w zasadzie to właśnie ślady opon stworzyły tę drogę. - Traktory jeżdżą w tę i z powrotem, przechodzi tędy bydło...

- Ale ma pan samochód, sir. Przy tylu kręcących się ludziach to dziwne, że nikt nie zauważył niczego niezwykłego.

- Proszę pamiętać, że ta droga używana jest do przejazdów z miejsca na miejsce. Nikt się tutaj nie zatrzymuje. Wszyscy moi ludzie mają swoje zadania. To dobrzy pracownicy i dobrze sobie radzą. Tak czy inaczej będziecie musieli skreślić moją żonę i mnie samego. Od poniedziałku aż do dziś byliśmy w Londynie, a i tak zazwyczaj korzystamy z frontowego wjazdu. Ta dróżka to skrót, inspektorze. Traktory po niej przejadają, ale mój samochód się zakopuje. - Przerwał i zaraz dodał ostro: - Gdy jestem w mieście, nie przeszkadza mi, że mnie uważają za parobka.

Wexford sam obejrzał drogę i znalazł tylko grzęzawisko z głębokimi koleinami po kołach traktorów i głębokimi, okrągłymi dziurami po kopytach. Zdecydował, że odłoży na później rozmowę z czterema pracownikami Prewetta i dziewczyną, studentką rolnictwa, do czasu ustalenia czasu zgonu pani Parsons.

Burden pojechał do Kingsmarkham przekazać wieści Parsonsowi, ponieważ go znal. Parsons bez słowa otworzył drzwi, poruszając się niczym lunatyk. Gdy Burden mu powiedział, stojąc sztywno w jadalni pośród tych okropnych książek, nie odpowiedział nic, ale zamknął oczy i zachwiał się.

- Pójdę po panią Johnson - powiedział Burden. - Przyprowadzę ją, żeby zaparzyła panu herbaty.

Parsons tylko skinął głową. Odwrócił się i zaczął wpatrywać w okno. Z poczuciem niejakiego przerażenia Burden zauważył, że na sznurku nadal wisiły dwie pary skarpet.

- Chciałbym побыć chwilę sam.

- Tak czy inaczej jej powiem. Może przyjsć później.

Wdowiec zaszurał stopami obutymi w oliwkowe kapcie.

- W porządku - powiedział. - I dziękuję. Dobry z pana człowiek.

Burden wrócił na posterunek, gdzie Wexford siedział przy swoim biurku, wpatrując się w wypaloną zapałkę.

- Wie pan co, Mike - powiedział z zadumą - zupełnie jakby ktoś zapalił zapałkę, żeby ją dobrze widzieć. Czyli było po zmroku. Ktoś ją trzymał tak długo, aż prawie poparzyła mu palce.

- Bysouth?

Wexford pokręcił głową.

- Było jasno, wystarczająco jasno, żeby widzieć - wszystko. Nie, ktokolwiek zapalił tę zapałkę, chciał się upewnić, że nie zostawił niczego, co mogłoby go obciążyć.

- Wsunął kawałek spalonego drewnianka do koperty. - Jak to przyjął Parsons? - zapytał.

- Trudno powiedzieć. To zawsze jest wstrząs, nawet jeśli się człowiek tego spodziewa. Był tak otumaniony tym, co dał mu lekarz, że chyba do niego nie dotarło.

- Crocker właśnie bada ciało. Sekcja w sobotę o dziesiątej.

- Sir, czy Crocker może ustalić czas zgonu?

- Wtorek. Sam mogłem mu to powiedzieć. Musiała zostać zabita pomiędzy dwunastą trzydzieści a... mówił pan, że o której Parsons do pana zadzwonił?

- Dokładnie o wpół do ósmej. Wybieraliśmy się do kina i pilnowałem czasu.

- Czyli między dwunastą trzydzieści a dziewiętnastą trzydzieści.

- To mi nasuwa pewną teorię, sir.

- No to posłuchajmy. Ja nie mam żadnej.

- Cóż, Parsons powiedział, że wrócił do domu o osiemnastej, ale nikt go nie widział. Wiemy na pewno tylko to, że był w domu wtedy, gdy zadzwonił do mnie o tej dziewiętnastej trzydzieści...

- W porządku, słucham. Niech pan tylko wyjrzy na korytarz i każe Martinowi przynieść nam herbaty.

Burden zawołał o herbatę i mówił dalej.

- Cóż, przypuśćmy, że Parsons ją zabił. Z tego, co nam wiadomo, nikogo tutaj nie znała, i, jak pan zawsze mówi, mąż jest pierwszym podejrzanym. Powiedzmy, że Parsons umówił się z żoną przy zajezdni autobusowej w Kingsmarkham.

- Po co się z nią umówił?

- Mógł powiedzieć, że pojedą coś zjeść do Pomfret albo pójdą na spacer, zrobią sobie piknik... cokolwiek.

- Mike, a co z tymi kotletami? Nie miała żadnego spotkania, gdy rozmawiała z tą kobietą z supermarketu.

- Mają telefon. Mógł do niej zadzwonić podczas przerwy na lunch - wtedy zaczynało się przejaśniać - i poprosić, żeby wyszła na autobus za dziesięć szóstą, sugerując wypad na kolację do Pomfret. Może mimo wszystko mieli zwyczaj wychodzenia na kolację. Co do ich zwyczajów mamy tylko jego słowo.

Martin przyszedł z herbatą i Wexford, z kubkiem w ręce, podszedł do okna i wyjrzał na High Street. Jasne słońce sprawiło, że zmrużył oczy i pociągnął za sznurek żaluzji, zamykając je do połowy.

- Autobus ze Stowerton nie jedzie do Pomfret - zgłosił sprzeciw. - Nie ten o siedemnastej trzydzieści pięć. Kingsmarkham to przystanek końcowy.

Burden wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- Nie, ale ten o siedemnastej trzydzieści dwie owszem. Stowerton do Pomfret, przez Forby i Kingsmarkham. - Skoncentrował się na swoich notatkach. - Streszczę to tak: Parsons dzwoni do żony i prosi ją, żeby wyszła na autobus ze Stowerton, który o siedemnastej pięćdziesiąt jest w Kingsmarkham, dwie minuty przed innym autobusem, tym, który zjeżdża do zajezdni. Mógłby zdążyć na ten autobus, gdyby wyszedł minutę czy dwie wcześniej.

- Mike, będzie pan musiał to sprawdzić.

- Tak czy inaczej pani P. wychodzi na ten autobus. O osiemnastej jeden przejeżdża przez Forby, a w Pomfret jest o osiemnastej trzydzieści. Gdy docierają do najbliższego przystanku, przy tym zagajniku koło farmy Prewetta, Parsons mówi: "Taki ładny wieczór, chodźmy spacerem"...

- Z tamtej strony do Pomfret to dobra mila. Ale może lubili przechadzki po polach.

- Parsons mówi, że zna skrót do Pomfret przez pola...

- Przez praktycznie nieprzebyte, ciemny las, osty i długą, mokrą trawę?

- Wiem, sir. Mnie ta część też się nie podoba. Ale może zobaczyli coś w lesie, jakiegoś jelenia, królika czy cokolwiek. W każdym razie Parsons w jakiś sposób wprowadza ją do tego lasu i dusi.

- Och, cudownie! Pani Parsons wychodzi na kolację do modnego wiejskiego pubu, ale nie ma nic przeciwko łażeniu po brudnym, mokrym lesie w pogoni za królikiem. A co ma z nim zrobić, gdy go złapie, zjeść? Jej mąż idzie za nią i gdy docierają do najgęstszej części lasu, mówi: "Kochanie, zczekaj chwilę, wyciągnę tylko sznur z kieszeni i cię uduszę!". Boże Wszchemgący!

- Mógł ją zabić na drodze i zaciągnąć jej ciało w krzaki. Tam jest ciemno, a po Pomfret Road nigdy nikt nie chodzi. Mógł ją zanieść - to spore chłopisko, a ślady zostałyby zadeptane przez krowy.

- Prawda.

- Autobus z Pomfret wyjeżdża o osiemnastej czterdzieści jeden, w Forby jest o dziewiętnastej dziewięć, w zajezdni w Kingsmarkham o dziewiętnastej dwadzieścia. To daje mu jakieś piętnaście minut na zabicie żony i powrót na przystanek po drugiej stronie Pomfret Road. Autobus jest tam około osiemnastej czterdzieści sześć. Po dojechaniu na miejsce w ciągu pięciu minut pokonuje Tabard Road i jest w domu, w samą porę, żeby o dziewiętnastej

trzydzieści do mnie zadzwonić.

Wexford znowu usiadł w swoim fotelu na kółkach i z fioletowym obiciem.

- Mike, podejmowałyby ogromne ryzyko - zauważył. - Ktoś mógłby go łatwo zobaczyć. Będzie pan musiał porozmawiać z kierowcami tych autobusów. Na tym przystanku przy farmie Prewetta na pewno nie wsiada wiele osób. Co zrobił z jej portmonetką i kluczem?

- Wyrzucił w krzaki. I tak nie było sensu ich ukrywać. Przynajmniej ja nie potrafię wymyślić motywu.

- Och, motyw - mruknął Wexford. - Każdy mąż ma motyw.

- Ja nie mam. - Burden był zirytowany.

Ktoś zapukał do drzwi. Do środka wszedł Bryant.

- Sir, znalazłem to na skraju lasu od strony drogi - powiedział. Czubkami palców w rękawiczkach trzymał mały złoty cylinder.

- Szminka - powiedział Wexford.

Przez chusteczkę wziął ją od Bryanta i odwrócił, żeby spojrzeć na etykietę na dole.

- Arctic Sable - przeczytał - i coś, co wygląda jak osiemdziesiąt sześć napisane fioletowym atramentem. Coś jeszcze?

- Nic, sir.

- W porządku, Bryant. Razem z Gatesem pojedziecie do Stowerton, do Southern Water Board, i dowiedzie się, o której dokładnie - co do minuty - we wtorek wieczorem Parsons wyszedł z pracy.

- Mike, to sprawia, że pańska teoria wygląda cholernie idiotycznie - powiedział Wexford po wyjściu Bryanta. - Zdejmiemy z tego odciski palców, ale, pytam się pana, czy to okaże się własnością pani Parsons? Nie nosiła torebki, nie malowała się i jest biedna jak mysz kościelna (kolacja w Pomfret, niech mnie!), ale w portmonetce zabiera szminkę, czy tam wpycha ją za stanik - szminkę

za osiem szylingów i sześć pensów, zaznaczam - a gdy docierają do lasu, zauważa królika. Otwiera portmonetkę, zapewne po to, żeby wyjąć z niej strzelbę, upuszcza szminkę na ziemię, biegnie za tym królikiem, zapalając zapalnik, żeby oświetlić sobie drogę, a kiedy jest już w środku lasu, to siada i pozwala, żeby jej stary ją udusił!

- Posłał pan Bryanta do Stowerton.

- Nie ma nic lepszego do roboty. - Wexford zamilkł, wpatrując się w szminkę. - Przy okazji - odezwał się znowu. - Sprawdziłem Prewettów. Faktycznie byli w Londynie. Matka pani Prewett jest poważnie chora, a w szpitalu uniwersyteckim mówią, że siedzieli przy niej praktycznie cały czas od wtorkowego przedpołudnia aż do późnego wieczora, i że wczoraj co chwilę do niej zaglądali. Staruszka zeszłej nocy poczuła się lepiej i dziś rano, po śniadaniu, wymeldowali się z hotelu przy Tottenham Court Road. Są więc poza podejrzeniami.

Podniósł kartkę papieru, na której położył szminkę Arctic Sable, i podsunął ją Burdenowi do obejrzenia. Odciski palców były rozmazane, ale na górze był jeden wyraźny.

- To nowa szminka - powiedział Wexford. - Prawie nieużywana. Mike, chcę znaleźć jej właścicielkę. Pojedziemy znowu do Prewettów i porozmawiamy z tą studentką rolnictwa, czy kim tam ona jest.

*Piękność twa jaśniejąca i szczerą,
Maniery szlachetne, sylwetka wdzięczna,
Oczy nieznające zmartwień;
O cóż więc mamy cię prosić?*

Bryan Walter Procter, *Hermione*

Gdy Wexfordowi przekazano, że odciski palców na szmince z całą pewnością nie należały do pani Parsons, wrócili na farmę i przepytali osobno wszystkich parobków (takim staroświeckim słowem określał ich Wexford) i dziewczynę. Dla wszystkich poza jedną osobą wtorkowe popołudnie było pracowite i, zupełnie niezależnie od morderstwa, ekscytujące.

Prewett zostawił u sterów zarządcę, Johna Draycotta, a we wtorek rano ów Draycott, wraz z niejakim Edwardsem, pojechał na targ do Stowerton. Wzięli ciężarówkę i skorzystali z głównej bramy farmy. To był długi objazd, ale preferowany, ponieważ dróżka prowadząca do Pomfret Road była wąska i błotnista i tydzień wcześniej ciężarówka utknęła w koleinach.

Bysouth i człowiek zajmujący się świniami Prewetta zostali na farmie sami, panna Sweeting, praktykantka, we wtorek miała dzień wolny, by wziąć udział w wykładzie w Szkole Rolniczej w Sewingbury. Piętnaście po dwunastej zjedli w kuchni obiad, który to posiłek przygotowała jak zwykle pani Creavey, która codziennie przyjeżdżała z Flagford, żeby gotować i sprzątać. Po obiedzie, piętnaście po pierwszej, świniarz Traynor wraz

z Bysouthem poszli rzucić okiem na maciorę, która miała się prosić.

O trzeciej Draycott i Edwards wrócili, a zarządca niezwłocznie zajął się własnymi sprawami. Edwards, do którego obowiązków należały prace ogrodowe, poszedł skosić frontowy trawnik. „Nie miałem go przez cały czas na oku”, powiedział Wexfordowi Draycott, „ale przez następną godzinę słyszałem dźwięk elektrycznej kosiarki”. Mniej więcej o wpół do trzeciej Draycottowi przerwał Traynor, który przyszedł, by mu powiedzieć, że martwi się stanem maciory. Urodziło się pięć warchlaków, ale wydawało się, że Świnia ma trudności i Traynor chciał, by zarządca wziął pod uwagę wezwanie weterynarza. Draycott poszedł do chlewu, obejrzał maciorę i przez kilka sekund rozmawiał z Bysouthem, który siedział przy niej na stołku, po czym sam zadzwonił do weterynarza. Weterynarz przyjechał przed czwartą i aż do piątej trzydzieści zarządca, Edwards i Traynor byli razem. Wciążu tej półtorej godziny, jak powiedział Traynor, Bysouth poszedł zagonić krowy i zaprowadzić je do dojami. W tym celu dwukrotnie musiał przejść obok lasu. Wexford wypytywał go szczegółowo, ale upierał się, że nic po drodze nie widział. Nie słyszał żadnych dziwnych dźwięków i nie było żadnych samochodów ani na samej dróżce, ani zaparkowanych na Pomfret Road. Zgodnie ze słowami trzech pozostałych mężczyzn wrócił nawet szybciej niż zwykle, co przypisali jego niepokojowi o wynik narodzin prosiąt.

Było wpół do siódmej, zanim na świecie pojawił się cały ich miot. Weterynarz poszedł do kuchni umyć ręce i napić się herbaty.

O siódmej wyjechał tą samą drogą, którą przyjechał, przez główną bramę, podwożąc Edwardsa, Traynora i Bysoutha, którzy mieszkali w domkach dla pracowników rolnych w wiosce o nazwie Clusterwell, jakieś dwie mile za Flagford. W czasie nieobecności Prewettów pani

Creavey zostawała na farmie na noc. Zarządca o ósmej zrobił ostatni obchód i pojechał do domu, położonego jakieś pięćdziesiąt jardów w dół Clusterwell Road.

Wexford porozumiał się z weterynarzem i uznał, że o ile nie doszło do cudu rodem z powieści kryminalnych, nikt nie miał czasu, żeby zamordować panią Parsons i zawlec jej ciało do lasu. Z drogi biegnącej wzdłuż lasu korzystał jedynie Bysouth, o ile zaś nie porzucił swoich obowiązków niebezpiecznie blisko ruchliwej szosy, był poza podejrzeniem. Co do pani Creavey, to przebywała sama i niewidziana przez nikogo od trzeciej trzydziści do szóstej trzydziści, ale miała co najmniej sześćdziesiąt lat, była gruba i cierpiała na chroniczny artretyzm.

Wexford próbował ustalić godzinę, o której Bysouth szedł w dół, a potem w górę drogi, ale opiekun krów nie nosił zegarka, a jego życie wydawało się być rządzone przez słońce. Zaprotestował stanowczo, jakoby myślami był przy świńskim porodzie i dlatego nikogo nie widział na drodze, w lesie ani na polach.

Dorothy Sweeting była jedyną osobą, którą od biedy można było podejrzewać o posiadanie szminki Arctic Sable. Jednak kobieta, która normalnie się maluje, jeśli nie ma na sobie makijażu, ma specyficzny, surowy wygląd. Twarz Dorothy Sweeting była opalona i świetlista; wyglądała, jakby nigdy nie była chroniona przed wpływem pogody przy pomocy kremu i pudru. Mężczyźni byli niemal szyderczy, gdy Wexford zapytał, czy kiedykolwiek na jej ustach widzieli szminkę.

- Panno Sweeting, przez cały dzień nie pojawiła się pani na farmie?

Dorothy Sweeting dużo się śmiała. Teraz roześmiała się serdecznie.

Wydawało się, jakby te pytania były dla niej czymś w rodzaju odcinka serialu detektywistycznego na żywo.

- Na farmie nie - odparła - ale przechodziłam w pobliżu. Winna, mój panie! - Wexford się nie uśmiechnął, więc

mówiła dalej. - Po wykładzie poszłam zobaczyć się z moją ciocią w Sewingbury. Popołudnie było takie śliczne, że wysiadłam z autobusu milę za Pomfret i resztę drogi pokonałam na piechotę. Stary Bysouth akurat wprowadzał krowy i zatrzymałam się, żeby z nim chwilę pogawędzić.

- O której to było?

- Koło piątej. Jechałam z Sewingbury tym autobusem o czwartej dziesiątej.

- W porządku, panno Sweeting. Pani odciski palców zostaną zniszczone po analizie.

Ryknęła śmiechem. Patrząc na jej duże, szerokie dłonie i przedramiona godne wiejskiego kowala, Burden zastanawiał się, co miała zamiar zrobić ze swoim życiem, gdy już wykształci się w tej gałęzi rolnictwa, na którą się zdecydowała.

- Róbcie z nimi, co chcecie - powiedziała. - Chciałabym mieć miejsce w galerii łotrów.

Do Kingsmarkham wracali po cichej, prawie pustej drodze. Do zmierzchu została jeszcze godzina. Słońce przygasło, a niebo zaciągało się chmurami. Na krzewach obrastających drogę nadal kwitły majowe kwiaty, teraz brązowiejące, jakby znalazły się w pobliżu ognia.

Wexford pojechał na posterunek, gdzie odciski panny Sweeting skierowali do porównania z tymi ze szminki. Zgodnie z przewidywaniami Wexforda nie pasowały. Wielki, głęboki odcisk palca studentki pasował bardziej do mężczyzny niż do kobiety.

- Mike, chcę znaleźć właścicielkę tej szminki - powiedział znowu. - Chcę, żeby każdą drogerię w tym mieście przeszukano ze szczoteczką do zębów. I lepiej niech się pan tym sam zajmie, bo to nie będzie łatwe.

- Sir, czy ona koniecznie musi mieć związek z panią Parsons? Nie mógł jej upuścić ktoś, kto szedł po ścieżce?

- Proszę posłuchać, Mike, ta szminka nie leżała na drodze. Była dokładnie na skraju lasu. Pomijając fakt, że

nie korzystają z tej drogi, panna Sweeting i pani Creavey nie używają szminki, a nawet gdyby używały, to raczej nie w takim osobliwym, różowawo- brązowym kolorze. Wie pan równie dobrze jak ja, że gdy kobieta używa szminki tylko na wielkie wyjścia i wyjazdy, to z jakiegoś powodu, przypuszczalnie z poczucia odwagi, zawsze wybierze jasną czerwień. To jest brudny kolor, takiego rodzaju, jaki mogłaby wybrać bogata kobieta, która ma już tuzin szminek i chciała mieć najnowszy odcień do kolekcji.

Burden dobrze znał Kingsmarkham, ale miał miejscowy katalog firm i dowiedział się, że na samej High Street było siedem drogerii, trzy w bocznych ulicach i jedna w wiosce, którą wchłonęły już przedmieścia Kingsmarkham. Pamiętając o tym, co Wexford powiedział o bogatej kobiecie, zaczął od High Street.

W supermarkecie było stoisko z kosmetykami, ale jeśli chodzi o droższe produkty, to mieli ich ograniczony wybór. Sprzedawczyni znała panią Parsons z nazwiska, bo ojej zaginięciu przeczytała w gazecie. Znała ją również z widzenia i była przejęta. Burden nie powiedział jej, że znaleziono zwłoki i nie marnował więcej czasu na zadawanie pytań, gdy już się dowiedział, że z tego, co przypominała sobie ta dziewczyna, w zeszłym miesiącu pani Parsons kupiła tylko puszkę taniego talku.

- To nowa linia - powiedziała sprzedawczyni w kolejnym sklepie. - Dopiero co wyszła. Kolorystyka nawiązuje do kolorów futer, jest miękka i delikatna, ale my jej nie mamy. Widzi pan, nie byłoby tu na nią zbytu.

Poszedł w górę, w stronę Kingsbrook Bridge, mijając georgiański dom, w którym obecnie mieścił się Urząd ds. Zatrudnienia Młodzieży, oraz dom w stylu królowej Anny, gdzie była teraz kancelaria adwokacka, i wszedł do nowo otwartego sklepu w bloku z dwupoziomowymi mieszkaniami. Był jasny i czysty, z oszalałym wyborem pudełeczek, słoiczków i buteleczek perfum. Tej

marki mieli duże zapasy, jak mu powiedzieli, ale nadal czekali na dostawę futrzanych szminek.

Wody strumienia uspokoiły się i oczyściły. Burden widział okrągłe, płaskie kamienie na dnie. Przechylił się nad barierką i zobaczył wyskakującą rybę. Potem ruszył dalej, wymijając grupki dzieci ze szkoły podstawowej, dziewczęta ze szkoły średniej w panamach i czerwonych blezerach, unikając wózków dziecięcych i koszy na kółkach. Pytał w czterech sklepach, zanim znalazł taki, który miał na stanie te odcienie. Sprzedali jednak tylko jedną szminkę, i był to kolor o nazwie Mutation Mink, i nie przyklejają cen na swoje towary. Dziewczyna w piątym sklepie, królewskie stworzenie z włosami jak ananasowa wata cukrowa, powiedziała, że sama używa Arctic Sabie. Mieszkała nad sklepem i poszła na górę, by przynieść szminkę. Była identyczna z tą znalezioną w lesie, poza tym, że na obsadce nie było wypisanej ceny.

- To trudny kolor do noszenia - powiedziała dziewczyna.
- Sprzedaliśmy kilka w innych odcieniach, ale takie odcienie brązu zniechęcają klientki.

Po tej stronie High Street nie było już więcej sklepów, jedynie kilka wielkich domów, kościoł metodystów - kościół pani Parsons - cofnięty w stosunku do drogi, za pasmem żwiru i rzędem domków, za którymi zaczynały się pola. Przy Gałazce Oliwnej i Gołębiczy" przeszedł przez ulicę i wkroczył do drogerii mieszczącej się między kwiaciarnią a biurem obrotu nieruchomościami. Burden czasami kupował tu krem do golenia i znał człowieka, który wyłonił się z laboratorium na tyłach. Ten jednak niemal od razu pokręcił głową. Nie mieli żadnych kosmetyków tego rodzaju.

Zostały już tylko dwie: mały, obskurny sklepik ze słoikami pomady do włosów i szczoteczkami do zębów w witrynie oraz elegancki salon składający się z dwóch pomieszczeń, ze schodami do drzwi i łukowym oknem. Sprzedawca pomady nigdy nie słyszał o Arctic Sabie.

Wspiał się na małą drabinkę i z półki ściągnął karton z zielonymi, plastikowymi cylindrami.

- Od dwóch tygodni nie sprzedałem żadnej szminki - oświadczył.

Burden otworzył drzwi tego eleganckiego sklepu i wstąpił na dywan w kolorze czerwonego wina. Na złotych stolikach i kontuarach wydawały się znajdować wszystkie pachnidła Arabii. Jego węch zaatakowały piżmo i ambra, i świeżo skoszone siano. Za piramidami pudełek, ozdobionych złoceniami i obwiązany wstążką, widział tył dziewczęcej głowy, dziewczyny z krótkimi, jasnymi lokami, ubranej w bladożółty sweter. Zakaszła, dziewczyna się odwróciła i okazało się, że w rzeczywistości był to młody mężczyzna.

- Czyż to nie cudowny kolor? - powiedział młodzieniec po chwili rozmowy. - Taki młody, świeży i niewinny. Tak, to z pewnością jedna z naszych. Wszystkie opisuję tym. - Podniósł z lady przy kasie fioletowe pióro kulkowe.

- Przypuszczam, że nie jest pan w stanie mi powiedzieć, komu pan ją sprzedał?

- Ależ ja uwielbiam zagadki! Niechże się zatem zastanowię.

Otworzył szufladę z gałką z rżniętego szkła i wyjął tacę złotych szminek. W każdej podziałce leżało ich kilka.

- Niech no popatrzę - powiedział. - Mutation Mink, zeszyły trzy. Początkowo miałem tuzin z każdego koloru. Trinidad Tiger - wielkie nieba, sprzedało się dziewięć! Ale to dość pospolity odcień czerwieni. I oto jest, Arctic Sabie, zeszyły cztery. Teraz muszę pomyśleć.

Burden powiedział zachęcająco, że jest szalenie pomocny.

- W istocie mamy stałą klientelę, którą można by określić jako zamożną. Nie chcę, by zabrzmiało to snobistycznie, ale raczej unikam tańszych produktów. Już pamiętam. Jedną kupiła panna element z biura nieruchomości. Nie, kupiła dwie, jedną dla siebie i drugą

dla kogoś na prezent urodzinowy. Kolejną wzięła pani Darrell. Pamiętam, bo wybrała Mutation Mink i zmieniła zdanie, ledwie wyszła za sklepu. Wróciła i wymieniła ją, a gdy się namyślała, ktoś przyszedł po bladoróżową pomadkę. Oczywiście, pani Missal! Rzuciła tylko okiem - pani Darrell wypróbowała kolor na nadgarstku - i powiedziała: "To absolutnie ja!". Pani Missal ma wykwintny gust, ponieważ, co by nie powiedzieć, Arctic Sable jest wręcz stworzony dla rudowłosych kobiet, takich jak ona.

- Kiedy to było? - zapytał Burden. - Kiedy sprowadził pan tę futerkową linię?

- Momencik. - Zajrzał do książki dostaw. - W czwartek tydzień temu. Zaraz po dostawie sprzedałem te dwie pannie Clement. Bodaj w piątek. W sobotę mnie nie było, a w poniedziałek zawsze jest zastój. Pranie, wie pan. We wtorek zamykamy wcześniej, a wczoraj żadnej nie sprzedałem. Czyli musiał to być wtorek rano.

- Był pan doprawdy wielką pomocą - oświadczył Burden.

- Drobiazg. Wniósł pan odrobinę urozmaicenia do mojego zwyczajnego świata. A przy okazji, pani Missal mieszka w tym uroczym, wytwornym domku naprzeciwko Gałązki Oliwnej i Gołębic", a pani Darrell ma apartament z różowymi zasłonami w tym nowym bloku na Queen Street.

Traf chciał, że panna Clement obie szminki miała w torebce, własną częściowo zużyta, a tę drugą, którą kupiła na prezent, nadal zapakowaną w celofan. Burden, wychodząc z agencji nieruchomości, spojrzął na zegarek. Wpół do szóstej. Zdażył odwiedzić wszystkie sklepy przed zamknięciem. Panią Darrell zastał w mieszkaniu obok. Piła herbatę z przyjaciółką, ale zeszła spiralnymi schodami na tyłach bloku i weszła do sąsiedniego, by pięć minut później wrócić z nietkniętą szminką Arctic Sable z fioletowym napisem osiem i sześć na denku.

Gdy skręcał w Queen Street i przechodził przez plac pod

Gałązką Oliwną i Gołębicą", autobus linii Stowerton-Pomfret właśnie wspinał się na wzgórze. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że była za dziesięć szósta. Może miał opóźnienie, wyjeżdżając ze Stowerton, może często się to zdarzało. Szlag by trafił te głupie kobiety i ich szminki, pomyślał. To musiał zrobić Parsons.

Uroczy mały domek nawiązywał do stylu królowej Anny, w większej części pokryty był białą farbą, ozdobiony kutym żelazem i skrzynkami na kwiaty. Drzwi frontowe były żółte, po bokach rosły błękitne lilie w kamiennych donicach. Szarpnął za dzwon okrętowy z miedzianym sercem, który wisiał na sznurze. Ale, jak się spodziewał, nikt nie wyszedł. Garaż, przerobiony z powozowni, był pusty, a jego drzwi otwarte. Znowu zszedł po schodach, przeszedł przez ulicę i ruszył w stronę posterunku, zastanawiając się po drodze, jak Bryantowi poszło w Southern Water Board.

Wexford wydawał się usatysfakcjonowany wynikiem poszukiwań szminki. Zaczekali na powrót Bryanta ze Stowerton, po czym udali się do Gałązki Oliwnej i Gołębicy" na obiad.

- Zdaje się, że to oczyszcza Parsonsa - powiedział Wexford. - Z Water Board wyszedł o siedemnastej trzydzieści albo odrobinę później. Z pewnością nie wcześniej. Nie zdążyłby na ten o siedemnastej trzydzieści dwie.

- Nie - niechętnie przyznał Burden. - A następny jest dopiero o osiemnastej dwie.

Weszli do sali jadalnej Gałązki Oliwnej i Gołębicy", a Wexford poprosił o stolik przy oknie, żeby mieli na oku dom pani Missal.

Skończyli pieczeń jagnięcą i zabrali się za tartę agrestową, a drzwi do garażu nadal stały otworem i nikt nie wszedł do domu ani z niego nie wyszedł. Burden został przy stole, podczas gdy Wexford poszedł zapłacić, a w chwili, gdy się podnosił, żeby pójść za nim, zobaczył

blondynkę w bawełnianej sukience, która z Sewingbury Road wchodziła w High Street. Minęła kościół metodystów, rząd domków, wbiegła po schodach domu pani Missal i otworzyła sobie drzwi.

- Mike, chodźmy - powiedział Wexford.

Pociągnął za serce dzwonka.

- Tylko popatrz na to cholerstwo - powiedział. - Nie cierpię takich rzeczy.

Czekali kilka sekund. Potem drzwi otworzyła ta jasnowłosa dziewczyna.

- Pani Missal?

- Pani Missal, pan Missal, dzieci, wszyscy wyjechali - odparła. Mówiła z silnym obcym akcentem. - Pojechali nad morze.

- Jesteśmy z policji - wyjaśnił Wexford. - Kiedy pani Missal wraca?

- Teraz jest siódma... - Obejrzała się na czarny, stary zegar. - Wpół do ósmej, ósma. Nie wiem. Wy wracacie za jakiś czas. Potem ona wraca.

- Zaczekamy, jeśli nie ma pani nic przeciwko - powiedział Wexford.

Przeszli przez próg i stanęli na grubym, niebieskim dywanie. Hol był prostokątny, ze schodami wznoszącymi się ze środka do tyłu i rozgałęziającymi się na dziesiątym stopniu. Pod łukiem po prawej stronie tej klatki schodowej Burden zobaczył jadalnię z lakierowaną podłogą, częściowo przykrytą indyjskimi dywanikami w jasnych kolorach. Na końcu tego pokoju otwarte francuskie okna wychodziły na rozległy i najwyraźniej nieskończony ogród. Hol był chłodny, panowała w nim słaba woń jakichś rzadkich i wytwornych kwiatów.

- Droga pani, czy mogłaby pani powiedzieć, jak się pani nazywa i co tutaj robi? - zapytał Wexford.

- Inge Wolff. Jestem nianią Dymphny i Priscilli.

Dymphna, pomyślał wstrząśnięty Burden. Jego własne

dzieci nosiły imiona John i Pat.

- W porządku, panno Wolff. Proszę nam wskazać miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść, i może się pani zająć swoją pracą.

Otworzyła drzwi po lewej stronie holu i Wexford i Burden znaleźli się wielkim salonie, którego łukowate okna wychodziły na ulicę. Dywan był zielony, fotele i ogromna sofa obite zielonym płótnem we wzór różowych i białych rododendronów. W dwóch białych wazonach stały prawdziwe rododendrony o kwiatach wielkości spodka na długich łodygach. Burden odniósł wrażenie, że gdy kończył się sezon na rododendrony, pani Missal napełniała wazony ostróżkami i stosownie do tego zmieniała obicia.

- Forsy tu nie brakuje - lakonicznie powiedział Wexford po wyjściu dziewczyny. - Właśnie o czymś takim myślałem, mówiąc, że ona mogła kupić Arctic Sabie do kompletu.

- Papierosa, sir?

- Burden, czyś pan oszalał? Może jeszcze niech pan zdejmie krawat. To jest Sussex, nie Meksyk.

Burden schował paczkę i przez dziesięć minut siedzieli w milczeniu.

- Założę się, że ma tę szminkę w torebce - odezwał się wreszcie.

- Niech pan posłucha, Mike, sprzedały się cztery, wszystkie opisane fioletowym tuszem. Zgadza się? Panna Clement wzięła dwie, pani Darnell ma jedną. Czwartą mam ja.

- W Stowerton, Pomfret czy Sewingsbury mogą być jakieś drogerie, gdzie opisuje się towary fioletowym tuszem.

- Zgadza się, Mike. A jeśli pani Missal będzie wstanie pokazać mi swoją, to pierwsze, co zrobi pan z rana, to pojedzie prosto do Stowerton i zacznie przeszukiwać tamtejsze sklepy.

Ale Burden nie słuchał. Jego fotel skierowany był w stronę okna i śledczy wyciągał szyję.

- Jedzie samochód - poinformował. - Oliwkowo- zielony mercedes, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa. Rejestracja X- P- Q- jeden- osiem- dziewięć- Q.

- W porządku, Mike, nie chcę go kupować.

Gdy koła zazgrzytały na podjeździe i ktoś otworzył drzwi, Burden cofnął głowę.

- O rety - powiedział. - Przystojna z niej babka.

Z samochodu wysiadła kobieta w białych spodniach i podeszła do podnóża schodów. Jedwabna, turkusowo-granatowa chustka przytrzymująca jej rude włosy była dopasowana do bluzki. Burden uznał, że jest piękna, choć twarz miała spiętą, jakby opalona skóra była naciągnięta na stalową ramę. Płacili mu nie za podziwianie, ale za obserwowanie. Dla niego najbardziej znaczącą rzeczą było to, że usta miała pomalowane nie brązowym różem, ale złocistą czerwienią. Odwrócił się od okna i usłyszał jej głośne słowa:

- Mam po dziurki w nosie tych przeklętych dzieciaków! Pete, załóżę się o cokolwiek zechcesz, że ta parszywa mała Inge jeszcze nie wróciła.

W drzwiach frontowych zachrobotał klucz i Burden usłyszał, jak Inge Wolff biegnie przez hol, żeby przywitać swoich pracodawców. Jedno z dzieci płakało.

- Policjanci? Ilu policjantów? Och, Inge, nie wierzę. Gdzie jest ich samochód?

- Pewnie chodzi im o mnie, Helen. Wiesz, że zawsze zostawiam merca na zewnątrz bez świateł.

Wexford w salonie się uśmiechnął.

Drzwi otworzyły się z nienacką, odbijając się od jednego z wazonów, jakby ktoś kopnął je z irytacją. Pierwsza weszła ta rudowłosa kobieta. Na nosie miała ciemne okulary w oprawkach wysadzanych kryształkami, a choć słońce zniknęło, a w pomieszczeniu było mroczno, nie zdjęła ich. Jej mąż był wysoki i duży, twarz miał

opuchniętą i już poznaczoną fioletowymi żyłkami. Długie poły koszuli opierały mu się na brzuchu jak wielki kaftan ciężowy. Burden skrzywił się, widząc wzór butelek, kieliszków i sztucców na tle czerwono-białej szachownicy.

On i Wexford się podnieśli.

- Pani Missal?

- Tak, jestem Helen Missal. Czego, do diabła, chcecie?

- Pani Missal, jesteśmy funkcjonariuszami policji i prowadzimy śledztwo w sprawie zniknięcia pani Margaret Parsons.

Missal wytrzeszczył oczy. Mięiste usta już miał wilgotne, ale wciąż je oblizywał.

- Proszę usiąść - powiedział. - Nie mam pojęcia, po co chcielibyście rozmawiać z moją żoną.

- Ja też nie - stwierdziła Helen Missal. - Co to ma być, państwo policyjne?

- Nic z tych rzeczy, pani Missal. O ile mi wiadomo, we wtorek rano kupiła pani nową szminkę?

- I co z tego? To jakaś zbrodnia?

- Madame, gdyby mogła mi pani pokazać tę szminkę, będę całkowicie usatysfakcjonowany i nie będę zabierać pani więcej czasu. Z pewnością po całym dniu nad morzem jest pani zmęczona.

- Może pan być pewien. - Uśmiechnęła się. Burden pomyślał, że nagle zaczęła sprawiać wrażenie jednocześnie ostrożniejszej i bardziej przyjaznej. - Usiadł pan kiedyś na miętowych lodach na patyku? - zachichotała i pokazała na błądą, niebieskawozieloną plamę na siedzeniu spodni. - Bogu dzięki za Inge! Dziś nie chcę już widzieć na oczy tych małych gówniarzy.

- Helen! - Powiedział pan Missal.

- Pani Missal, szminka.

- A tak, szminka. Faktycznie kupiłam, taki brudny kolor o nazwie Arctic coś tam. Wczoraj wieczorem zgubiłam ją

w kinie.

- Jest pani zupełnie pewna, że zgubiła ją w kinie? Szukała jej pani? Na przykład pytała kierownika?

- O co, o szminkę za osiem szylingów? Czy ja wyglądam na biedaczkę? Poszłam do kina...

- Sama, madame?

- Oczywiście, że sama. - Burden wyczuł pewną defensywność, ale okulary maskowały jej oczy. - Poszłam do kina, a gdy wróciłam, nie miałam tej szminki w torebce.

- Czy to ta? - Wexford trzymał szminkę na otwartej dłoni, a pani Missal wyciągnęła długie palce z paznokciami pomalowanymi srebrnym lakierem, przez co wyglądały jak płytki zbroi. - Obawiam się, że poproszę panią o to, by pojechała ze mną na posterunek w celu pobrania odcisków palców.

- Helen, o co tu chodzi? - Missal położył rękę na ramieniu żony. Strząsnęła ją, jakby jego palce zostawiały brudne ślady. - Nie rozumiem. Ktoś ukradł ci szminkę, ktoś powiązany z tą kobietą?

Nadal patrzyła na szminkę w swojej dłoni. Burden zastanawiał się, czy ma świadomość, że pokryła ją już swoimi odciskami palców.

- Przypuszczam, że to moja - powiedziała powoli. - W porządku. Przyznaję, że to musi być ta moja. Gdzie ją znaleźliście, w kinie?

- Nie, pani Missal. Została znaleziona na skraju lasu przy Pomfret Road.

- Co? - podskoczył Missal. Popatrzył na Wexforda, potem na swoją żonę. - Zdejmij te cholerne okulary! - krzyknął i zerwał je z jej nosa. Burden zobaczył, że oczy miała zielone, bardzo jasna błękitnawa zieleń poznaczona złotymi punkcikami. Przez sekundę dostrzegł w nich panikę; potem opuściła powieki, jedyną tarczę, która jej pozostała, i spojrzała na swoje kolana.

- Poszłaś do kina - powiedział Missal. - Powiedziałaś, że

poszłaś do kina. Nie rozumiem tego o lesie i Pomfret Road. Co tu się, do diabła, wyrabia?

- Ktoś musiał znaleźć moją szminkę w kinie - stwierdziła Helen Missal bardzo powoli, jakby wymyślała historię na bieżąco. - Potem musiał ją upuścić. I tyle. Proste. Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie.

- Tak się składa - odezwał się Wexford - że pani Parsons dzisiaj, o wpół do drugiej, została znaleziona w lesie, martwa.

Wzdrygnęła się i ścisnęła podłokietniki fotela. Burden pomyślał, że robi wszystko, by nie krzyknąć.

- Przecież to jasne - odezwała się wreszcie. - Wasz morderca, kimkolwiek jest, ukradł mi szminkę i upuścił ją w... miejscu zbrodni.

- Pomijając - powiedział Wexford - że pani Parsons zmarła we wtorek. Nie będę pani dłużej zatrzymywał, madame. Nie w tej chwili. Ale jeszcze jedna rzecz, ma pani własny samochód?

- Tak, mam. Czerwone renault dauphine. Trzymam je w drugim garażu z wyjazdem na Kingsbrook Road. Dlaczego pan pyta?

- Właśnie, dlaczego? - dołączył się Missal. - Po co to wszystko? Nawet nie znaleźmy tej pani Parsons. Nie sugeruje pan chyba, że moja żona...? Mój Boże, niech ktoś to wytłumaczy!

Wexford spoglądał to na jedno, to na drugie. Potem wstał.

- Sir, chciałbym jedynie rzucić okiem na opony.

Gdy to powiedział, wydawało się, że na pana Missala nagle padło światło. Jego twarz nabrała jeszcze bardziej ceglastego koloru i pofałdowała się jak u dziecka, któremu zbierało się na płacz. Była tam rozpacz, rozpacz i jakiś ból, i Burden miał poczucie, że nie powinien na to patrzeć. Potem Missal zdołał się opanować. Odezwał się cichym, pełnym rezerwy tonem, który wydawał się kryć mnogość niewypowiedzianych pytań i oskarżeń.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby obejrzeć panowie samochód mojej żony, ale nie mam pojęcia, jaki mogłaby mieć związek z tą kobietą.

- Ja również nie - pogodnie odparł Wexford. - I to właśnie chcemy ustalić. Tak samo jak i pan błędnie w ciemnościach.

- Och, Pete, dajże im klucz od tego garażu - zirytowała się pani Missal. - Powiadam wam, że nic więcej nie wiem. To nie moja wina, że ktoś mi ukradł szminkę.

- Dużo bym dał, żeby móc się schować za tymi rododendronami i posłuchać, co on do niej mówi - powiedział Wexford, gdy szli w górę Kingsbrook Road do garażu Helen Missal.

- I co ona mówi do niego - dodał Burden. - Uważa pan, że powinniśmy zostawić ich na noc, sir? Ona na pewno ma aktualny paszport.

- Tak sądziłem, że to może pana martwić, Mike - niewinnie odpowiedział Wexford - więc zamierzam wynająć na tę noc pokój w "Gałązce Oliwnej i Gołębiczy". Małe zadanie dla Martina. Będzie musiał czuwać przez całą noc. Gdy o tym myślę, krwawi mi serce.

Ogród Missalów był rozległy i o kształcie mniej więcej diamentu. Po północnej stronie, tam, gdzie diament miałby ukośne cięcie, ogród przylegał do Kingsbrook, a po drugiej żywopłot z tamaryszków oddzielał go od Kingsbrook Road. Burden otworzył cedrowe drzwi garażu i zanotował sobie numer rejestracyjny wozu Helen Missal. Jego tylne okno było niemal całkowicie zasłonięte przez pluszowego tygrysa.

- Mike, chcę próbkę z tych opon - powiedział Wexford. - Mamy próbkę z tej dróżki przy farmie Prewetta. W sumie dla nas to fart, że ta ziemia to praktycznie udeptane krowie łajno.

- Niech to - mruknął Burden, krzywiąc się, gdy wstawał. Zamknął drzwi na klucz. - Nie ma to jak draka u

milionerów.

Włożył wyschnięte błoto do koperty i wskazał w stronę domów po drugiej stronie drogi: ku domostwu z wieżyczkami, bungalowowi w stylu ranczerskim, z dwoma podwójnymi garażami, i nowemu domowi w stylu góralskim z balkonikami z ciemnego, rzeźbionego drewna.

- Miło, że udało ci się trochę zebrać. Chodźmy. Pójdę po samochód i zamienimy jeszcze słówko z Prewettem, a przy okazji z kierownikiem kina. Niech pan podrzuci klucz Inge, czy jak tam się ona nazywa, i wraca do domu. Jutro z nią porozmawiam.

- Sir, kiedy ponownie spotka się pan z panią Missal?

- O ile się bardzo nie mylę - odparł Wexford - przyjdzie do mnie, zanim ja przyjdę do niej.

*Jeśli odpowie ci Nie,
Pokłonisz się i pozwolisz jej odejść?*

WJ. Linten, *Faint Heart*

Gdy o poranku Wexford wkroczył na posterunek, sierżant Camb rozmawiał z kimś przez telefon. Zakrył mikrofon dłonią.

- Sir, pani Missal do pana - powiedział do inspektora. - Dzwoni już trzeci raz.

- Czego chce?

- Mówi, że musi się z panem zobaczyć. To bardzo pilne. - Camb sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Chce wiedzieć, czy może pan przyjechać do niej do domu.

- Każdy by chciał. Niech pan jej powie, że jeśli chce się ze mną spotkać, to będzie musiała pofatygować się tutaj. - Otworzył drzwi do swojego biura. - Och, jeszcze jedno, sierżancie Camb, niech pan jej powie, że może mnie zastać do dziewiątej trzydzieści.

Gdy otworzył okna i zrobił bałagan na biurku - tak jak lubił - znowu wyrztał przez drzwi i poprosił o herbatę.

- Gdzie jest Martin?

- Nadal w Gałazce Oliwnej i Gołębiczy", sir.

- Boże Wszechmogący! Czy jemu się wydaje, że jest na wakacjach? Niech pan do niego zadzwoni i powie, że może wracać do domu.

Był piękny poranek, czerwiec zbliżał się z łagodnością jagniątką, a zza swojego biurka Wexford widział ogrody na Bury Street i skrzynki kwiatowe na Midland Bank,

pełne kwitnących tulipanów. Wiosenne kwiaty się kończyły, letnie jeszcze nie rozkwitły - z wyjątkiem rododendronów. Gdy z oddali zaczął dobiegać dźwięk szkolnego dzwonka, sierżant Camb przyniósł herbatę - i przyprowadził panią Missal.

- Poprosimy jeszcze jeden kubek.

Dziś rano zaczesła włosy do góry i zdjęła okulary. Bluzka z organdy i plisowana spódnica sprawiały, że wyglądała zaskakująco skromnie i Wexford zastanawiał się, czy wraz z krzykliwą koszulą i spodniami pozbyła się nieprzyjemnych manier.

- Inspektorze, obawiam się, że byłam dość niemądrą dziewczynką - powiedziała ufnym głosem.

Wexford wyjął z szuflady czystą kartkę i zaczął coś pracowicie notować. Nie mógł wymyślić niczego przekonującego do zapisania, a ponieważ ze swojego miejsca nie mogła widzieć tej kartki, naskrobał tylko: *Missal, Parsons; Parsons, Missal*.

- Widzi pan, nie powiedziałam panu całej prawdy.

- Nie? - zdziwił się Wexford.

- Nie chcę powiedzieć, że kłamałam. Chcę powiedzieć, że to i owo opuściłam.

- Och, doprawdy?

- Cóż, rzecz w tym, że tak naprawdę nie poszłam do kina sama. Spotkałam się z przyjacielem. - Uśmiechnęła się jak jedna wyrafinowana osoba do drugiej. - Nic w tym nie było, ale wie pan, jacy mężowie są sztywni.

- Tak sędzę - powiedział Wexford. - Sam jestem mężem.

- Tak, cóż, gdy wróciłam do domu, nie mogłam znaleźć mojej nowej szminki i myślę, że musiała mi wypaść w samochodzie mojego przyjaciela. Och, herbata. Jakie to słodkie!

Rozległo się pukanie i do środka wszedł Burden.

- Pani Missal opowiadała mi właśnie o swojej wizycie w kinie w środę wieczorem - powiedział Wexford. Nadal

notował. Zapełnił już pół strony.

- To był dobry film, prawda, pani Missal? Niestety, musiałem wyjść w połowie. - Burden poprosił o trzecią herbatę. - Co się stało z tym tajnym agentem? Ożenił się z tą blondynką czy z tą drugą?

- Och, z tą drugą - swobodnie odpowiedziała Helen Missal. - Tą, która grała na skrzypcach. Umieściła wiadomość w jakimś kodzie muzycznym, a gdy wrócili do Londynu, zagrała go przed MI- 5.

- To wspaniałe, że coś takiego wymyślili - powiedział Burden.

- Cóż, pani Missal, nie będę pani dłużej zatrzymywał...

- Tak, muszę uciekać. Mam wizytę u fryzjera.

- Proszę mi jeszcze tylko podać nazwisko pani przyjaciela, tego, z którym poszła pani do kina...

Helen Missal patrzyła to na Wexforda, to na Burdena. Wexford zgniótł kartkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

- Och, tego nie mogę zrobić. To znaczy, nie chcę go w to mieszać.

- Powinna to pani przemyśleć. Proszę o tym pomyśleć podczas wizyty u fryzjera.

Burden przytrzymał jej drzwi, a ona wyszła szybko, nie oglądając się za siebie.

- Rozmawiałem z jedną swoją sąsiadką - powiedział do Wexforda. - Z panią Jones, z Tabard Road dziewięć. Wie pan, to ona powiedziała nam o samochodach, które we wtorek po południu stały na Tabard. Zapytałem ją, czy pamięta jakieś marki albo kolory i powiedziała, że zapamiętała jeden samochód, jasnoczerwony i z tygrysem z tyłu. Rejestracji nie widziała. Widziała te samochody z boku, wie pan, a były bardzo ciasno zaparkowane.

- Jak długo tam stał?

- Pani Jones nie potrafiła określić. Powiedziała jednak, że pierwszy raz zobaczyła go koło trzeciej i stał tam

nadal, gdy dzieci wróciły ze szkoły. Oczywiście nie wie, czy był tam przez cały czas.

- Mike, gdy pani Missal będzie u fryzjera - zdecydował Wexford - ja pojedę zamienić słówko z Inge. Jak powiedziała pani Missal, Bogu dzięki za Inge!

Na podłodze w jadalni leżało kilka szmatek i puszka pasty do froterowania, a indyjskie dywaniki były rozłożone na chodniku pod oknami. Inge Wolff, zdaje się, miała jeszcze inne obowiązki poza zajmowaniem się Dymphną i Priscillą.

- Wszystko co wiem, powiem wam - oświadczyła dramatycznie. - Co mi zależy? W przyszłym tygodniu i tak wracam do domu, do Hanoweru.

Może, pomyślał Wexford, a może nie. Biorąc pod uwagę, jak wyglądały sprawy, to Inge Wolff przez kilka następnych miesięcy mogła być potrzebna w Anglii.

- W poniedziałek pani Missal zostaje w domu przez cały dzień. Tylko rano na zakupy wychodzi. Także wtorek idzie na zakupy rano, bo po południu wszystkie sklepy zamykane.

- Panno Wolff, a co z wtorkowym popołudniem?

- Ach, we wtorki po południu wychodzi. Najpierw jemy nasz obiad. O pierwszej. Ja i pani Missal, i dzieci. Ach, przyszły tydzień, pomyśleć tylko, żadnych dzieci! Po obiedzie ja zmywam, a ona idzie do swojej sypialni i się kładzie. Gdy schodzi, mówi: "Inge, wychodzę z samochodem", i bierze klucz i idzie do ogrodu, do garażu.

- O której to mogło być, panno Wolff?

- Trzecia, wpół do trzeciej. Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Potem wraca, o piątej, szóstej.

- A środa?

- Ach, środa. Mam pół dnia wychodnego. Bardzo dobrze. Dymphna przychodzi na obiad, wraca do szkoły. Ja wychodzę. Pani Missal zostaje w domu z Priscillą. A

wieczór ona wychodzi, siódma, wpół do ósmej. Nie wiem. W tym domu zawsze przychodzą i wychodzą. To jak jakaś gra.

Wexford pokazał jej zdjęcie pani Parsons.

- Panno Wolff, czy widziała pani kiedykolwiek tę kobietę? Czy kiedykolwiek tutaj przychodziła?

- Setki takich kobiet wKingsmarkham. Wszystkie do siebie podobne poza bogaczkami. Te, które tu przychodzą, nie są takie jak ta. - Zaśmiała się szyderczo.

- Och, nie, to zabawne. Śmieję się, patrząc to. Nikt nie przychodzi taki.

Gdy Wexford wrócił na posterunek, Helen Missal siedziała w holu wejściowym. Rude włosy miała wymyślnie poskręcane na czubku głowy.

- Przemyślała pani coś sobie, pani Missal? - Gestem wskazał jej drogę do swojego biura.

- Co do tego środowego wieczoru...

- Pani Missal, szczerze mówiąc, niespecjalnie mnie interesuje środowy wieczór. Co do wtorkowego popołudnia...

- Dlaczego wtorkowe popołudnie?

Wexford położył na biurku fotografię tak, żeby ją widziała. Potem położył na niej szminkę. Mały, złoty cylinder przeturlał się po błyszczącym zdjęciu i znieruchomiał.

- We wtorek po południu została zabita pani Parsons - powiedział cierpliwie - a my znaleźliśmy pani szminkę kilka jardów od zwłok. Zatem, jak pani rozumie, środa wieczór mało mnie interesuje.

- Nie sądzi pan chyba... O mój Boże! Niechże pan posłucha, inspektorze, we wtorek po południu byłam tutaj. Poszłam do kina.

- Pani chyba utrzymuje to miejsce. Co za szkoda, że nie mieszka pani w Pomfret. Tamtejsze kino trzeba było zamknąć z powodu braku zainteresowania.

Helen Missal nabrała powietrza i wypuściła je w

głębokim westchnieniu. Stopy owinęła wokół metalowych nóg krzesła.

- Chyba będę musiała panu wszystko powiedzieć - stwierdziła. - Mam na myśli, że lepiej powiem prawdę.

Mówiła o tym tak, jakby to była okropna ostateczność, nie obowiązek moralny.

- Madame, tak pewnie będzie najlepiej.

- Cóż, widzi pan, powiedziałam, że w środę byłam w kinie tylko po to, żeby mieć alibi. Tak naprawdę wyszłam z przyjacielem. - Uśmiechnęła się zwycięsko. - Który powinien zostać bezimienny.

- Na razie - odparł niepokonany Wexford.

- Byłam umówiona z tym przyjacielem na środę wieczór, ale nie mogłam o tym przecież powiedzieć mężowi, prawda? Powiedziałam więc, że idę do kina. A naprawdę po prostu jeździliśmy po drózkach. Cóż, film musiałam i tak obejrzeć, zgadza się? Ponieważ mój mąż zawsze... z pewnością by mnie o niego zapytał. Więc poszłam go zobaczyć we wtorek po południu.

- Wzięła pani samochód, pani Missal? Mieszka pani zaledwie sto jardów od kina.

- Pewnie rozmawiał pan z tą przekłętą, małą Ingę. Widzi pan, musiałam wziąć samochód, żeby sądziła, że jadę gdzieś daleko. Nie mogłam pojechać na zakupy, bo mieli już zamykać, a ja nigdzie nie chodzę na piechotę. Ona o tym wie. Pomyślałam, że jeśli nie wezmę samochodu, to domyśli się, że poszłam do kina, a potem uzna, że to zabawne, że w środę idę znowu.

- Służący mają swoje wady - zauważył Wexford.

- Co pan powie. Cóż, i to już wszystko. Wzięłam samochód i postawiłam go na Tabard Road... O Boże, właśnie tam mieszkała ta kobieta, zgadza się? Ale nie mogłam zostawić go na High Street ze względu... - znowu spróbowała uśmiechnąć się łagodząco - ze względu na wasze niedorzeczne przepisy parkingowe.

- Madame, znała pani tę kobietę? - ostrym tonem zapytał

Wexford.

- Och, ależ mnie pan przestraszył Zaraz. Nie, nie wydaje mi się. To nie była osoba z rodzaju tych, które chciałabym znać, inspektorze.

- Pani Missal, z kim pani wyszła w środę wieczorem, gdy zgubiła pani tę szminkę?

Nie pomogły jej uśmieški i próby utrzymania dziewczęcych sekretów.

- Nie powiem panu! - krzyknęła, odsuwając krzesło. - Nie powiem. Nie zmusi mnie pan! Nie może mnie pan tutaj trzymać.

- Madame, przyszła tu pani z własnej woli - odparł Wexford. Uśmiechając się sympatycznie, otworzył drzwi. - Zajrzę do państwa wieczorem, gdy mąż będzie w domu, i zobaczymy, czy uda nam się wszystko wyjaśnić.

Pastor metodystów niezbyt pomógł Burdenowi. Nie widział pani Parsons od niedzieli i był zaskoczony, gdy nie przyszła na towarzyskie spotkanie we wtorek. Nie, nie miała w kościele żadnych bliskich znajomych i nie przypominał sobie nikogo, kto zwracałby się do niej po imieniu.

Burden sprawdził rozkład jazdy autobusów w zajezdni i stwierdził, że ten o piątej trzydzieści dwie wyjechał ze Stowerton dokładnie o czasie. Ponadto konduktorka w autobusie z Kingsmarkham, tym, który ruszał ze Stowerton o piątej trzydzieści pięć, przypomniała sobie, że widziała Parsonsa. Poprosił o wydanie reszty z banknotu dziesięcioszylingowego i byli już prawie w Kingsmarkham, zanim uzbierała tyle drobnych, żeby mu wydać.

- Z panią Krwawą Missal mamy ubaw po pachy - powiedział Wexford, gdy wszedł Burden. - To jedna z tych kobiet, które kłamstwo mają w naturze.

- A gdzie tutaj motyw, sir?

- Mnie niech pan nie pyta. Może spotykała się z Parsonsem, we wtorek po południu zabrała go z biura i przekupiła całe Southern Water Board, żeby mówili, że do siedemnastej trzydzieści był w pracy. Może ma jeszcze jednego chłopaka, z którym wychodzi w środy, po jednym na każdy dzień tygodnia. A może ona, Parsonsowie i pan X, który ma być bezimienny (Boże Wszchemogący!), są rosyjskimi agentami, a pani Parsons przeszła na stronę Zachodu. Wszystko to jest tak cudowne, Mike, że chce mi się rzygać!

- Nie znaleźliśmy tego czegoś, czym została uduszona - ponuro powiedział Burden. - Czy kobieta dałaby radę to zrobić?

- Crocker chyba tak uważa. O ile byłaby to silna, młoda kobieta, siedząca na tylnym siedzeniu i zatykająca jej usta.

- Jak pani Missal.

- Mike, pojedziemy tam dziś wieczorem i jeszcze raz omówimy to wszystko przy jej mężu. Ale nie wcześniej niż wieczorem. Dam jej cały dzień, żeby się pociała. Dostałem raport z laboratorium i na oponach pani Missal nie ma łajna. Ale nie musiała skorzystać z własnego samochodu. Jej mąż jest dealerem samochodów, w Stowerton ma salon sprzedaży. Ci ludzie nigdy nie mogą się zdecydować i ciągle zmieniają wozy. To kolejna rzecz, jaką będziemy musieli sprawdzić. Jutro jest sekcja, a do tego czasu chcę coś mieć.

Burden pojechał do Stowerton własnym samochodem i stanął na podjeździe przy salonie Missala. Spomiędzy rzędu pomp paliwowych, z przeszklonego biura wyszedł mężczyzna w kombinezonie.

- Dwa galony poproszę - powiedział Burden. - Pan Missal jest?

- Wyjechał z klientem.

- Szkoda - zmartwił się Burden. - Zajechałem tu we wtorek po południu i go nie zastałem.

- Przychodzi i wychodzi. Przetnę panu szybę.

- Może pani Missal?

- Nie widziałem jej od trzech miesięcy. Ostatnio w marcu. Przyjechała pożyczyć merca i wzięła kratkę. Baby za kierownicą!

- Pokłócili się wtedy, co? To w stylu Pete'a.

- Żeby pan wiedział. Nigdy więcej", powiedział. Ani merca, ani żadnego innego wozu".

- No, no - mruknął Burden. Dał mężczyźnie szylinga; więcej byłoby podejrzane. - Małżeństwo to pole bitwy, w której nie ma już nic do dodania.

- Powiem mu, że pan był.

Burden włączył silnik i wrzucił bieg.

- Niech pan sobie nie robi kłopotu - powiedział. - Widzę się z nim wieczorem.

Ruszył w stronę wyjazdu i zahamował gwałtownie, by uniknąć żółtego kabrioletu, który gwałtownie skręcił z Maryfield Road. Za kierownicą siedział starszy mężczyzna; obok niego Peter Missal.

- Przyjechał, jeśli chce pan z nim pogadać - zawołał pracownik. Burden zaparkował i pchnął uchylne drzwi. Czekał obok mini

obracającego się gładko na czerwonym podeście. Widział, jak na zewnątrz Missal rozmawia z kierowcą kabrioletu. Najwyraźniej sprzedaż nie doszła do skutku, bo mężczyzna oddalił się na piechotę, a Missal wszedł do salonu.

- Co znowu? - spytał Burdena. - Nie podoba mi się, że mnie pan prześladuje w moim miejscu pracy.

- Nie zajmę panu dużo czasu - odparł Burden. - Sprawdzam tylko wtorkowe popołudnie. Niewątpliwie był pan tutaj przez cały dzień. Przychodząc i wychodząc, oczywiście.

- To nie pański interes, gdzie byłem. - Missal strzepnął pyłek kurzu żwirującego mini. - Tak się składa, że byłem w Kingsmarkham spotkać się z klientem. I to wszystko, co mam panu do powiedzenia. Szanuję cudzą prywatność i szkoda, że pan nie robi tego samego.

- Sir, w przypadku morderstwa prywatne życie człowieka nie zawsze jest jego prywatną sprawą. Pana żona też chyba tego nie rozumie. - Ruszył w stronę drzwi.

- Moja żona... - Missal poszedł za nim, kręcąc głową, by się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma, i syknął wściekłym półszepcetem: - Niech pan zabiera ten złom z mojego podjazdu. Powoduje zator.

*Kim był jej ojciec?
 Kim była matka?
 Czy miała siostrę?
 Czy miała brata?
 A może był jej ktoś droższy
 I bliższy nawet?*

Thomas Hood, *The Bridge of Sighs*

Książki o morderstwach zniknęły, a górna półka regału była pusta. Jeżeli Parsons był niewinnym, prawdziwie pogrążonym w żałobie mężem, pomyślał Burden, to ich okładki, gdy dziś rano wszedł do tej obskurnej jadalni, musiały wręcz koszmarnie krzyczeć. A może je zabrał, bo spełniły już swoją rolę?

- Panie inspektorze - powiedział Parsons. - Ja muszę wiedzieć. Czy ona była... Została... Czy tylko ją uduszono, czy było coś jeszcze? - Przez ostatnich kilka dni albo się postarzał, albo był tak wybournym aktorem.

- W tej kwestii może pan być spokojny - pospiesznie odezwał się Wexford. - Pańska żona z pewnością została uduszona, ale zapewniam pana, że nie stało się jej nic innego. - Zapatrzył się na wypłowiałe zielone zasłony, na wytarte przy listwach przypodłogowych linoleum, i powiedział chłodno: - Nie była to napaść na tle seksualnym.

- Dzięki Bogu! - Parsons przemówił tak, jakby sądził, że w jakimś nonkonformistycznym niebie przebywał jakiś Bóg, i jakby naprawdę Mu dziękował. - Nie podołałbym

temu. Nie przeżyłbym tego. To by Margaret po prostu zabiło. - Uświadomił sobie, co właściwie powiedział, i ukrył twarz w dłoniach.

Wexford czekał, aż opuścił ręce i spojrzał na niego oczami pozbawionymi łez.

- Panie Parsons, mogę panu powiedzieć, że, o ile wiemy, nie doszło do żadnej walki. Wygląda to tak, jakby pańska żona do ostatniej chwili spała. Nastąpił krótki szok, sekunda bólu - a potem już nic.

Parsons mamrotał, odwracając głowę tak, że usłyszeli tylko ostatnie słowa:

- *..A choć przed ludźmi męki cierpieli, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności*³.

Wexford się podniósł i podszedł do regału. Nic nie powiedział na temat brakujących pozycji o zbrodniach, ale wziął książkę z jednej z niższych półek.

- Widzę, że ma pan przewodnik po okręgu Kingsmarkham. - Otworzył go i Burden dostrzegł kolorowaną fotografię placu targowego. - To nie jest nowa książka.

- Moja żona tam mieszkała... No, niezupełnie tam. We Flagford, kilka lat po zakończeniu wojny. Jej wuj stacjonował we Flagford wraz z RAF, a jej ciotka miała domek w wiosce.

- Niech mi pan opowie o życiu swojej żony.

- Urodziła się w Balham - odparł Parsons. Skrzywił się, unikając jej imienia. - Jej matka i ojciec zmarli, gdy była dzieckiem i zamieszkała ze swoją ciotką. Kiedy miała jakieś szesnaście lat, przyjechała do Flagford, ale jej się tam nie podobało. Jej wujek zmarł - nie został zabity ani nic z tych rzeczy, zmarł na zawał - a jej ciotka wróciła do Balham. Moja żona wyjechała do Londynu, do college'u, i zaczęła uczyć. Potem się pobraliśmy. I to wszystko.

- Panie Parsons, w środę mi pan powiedział, że pańska

3 Stary Testament, Księga Mądrości, cytata za Biblią Wujka

żona zabrała ze sobą klucz do drzwi frontowych. Ile kluczy mieliście?

- Tylko te dwa. - Parsons wyjął z kieszeni zwykły klucz yale i podał go Wexfordowi. - Mój i... i Margaret. Swoją nosiła na kółku ze srebrnym łańcuszkiem i zawieszka w kształcie podkowy. Dałem jej go, gdy tu przyjechaliśmy - dodał zwyczajnie, spokojnym głosem. - Portmonetka jest brązowa, z brązowego plastiku ze złotym zatrzaskiem.

- Chcę wiedzieć, czy pańska żona miała zwyczaj chodzić na farmę Prewetta. Znał pan Prewettów albo kogoś z pracowników farmy? Jest tam dziewczyna, nazywa się Dorothy Sweeting. Czy pańska żona kiedykolwiek o niej wspominała?

Ale Parsons nie słyszał o tej farmie, póki nie znaleziono tam ciała jego żony. Nie zajmowała jej wieś ani spacerować po polach, a nazwisko Sweeting nic mu nie mówiło.

- Zna pan kogoś o nazwisku Missal?

- Missal? Nie, nie wydaje mi się.

- Wysoka, przystojna kobieta z rudymi włosami. Mieszka w domu naprzeciwko Gałązki Oliwnej i Gołębicy". Jej mąż handluje samochodami. Wielki gość z wielkim, zielonym autem.

- Nie znamy... Nie znaleźliśmy nikogo takiego. - Twarz mu się wykrzywiła i podniósł dłoń, żeby zakryć oczy. - Tu jest mnóstwo snobów. Nie pasowaliśmy tutaj i nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. - Jego głos opadł do szeptu. - Gdybyśmy zostali w Londynie - powiedział - nadal mogłaby żyć.

- *A dlaczego* tu przyjechaliście, panie Parsons?

- Na wsi życie jest tańsze, a przynajmniej tak człowiek sądzi, póki nie spróbuje.

- A więc wasz przyjazd tutaj nie miał nic wspólnego z tym, że pańska żona kiedyś mieszkała we Flagford?

- Margaret nie chciała się tu przeprowadzać, ale pojawiła się praca. Żebracy nie mają wyboru. Gdy byliśmy w

Londynie, musiała pracować. Myślałem, że znajdzie tu spokój. - Zakaszłał, a dźwięk ten przeszedł w szloch. - I znalazła, prawda?

- Panie Parsons, przypuszczam, że na strychu są jakieś książki. Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Może pan je sobie wziąć - odparł Parsons. - Nie chcę ich już nigdy widzieć na oczy. Ale w nich niczego nie ma. Nigdy do nich nie zaglądała.

Ciemne klatki schodowe były już znajome i w dużej mierze utraciły złowieszczą atmosferę, którą Burden czuł podczas pierwszej wizyty. Słońce ujawniło świeży kurz, a w jego łagodnym świetle dom nie wyglądał już jak scena zbrodni, ale jak zaniedbana rudera. Było bardzo duszno i Wexford otworzył okienko na strychu. Z wieka większej skrzyni zdmuchnął kurz i otworzył ją. Była wypełniona książkami. Wyjął te z wierzchu. Były to powieści: dwie autorstwa Rhody Broughton, *Evelina* z serii *Everyman's Library* i *John Halifax, Gentleman* pani Craik. Skrzydełka okładki były czyste, a gdy nimi potrząsał, ze środka nic nie wypadło. Pod spodem były dwa pakiety lektur szkolnych, a między nimi coś, co wyglądało na komplet dzieł Angeli Brazil. Wexford wyrzucił je na podłogę i podniósł kilka książek wyglądających na drogie, niektóre oprawione w zamsz, inne w pachnącą skórę albo woskowany jedwab.

Pierwsza, którą otworzył, miała okładkę z bladzielonego zamszu, a brzegi stron złocone. Na wyklejce ktoś napisał starannie drukowanymi literami:

*Gdyby miłość była różą,
A ja byłbym liściem.
Nasze życia wzrastałyby razem
Czy słońce, czy deszcz...⁴*

A pod spodem:

4 Algernon Swinburne, *A Match*.

Minna, dosyć to sentymentalne, ale wiesz, co chcę powiedzieć. Wszystkiego, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Z miłością, Doon. 21 marca 1950.

Burden spojrzał ponad ramieniem Wexforda.

- Kto to jest Minna?

- Będziemy musieli zapytać Parsonsa - odparł Wexford. - Ta książka może pochodzić z antykwariatu. Wygląda na kosztowną. Ciekawe, dlaczego nie trzymała jej na dole. Bóg mi świadkiem, ten dom potrzebuje kolorów.

- A kim jest Doon? - spytał Burden.

- Podobno jest pan detektywem. Proszę się dowiedzieć.

Odłożył książkę na podłogę i wyjął kolejną. Była to *Oksfordzka księga wierszy wiktoriańskich*, także w czarnej i perłowszarej obwolucie, a ów Doon napisał w niej kolejną wiadomość. Wexford przeczytał ją głosem pozbawionym emocji:

- Minno, wiem, że oddałaś temu całe serce. Wyobraź sobie moją radość po wizycie w Foyle's" i ujrzeniu, że to na mnie czekało. Joyeux Noel, Doon, Boże Narodzenie 1950.

Następna książka była jeszcze wspanialsza, czerwony, woskowany jedwab i czarna skóra.

- Rzućmy okiem na numer trzy - mruknął Wexford. - *Wiersze Christiny Rossetti*. Bardzo to ładne, złożone litery i w ogóle. Co Doon miał do powiedzenia tym razem? *Prezent nieurodzinowy. Kochana Minno, życzę ci szczęścia teraz i zawsze. Doon. Czerwiec 1950.* Ciekawe, czy pani P. kupiła to wszystko od tej całej Minny.

- Przypuszczam, że pani Parsons mogła być tą Minną, że to jakiś przydomek.

- Przyszło mi to do głowy - sarkastycznie odpowiedział Wexford. - Mike, to są piękne książki, na pewno nie takie, jakie ktoś oddaje na kościelny kiermasz, a do pani Parsons wydają się pasować właśnie kościelne

kiermasze. Niech pan tylko spojrzy: Omar Khayyam, *Żdźbła trawy* Whitmana, William Morris. O ile się nie myłę, to Omar Khayyam kosztuje trzy albo cztery funty. A jest jeszcze jedna, *Verses of Walter Savage Landor*. To staroświecka książka, a strony nawet nie zostały porozcinane. - Na głos przeczytał wiadomość z wyklejki:

*Przysięgam przywieźć ze sobą
To, co natchnie cię radością,
Jedyny godny ciebie dar.
Którego nie odrzuci śmiertelny człek.*⁵

*Całkiem stosowne, nie sądzisz, Minno? Wyrazy
miłości, Doon. 21 marca 1951.*

- Nie było to szczególnie stosowne, prawda? A Minna, kimkolwiek jest, nie dostała tego daru. Nie rozcięła nawet kartek. Mike, porozmawiam sobie z Parsonsem jeszcze raz, a potem zabierzemy to wszystko na komendę. Ten strych przyprawia mnie o dreszcze.

Ale Parsons nie wiedział, kim była Minna, i wyglądał na zaskoczonego, gdy Wexford wymienił datę dwudziestego pierwszego marca.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił do niej Minna - powiedział z niesmakiem, jakby to imię było obrażą dla jej pamięci. - Moja żona nigdy nie mówiła o żadnym przyjacielu Doonie. Nigdy nawet nie obejrzałem tych książek. Margaret i ja mieszkaliśmy w domu, który zostawiła jej ciotka, potem przeprowadziliśmy się tutaj, a te książki zawsze były w skrzyni. Po prostu przywieźliśmy je razem z meblami. Nie wiem, o co chodzi z tą datą - dwudziestego pierwszego marca Margaret miała urodziny.

- Może to nic nie znaczyć, a może znaczyć wszystko -

⁵ Walter Savage Landor, *Corinna, from Athens to Tanagra (from Pericles and Aspasia)*.

stwierdził Wexford, gdy wsiedli do samochodu. - Doon mówi o Foyle's", a Foyle's", na wypadek, gdyby pan nie wiedział, mój prowincjonalny przyjacielu, jest w Londynie, na Charing Cross Road.

- Ale pani Parsons w czterdziestym dziewiątym miała szesnaście lat i przyjechała na dwa lata do Flagford. Mieszkała zaledwie pięć mil stąd, gdy Doon podarował te książki.

- Prawda. Może on też tu mieszkał i pojechał na jeden dzień do Londynu. Ciekawe, Mike, dlaczego te wiadomości napisał drukowanymi literami. Dlaczego nie normalnie? I dlaczego pani P. ukryła te książki, jakby się ich wstydziała?

- Na przeciętnym gościu zrobiłyby lepsze wrażenie niż *Panny w kąpielach*, czy co to tam jest - powiedział Burden. - Ten Doon z pewnością się nad nią użalał.

Wexford wyjął z kieszeni zdjęcie pani Parsons. Nie do uwierzenia, że ta kobieta mogła kiedykolwiek budzić namiętność czy prowokować cytowanie wierszy!

- Szczęście teraz i zawsze - powiedział miękko. - Ale miłość to nie róża. Zastanawiam się, czy miłość mogłaby być ciemnym i gęstym lasem, sznurkiem skręconym i zaciśniętym na uległej szyi...

- Sznurkiem? - powiedział Burden. - Dlaczego nie kapturem, tym czymś różowym z nylonu? W domu go nie ma.

- Możliwe. Założę się, że ten kapturek jest razem z portmonetką i kluczem. Mnóstwo kobiet jest duszonych nylonową pończochą. Dlaczego nie nylonowym kapturem?

Zabrał ze sobą wiersze Swinburna i Christiny Rossetti. Niewiele tu było, pomyślał Burden, kilka starych książek i ulotny chłopiec, Doon. Doon, zadumał się. Jeśli Minna miała coś wspólnego z Doonem, to to, że Doon też musiał być pseudonimem. Doon nie byłby już chłopcem, ale mężczyzną trzydziesto- albo trzydziestopięcioletnim, być

może żonatym człowiekiem posiadającym dzieci, który zupełnie już zapomniał swoją starą miłość. Burden zastanawiał się, gdzie ów Doon może być teraz. Zaginiony, może krąży gdzieś w wielkim labiryncie Londynu, a może nadal mieszka milę czy dwie dalej... Serce mu się ścisnęło, gdy przypomniał sobie nowe zabudowania fabryczne w Stowerton, wijące się uliczki Pomfret z samotnym domkiem co dwieście jardów i Sewingbury na północy, gdzie droga za drogą powojenne wille rozchodziły się promieniście z jądra starego miasteczka. A oprócz tego było jeszcze samo Kingsmarkham i okoliczne wioski, Flagford, Forby...

- Nie przypuszczam, żeby ten facet, Missal, był Doonem - powiedział z nadzieją.

- Jeżeli tak - odparł Wexford - to zmienił się jak jasna cholera.

Rzeka mych lat jest ospała, Minno, wpadając leniwie do morza spokoju. Ach, jakże to było dawno, gdy przepętniała mnie tęsknota za strumieniem życia!

A potem, wczoraj wieczorem, wczoraj w nocy, to byłaś ty, Minno. Nie tak, jak często widuję cię w snach, ale naprawdę. Podążając za tobą, wypatrując lilii tam, gdzie ziemię musnęła twa stopa... na twym palcu błysnął złoty krążek, okowy natarczywej miłości, i me serce zatkało głośno, serce, które także poznało koszmary nocy!

Niemniej jednak moje święto zawsze było świętem ducha, a dla tego drugiego mieszkańca moich trzewi moje ciało było jak zagaszona świeczka w szybko opuszczanej trumnie. Światelko mej duszy migocze, chwiejąc się w porywistym wietrze. Chociaż jednak trumna ulega zanikowi, a płomień się odradza, to knot mego ducha łka za dłonią trzymającą świecę przyjaźni, pochodnię słodkiego zaufania, iskrę połączonych przyjaciół.

Spotkamy się jutro i pojedziemy razem po srebrnych uliczkach naszej młodości. Nie obawiaj się, rozsądek trzyma mnie w cuglach, a prowadzi subtelne umiarkowanie. Czyż wszystko nie będzie dobrze, Minno, czyż wszystko nie będzie przyjemne jak ciepłe słońce na twarzach małych dzieci?

*Kiedy ujawni,
Wszystkie sztuczki, którymi mnie mamła...*

Francis Thompson,
The Mistress of Vision

Przy domu Missalów, gdy o siódmej wieczorem Wexford i Burden zaparkowali przy jego bramie, stał czarny jaguar, nienowy, ale dobrze utrzymany. Koła były uwalane ziemią, kołpaki zachlapane zaschniętym błotem.

- Znam ten samochód - powiedział Wexford. - Znam go, ale nie potrafię umiejscowić. Widać się starzeje.

- Przyjaciele na koktajl - sentymentalnie odparł Burden.

- Też bym sobie tak miło pożył - burknął Wexford.

Zadzwoił do drzwi.

Być może pani Missal zapomniała, że mieli przyjść, a może Inge nie była przygotowana. Wyglądała na zaskoczoną, ale złośliwie zadowoloną. Tak jak jej pracodawczyni, włosy miała wysoko upięte, ale z mniejszym powodzeniem. W lewej ręce trzymała pojemnik z papryką.

- Wszyscy są w środku - powiedziała. - Dwóch przychodzi na kolację. Co za mężczyzna! Powiadam wam, to strata mieć takiego mężczyznę zagrzebanego na angielskiej wsi. Pani Missal mówi: Inge, musisz zrobić lazanie". Wszystko będzie włoskie, papryka, makaron, pepperoni... Ach, to tylko zabawa!

- Dobrze, panno Wolff. Chcielibyśmy zobaczyć się z panią Missal.

- Pokażę. - Zachichotała, otworzyła drzwi do salonu i oznajmiła z niejakim zdumieniem: - Są tutaj policjanci!

We wzorzystych fotelach siedziały cztery osoby, a na stoliku kawowym stały cztery kieliszki bladej, wytrawnej sherry. Przez chwilę nikt się nie poruszył ani nie odezwał, ale Helen Missal oblała się głębokim rumieńcem. Potem odwróciła się do mężczyzny, który siedział pomiędzy nią a jej mężem, otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

A więc to o nim mówiła w holu Inge, pomyślał Burden. Quadrant! Nic dziwnego, że Wexford poznał samochód.

- Dobry wieczór, panie Quadrant - powiedział Wexford, delikatnie sugerując tonem, że jest zaskoczony, widząc go w tym towarzystwie.

- Dobry wieczór panom.

Burden znał go jako adwokata, którego często widywał w sądzie miejskim Kingsmarkham, znał go od dawna i darzył niewytłumaczalną niechęcią. Ukłonił się Quadrantowi i kobiecie, przypuszczalnie jego żonie, która zajmowała czwarty fotel. W jakiś sposób byli do siebie podobni, oboje szczupli i ciemni, z prostymi nosami i wygiętymi, czerwonymi wargami. Quadrant miał rysy szlachcica z portretu El Greco, szlachcica albo mnicha, ale, o ile Burden wiedział, był Anglikiem. Te latynoskie usta kiedyś mogły wywoływać szybsze bicie serca w jakiejś kornwalijskiej wiosce, a Quadrant pochodził może od marynarza Armady. Jego żona była pięknie ubrana z tą beztróską elegancją kogoś bardzo bogatego. Burden pomyślał, że luźna, niebieska sukienka Helen Missal przy jej stroju wyglądała jak kupiona na wyprzedaży w sieciówce. Palce miała obciążone licznymi pierścionkami, wyglądającymi nieco wulgarnie, jakby kamienie były fałszywe, ale Burden nie sądził, by tak było.

- Sir, obawiam się, że znowu przeszkadzamy - powiedział Wexford do Missala, spoglądając na Quadranta. - Chciałbym tylko porozmawiać z pańską żoną, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Missal wstał z twarzą napiętą z bezsilnej wściekłości. W lekkim, srebrzystoszarym garniturze wyglądał na grubszego, niż był. Potem Quadrant zrobił coś dziwnego. Z pudełka na stole wyjął wcześniej papierosa, wsunął go do ust i zapalił. Teraz Burden patrzył zafascynowany, jak się krztusi i upuszcza papierosa do popielniczki.

- Mam tego wszystkiego serdecznie dosyć - krzyknął Missal. - Nie możemy nawet spędzić spokojnego wieczoru z przyjaciółmi, żebyście nas nie nachodzili. Mam tego dosyć. Moja żona podała wam wytłumaczenie i to powinno wystarczyć.

- Sir, to jest śledztwo w sprawie morderstwa - przypomniał mu Wexford.

- Właśnie mieliśmy siadać do kolacji - ponuro odezwała się Helen Missal. Wygladziła niebieską spódniczkę i palcami przeciągnęła po sznurze paciorków z kości słoniowej. - Pete, chyba będzie lepiej, jeśli przejdziemy do twojego gabinetu. Po jadalni będzie się kręcić Inge.

Boże! Niech to wszystko szlag trafi, dlaczego nie możecie mnie zostawić w spokoju? - Odwróciła się do żony Quadranta. - Fabio, kochanie, możemy was na chwilę przeprosić? O ile oczywiście zdołasz jeść w towarzystwie kryminalistów.

- Jesteś pewna, że nie chcecie, żeby Douglas z wami poszedł? - Fabia Quadrant miała w głosie rozbawienie, a Burden zastanawiał się, czy Missalowie ostrzegli ich o zaplanowanej wizycie, sugerując być może, że chodzi o jakieś wykroczenia drogowe. - Jako wasz adwokat, oczywiście - dodała.

Ale Wexford wspomniał o morderstwie, a gdy Quadrant zapalał papierosa, był przerażony.

- To nie potrwa długo - oświadczył Missal.

Poszli do gabinetu, Wexford zamknął drzwi.

- Chcę odzyskać swoją szminkę - powiedziała Helen Missal. - I zjeść kolację.

- A ja, madame, chcę się dowiedzieć, z kim pani była, kiedy zgubiła tę szminkę - odparł niewzruszony Wexford.

- To był tylko przyjaciel. - Z fałszywą skromnością zerknęła na Wexforda, jęcząc jak mała dziewczynka prosząca o pozwolenie, by zaprosić koleżankę na podwieczorek. - Nie wolno mi mieć przyjaciół?

- Pani Missal, jeżeli nadal będzie pani odmawiała podania nazwiska tego mężczyzny, nie będę miał innej możliwości i będę musiał przesłuchać pani męża.

Burden przyzwyczajał się już do nagłych zmian jej nastroju, jednak nie do końca był przygotowany na ten nagły wybuch agresji.

- Ty złośliwy, wredny sukinsynu! - krzyknęła.

- Madame, takie wyzwiska nie robią na mnie większego wrażenia. Widzi pani, zwykle poruszam się w kręgach, w których taki język świadczy o swego rodzaju szacunku. Jego nazwisko poproszę. To jest śledztwo w sprawie morderstwa.

- Cóż, skoro już pan musi wiedzieć, to był Douglas Quadrant.

A to, pomyślał Burden, pasuje do tego krztuszenia się w drugim pokoju.

- Inspektorze Burden - powiedział Wexford - będzie pan tak uprzejmy i zabierze pana Quadranta do jadalni (proszę się nie przejmować kolacją panny Wolff) i zapyta go o jego wersję wydarzeń środowego wieczoru? A może to było wtorkowe popołudnie, pani Missal?

Burden wyszedł, a Wexford westchnął lekko.

- Doskonale, madame, a teraz chciałbym, żeby jeszcze raz opowiedziała mi pani o tym, co działo się w środę wieczorem.

- Co ten osobnik powie przed moim mężem?

- Inspektor Burden to bardzo dyskretny funkcjonariusz. Przy założeniu, że to, co usłyszę, będzie satysfakcjonujące, nie mam wątpliwości, że zdoła pani przekonać męża, iż pan Quadrant udzielał pani tylko

konsultacji jako wasz adwokat.

Taką linię przyjął Burden, gdy wrócił do salonu.

- Inspektorze, czyżby pani Missal miała jakieś problemy?
- zapytała Fabia Quadrant takim tonem, jakby pytała służącego, czy zajął się potrzebami gości. - Mój mąż zapewne będzie w stanie im zaradzić.

Quadrant podniósł się leniwie. Burden był zaskoczony, że w ogóle nie protestował. Przeszli do jadalni, a Burden odstawił od stołu dwa krzesła. Stół był już nakryty podkładkami pod talerze, wysokimi fioletowymi kieliszkami z dymnego szkła, nożami i widelcami ze szwedzkiej stali i serwetkami złożonymi w kształt nenufarów.

- Człowiek musi czuć, że żyje - odparł Quadrant swobodnie, gdy Burden zapytał go o jego przejażdżkę z Helen Missal. - Pani Missal jest szczęśliwa w małżeństwie. Ja także. Po prostu lubimy od czasu do czasu zrobić razem coś ryzykownego. Przejażdżka, drink... Nikomu nie dzieje się krzywda, a wszyscy są szczęśliwsi. - Był rozbijająco szczery.

Burden zastanawiał się dlaczego. To nie pasowało do jego zachowania, gdy się zjawili. Wszyscy byli szczęśliwi? Missal na to nie wyglądała... a ta kobieta z pierścionkami? Miała pieniądze, żeby się pocieszyć. Ale co to wszystko miało wspólnego z panią Parsons?

- Pojechaliśmy na pola - powiedział Quadrant - zaparkowaliśmy samochód i staliśmy na skraju lasu, paląc papierosy. Wie pan, inspektorze, jak gęsto od dymu robi się w aucie. - Potraktował Burdena jak innego światowego człowieka. - Obawiam się, że o szmince nic mi nie wiadomo. Pani Missal to raczej roztrzepana dziewczyna. Nie przejmuję się drobiazgami. - Uśmiechnął się. - Może właśnie to mi się w niej podoba.

- Jak rozumiem, wszystko to miało miejsce w środę - odezwał się Burden - a nie we wtorek po południu.

- Inspektorze, co też pan. Cały wtorek spędziłem w sądzie. Sam mnie pan widział.

Czyżby? Przez jakiś czas, zgoda, ale nie miał Quadranta na oku przez cały dzień.

- Sir, chcielibyśmy rzucić okiem na opony pańskiego samochodu.

Jednak już wypowiadając te słowa, Burden wiedział, że to beznadziejne. Quadrant przyznał, że w środę był na tej drodze.

Wexford w gabinecie usłyszał od pani Missal zasadniczo tę samą historię.

- Nie poszliśmy do lasu - powiedziała. - Jedyne staliśmy pod drzewami. Wzięłam ze sobą torebkę, bo miałam w niej trochę pieniędzy, i przypuszczam, że szminka musiała mi wypaść, gdy wyciągałam z niej chusteczkę.

- Ani razu nie straciliście samochodu z oczu?

Pułapka była zastawiona, a ona w nią wpadła.

- Ani razu - odparła. - Staliśmy tylko pod drzewami i rozmawialiśmy.

- Ależ pani musi być nerwowa, pani Missal, nerwowa i ekstremalnie ostrożna. Była pani z panem Quadrantem i nie odchodziła od samochodu, ale obawiała się, że ktoś mógłby spróbować ukraść pani torebkę na pani oczach.

Teraz się przestraszyła, a Wexford był pewien, że nie powiedziała mu wszystkiego.

- Cóż, tak to właśnie było. Nie może pan oczekiwać, żebym tłumaczyła się ze wszystkiego, co robię.

- Madame, obawiam się, że mogę. Przypuszczam, że zachowała pani bilet do kina?

- O mój Boże! Nie może mi pan dać spokoju? Oczywiście, że nie zachowuję biletów do kina.

- Nie jest pani zbyt przezorna. Rozsądnie byłoby go sobie zostawić na wypadek, gdyby mąż chciał go zobaczyć. Może mogłaby pani poszukać tego biletu, a gdy go pani znajdzie, chciałbym, żeby przyniosła go pani na komendę. Bilety są numerowane i łatwo będzie

sprawdzić, czy ten pani został wydany we wtorek czy w środę.

Quadrant czekał na niego w jadalni, teraz stojąc przy szafce i czytając etykiety na dwóch butelkach białego wina. Burden nadal siedział przy stole.

- Ach, pan nadinspektor - powiedział Quadrant tonem, którego używał do zmiękczenia serc urzędników magistratu. - „Cóż za sieć złożoną tkamy, gdy zwodzić innych się staramy!”⁶

- Sir, chciałbym, by przekonał pan panią Missal do prawdziwości tej maksymy. Bardzo to dla pana niefortunne, że wybrał pan akurat tę dróżkę na państwa... państwa rozmowę w środę wieczór.

- Mogę pana zapewnić, inspektorze, że to kwestia zwykłego pecha. - Nadal przypatrywał się butelkom Barsaca, pokrytym kroplami wody i lodowato zimnym. - Gdybym miał świadomość, że w lesie spoczywa ciało pani Parsons, z pewnością przyjechałbym prosto do was. W mojej pozycji, mojej szczególnej pozycji, zawsze dbam o to, by służyć wszelką pomocą wam, dobrym ludziom.

- To w istocie szczególna pozycja, prawda, sir? Można by to nazwać psikusiem złośliwego losu.

W salonie Missal i pani Quadrant siedzieli w milczeniu. Wyglądali, pomyślał Burden, jakby nie mieli ze sobą dużo wspólnego. Helen Missal i adwokat wkroczyli do pokoju, uśmiechając się promiennie, jakby wszyscy brali udział w jakiejś zabawie towarzyskiej. Kalambur został odegrany, słowo odgadnięte. Teraz wszyscy mogli zjeść kolację.

- Może moglibyśmy już siadać do kolacji? - odezwał się Missal.

Wexford popatrzył na niego.

- Panie Missal, zdaje się, że we wtorek po południu był pan w Kingsmarkham? Byłby pan tak dobry i powiedział

⁶ *What a tangled web we weave when first we practise to deceive* - cytat z poematu epickiego *Marmion* autorstwa sir Waltera Scotta.

mi, gdzie dokładnie pan przebywał i czy ktoś pana widział?

- Nie, nie byłbym - odparł Missal. - Niech mnie szlag, jeśli powiem. Wysłał pan swojego fagasa...

- Och, Peter - przerwała mu Fabia Quadrant. - Fagas! Cóż to za słowo.

- Wysłał pan swojego podwładnego, żeby ośmieszył mnie przed moimi klientami i pracownikami. Oskarża pan moją żonę. Niech mnie szlag, jeśli panu powiem, co kiedy robię!

- Cóż, ja musiałam - powiedziała Felen Missal. Wyglądała na zadowoloną z siebie, na zachwyconą tym, że uwaga skierowana była na jej męża, a nie na nią.

- Chciałbym pobrać próbkę z opon pańskiego wozu - powiedział Wexford, a Burden pomyślał z rozpaczą, że będą musieli zdrapywać błoto z kół wszystkich samochodów w Kingsmarkham.

- Mercedes jest w garażu - poinformował ich Missal. - Czujcie się jak u siebie w domu. Skoro już jesteście w środku, to może pójdziecie jeszcze do piwnicy? A może chcielibyście skorzystać z trawnika na jakieś policyjne sporty?

Fabia Quadrant uśmiechnęła się lekko, a jej mąż zacisnął wargi i spojrzał w dół. Ale Helen Missal się nie śmiała. Zerknęła pospiesznie na Quadranta, a Burden uznał, że lekko zadrżała. Potem uniosła kieliszek i jednym łykiem wypła sherry.

Wexford siedział przy swoim biurku, gryzmołąc na kartce. Była pora, by wracać do domu, i to już dawno, ale nadal mieli do przedyskutowania wydarzenia tego dnia, luźne uwagi i wymijające odpowiedzi. Burden zauważył, że inspektor pisał, najwyraźniej bezcelowo, pary nazwisk, które bazgrał tego ranka, gdy po raz pierwszy przyszła do niego pani Missal: *Missal, Parsons; Parsons, Missal*.

- Mike, ale w jaki sposób oni są powiązani? Musi być jakiś związek. - Wexford westchnął i podkreślił nazwiska grubą czarną kreską. - Wie pan, czasami naprawdę żałuję, że to nie Meksyk. Wtedy moglibyśmy mieć tutaj skrzynkę bimbru, tequili czy innego cholerstwa. Od tej herbaty robi mi się niedobrze.

- Quadrant i pani Missal... - powoli zaczął Burden.

- Ewidentnie mają romans - przerwał mu Wexford - i tarmoszą się na tylnej kanapie jego jaguara.

Burden był zszokowany.

- Kobieta taka jak ona? - powiedział. - Dlaczego nie pojedą do hotelu?

- Wynajmą najlepszy pokój w "Gałązce Oliwnej i Gołębicy"? Niech pan nie będzie dzieckiem. On nie może się pojawić w pobliżu jej domu ze względu na Ingę, a ona nie może pojechać do niego ze względu na jego żonę.

- A gdzie on mieszka?

- Wie pan, gdzie pani Missal trzyma swój samochód? No to po drugiej stronie, na rogu tego, co nasi koledzy w mundurach nazywają skrzyżowaniem z Upper Kingsbrook Road. Ten dom z wieżyczkami. Ona nie może tam pójść ze względu na drogą Fabię. Obstawiam, że pojechali na tę dróżkę, ponieważ Dougie Q. dobrze ją zna i zabiera tam wszystkie swoje panienki. Jest tam cicho, ciemno i paskudnie. W sam raz dla niego i pani M. Gdy już zabawią się na tylnym siedzeniu, idą do lasu...

- Sir, może pani Missal zobaczyła królika - niewinnie podsunął Burden.

- Och, na litość boską! - ryknął Wexford. - Pojęcia nie mam, po co poleźli do tego lasu, może pani Missal chciała powtórki w krzakach. Może zobaczyli zwłoki...

- Quadrant by do nas przyszedł.

- Nie, jeśli pani Missal mu to wyperswadowała, nie, jeśli powiedziała, że wtedy Peter i Fabia dowiedzą się o nich. Musiała go urobić, a nasz dworny Dougie, który od

kobiety nie znał odmowy⁷ - tak, Mike, *potrafię* czytać - nasz dworny Dougie zgadza się nic nie mówić.

Burden wyglądał na zdziwionego.

- Sir, Quadrant się bał - powiedział wreszcie. - Gdy wesliśmy, zeszywniał ze strachu.

- Pewnie przypuszczał, że wszystko się wyda. Jego żona tam była. To dość naturalne.

- A nie spodziewałby się pan, że będzie bardziej lawirował? A jednak nie kręcił. Był niemal zbyt szczerzy.

- Być może - odparł Wexford - nie bał się, że będziemy pytać. Bał się, o co będziemy pytać.

- Albo co mogła powiedzieć pani Missal.

- Cokolwiek to było, albo my nie zapytaliśmy, albo ona udzieliła właściwej odpowiedzi. Oczywiście właściwej z jego punktu widzenia.

- Zapytałem go o wtorek. Powiedział, że przez cały dzień był w sądzie. Mówi, że go tam widziałem. Owszem, ale nie spędziłem tam całego dnia.

Wexford jęknął.

- Ja to samo - powiedział. - Widziałem go, ale przecież go nie pilnowałem, a to robi dużą różnicę. Byłem w Pierwszym Wydziale Sądu. On na dole bronił tego pijanego kierowcy. Niech no się zastanowię. Sprawa została odroczonej, wrócili o drugiej.

- Poszliśmy do Carousel na lunch...

- On też. Widziałem go. Ale my poszliśmy na górę. Może on też, tego nie wiem. Przed drugą wrócił do sądu, a samochodu nie miał. Gdy pracuje tak blisko domu, chadza piechotą.

- Missal mógł zrobić tak samo - zauważył Burden. - To paskudny typ, sir. Fagas! - dodał z urazą.

- Podwładny - zaśmiał się Wexford.

- Dlaczego nie chce nam powiedzieć, co porabiał we

⁷ Nasz dworny Antoniusz, któru od kobiety nie zna) odmowy..." - Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, akt II, scena 2, tłum. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski.

wtorek?

- Bóg jeden wie, ale te opony były czyste jak iza.

- Mógł zostawić samochód na Pomfret Road.

- Prawda.

- Przypuszczam, że pani Missal mogła pomyśleć, że Quadrant spotykał się z panią P.

Wexford zaczął się robić rozdrażniony.

- Och, niech pan da spokój - burknął. - Dougie Q. i pani P.? Od lat miewa przygody na boku, wszyscy o tym wiedzą, ale widział pan, w czym gustuje. Powiadam panu, w niedzielne poranki na High Street pełno jest jego porzuconych dziewczyn, pocieszających się po stracie dziewictwa albo małżeństwa, rozbijając się nowymi mini morrisami. Pani P. po prostu nie była w jego typie. W każdym razie pani Missal nie zabiłaby dla niego. Był tylko innym sposobem na spędzenie nudnego wieczoru, oczko wyżej od telewizora.

- Sądziłem, że tylko mężczyźni patrzą na to w taki sposób. - Burdena zawsze zaskakiwały okazjonalne wybuchy bezpośredniości jego szefa. Wexford, który zawsze był intuicyjny, czasami nawet liryczny, potrafił być również obcesowy. - Wiele ryzykowała dla jakiegoś zwykłego romansu.

- Mike, pan jest przywiązany do swoich poglądów - warknął Wexford. - *Oksfordzka księga wierszy wiktoriańskich* Minny to coś w sam raz dla pana. Pożyczę ją panu, żeby pan sobie poczytał przed snem.

Burden wziął książkę i przerzucił strony: Walter Savage Landor, Coventry Patmore, Caroline Elizabeth Sarah Norton... Nazwiska wydawały się odległe, poeci pokryci kurzem. Jaki związek mógł łączyć martwą, uszarganą Minnę z wojowniczymi Missalami? Miłość, grzech, ból - te słowa wyskakiwały z niemal każdej linijki. Po nonszalancji Quadranta brzmiały jak nedorzeczne anachronizmy.

- Ogniwo łączące, Mike - powiedział Wexford. - Tego

właśnie chcemy, powiązania.

Jednak tej nocy żadnego nie udało się znaleźć. Wexford zabrał pozostałe trzy książki ("Na wypadek gdyby nasz pan Doon coś podkreślił albo zrobił jakiś dopisek") i wyszli na wieczorne powietrze. Za mostem nadal czekał samochód Quadranta.

*Mej kuzyneczce, dawno temu
Coś powiedziało zwierciadelko...*

James Thomson, *In the Room*

Za oknem biura Wexforda śpiewał ptak; kos, jak przypuszczał Burden. Zawsze raczej chętnie go słuchał, aż do dnia, gdy Wexford powiedział, że śpiewa początkowe takty *The Thunder and Lightning Polka*, i potem te powtórzenia zaczęły go drażnić. Chciał, żeby melodia popłynęła dalej, albo żeby chociaż zmieniła się jedna czy dwie nuty. Poza tym dziś rano miał dosyć kosów i skowronków, i słowików, dosyć umierających młodo zbudowanych jak zamczyska dziewic i anemicznych wielbicieli przygrywających im na lutni i bębenku. Nie spał przez pół nocy, czytając *Oksfordzką księgę*, i był całkowicie przekonany, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią pani Parsons.

Zapowiadał się piękny dzień, zbyt piękny na śledztwo. Gdy Burden przyszedł, Wexford siedział już za biurkiem, przerzucając strony oprawnego w zamsz Swinburne'a. Reszta książek Doona została zabrana z domu na Tabard Road i wsadzona do szafki na akta Wexforda.

- Znalazł pan coś, sir? - zapytał Burden.

- Sam pan widzi, że nie - odparł Wexford - ale wpadłem na pewien pomysł. Powiem panu jaki, gdy przeczyta pan raport z Balham. Właśnie został dostarczony.

Raport napisano na maszynie i zajmował kilka stron papieru kancelaryjnego. Burden usiadł i zaczął się przez niego przebijać:

Margaret Iris Parsons urodziła się jako Margaret Iris Godfrey, z ojca Arthura Godfreya, pielęgniarza, i jego żony Iris Drusilli Godfrey, na Holderness Road 213, w Balham, 21 marca 1933 r. Margaret Godfrey od 1938 do 1940 roku uczęszczała do przedszkola na Holderness Road, a od 1940 do 1944 do szkoły podstawowej Holderness Road Junior School. Oboje rodzice zginęli w wyniku działań wroga w Balham, w 1942 roku, po czym Margaret zamieszkała ze swoją ciotką i opiekunką prawną, panią Ethel Mary Ives, żoną szeregowego Royal Airforce, Geoffreya Ivesa, członka sił powietrznych, na St John's Road 42, Balham. W owym czasie w gospodarstwie domowym przebywała Anne Mary Ives, córka wyżej wymienionych, zgodnie z aktem urodzenia urodzona w Balham 1 lutego 1932.

Szeregowy Ives został przeniesiony do Flagford w hrabstwie Sussex, do bazy RAF, we wrześniu 1949 (dokładna data nieznana). Pani Ives, Anne Ives i Margaret Godfrey wówczas wyjechały z Balham. Pani Ives wynajęła swój dom na St John's Road i zamieszkała w domu we Flagford.

Po śmierci Geoffreya Ivesa, do której doszło w wyniku zakrzepicy tętnicy wieńcowej (Szpital RAF w Sewingbury, lipiec 1951) pani Ives, jej córka oraz Margaret Godfrey wróciły do Balham i zamieszkały razem na St John's 42. Od września 1951 do lipca 1953 Margaret Godfrey była studentką Albert Lake Training College for Women, mieszczącym się w Stoke Newington w Londynie.

15 sierpnia 1952 Anne Ives poślubiła szeregowego Wilbura Stobarta Katza z U.S. Army, w kaplicy metodystów w Balham, i wraz z szeregowym Katzem w październiku 1952 (dokładna data nieznana) wyjechała do Stanów Zjednoczonych.

We wrześniu 1953 Margaret Godfrey dołączyła do pracowników Przedszkola Holderness Road.

Ronald Parsons (urzędnik), wiek dwadzieścia siedem lat, w kwietniu 1954 wynajął pokój na St John's Road 42. W maju 1957

Margaret Godfrey zgłosiła do urzędu zgon pani Ethel Ives, który nastąpił w wyniku choroby nowotworowej w Guy's Hospital w Londynie. Margaret Godfrey i Ronald Parsons pobrali się sierpniu 1957, w kaplicy metodystycznej w Balham, i zamieszkali na St. John's Road 42 w domu wolą pani Ives przekazanym po połowie pani Parsons i pani Katz.

Numer 42 na St John's Road został wykupiony przez Radę Balham w grudniu 1962, po czym państwo Parsons przeprowadzili się do Kingsmarkham w Sussex, przy czym pani Parsons zrezygnowała z pracy w przedszkolu.

(Dokumentacja: Urząd Stanu Cywilnego, wydział narodzin i zgonów, Balham; Wielebny Albert Derwent, pastor w kaplicy metodystycznej, Balham; akta Royal Air Force; akta United States Air Force; Departament Edukacji London County Council, Guy's Hospital; Balham Borough Council).

- Ciekawe, gdzie jest teraz pani Katz? - odezwał się Burden.

- Mike, ma pan jakichś kuzynów w Ameryce? - zapytał Wexford cichym, zwodniczo łagodnym głosem.

- Zdaje się, że tak.

- Tak jak ja i jak połowa ludzi, których kiedykolwiek spotkałem. Ale nikt nigdy nie wie, gdzie są, a nawet czy w ogóle żyją.

- Sir, mówił pan, że ma jakiś pomysł?

Wexford podniósł raport ~ grubym palcem wskazującym dźgnął drugi akapit.

- Wpadłem na to w nocy - powiedział - w przerwie pomiędzy Whitmanem a Rossettim - to brzmi jak para gangsterów, co? Słodki Jezu, Mike, już wcześniej powinienem był o tym pomyśleć! Parsons powiedział, że jego żona przyjechała tutaj, gdy miała szesnaście lat, i nic mi nie zaskoczyło. Założyłem, wiejski gliniarz, że do tego czasu pani Parsons zrezygnowała z nauki. Ale, Mike, ona była nauczycielką, chodziła do szkoły zawodowej.

Będąc we Flagford, musiała chodzić do szkoły! Uważam, że do Flagford przyjechali tuż po tym, jak dostała swoje świadectwo, czy jak to się teraz nazywa, a gdy się tam znalazła, natychmiast poszła do szkoły.

- W okolicy są tylko dwie szkoły dla dziewcząt - powiedział Burden - Kingsmarkham County High i ta klasztorna szkoła w Sewingbury. Święta Katarzyna.

- Cóż, tam by nie poszła. Była metodystką, a z tego, co nam wiadomo, jej ciotka również. W każdym razie jej córka wyszła za mąż u metodystów. Nasze szczęście, że jest sobota i szkoły są pozamykane. Chciałbym, żeby odwiedził pan dyrektorkę. Może się pan powołać na śledztwo. Dyrektorka to panna Fowler, mieszka na York Road. Niech pan zobaczy, co uda się wykopać. Muszą mieć akta. Chcemy dostać listę dziewcząt, które były w klasie z Margaret Godfrey pomiędzy wrześniem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego a lipcem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

- Sir, nie będzie łatwo je wyśledzić.

- Wiem o tym, Mike, ale tak czy inaczej musimy coś ustalić. Może to właśnie to. Wiemy wszystko o życiu Margaret Parsons w Balham i na oko było koszmarnie nudne. Z tego, co widzimy, w jej życiu wydarzyły się tylko dwie sensacyjne rzeczy. Miłość i śmierć, Mike, miłość i śmierć. Rzecz w tym, że jedno i drugie miało miejsce w moim okręgu. Ktoś ją tutaj kochał, a gdy tu wróciła, ktoś ją zabił. Jedna z tych dziewcząt może pamiętać jakiegoś chłopaka, zaborczego chłopaka z długą pamięcią.

- Chciałbym - powiedział Burden - żeby jakiś praworządny, natchniony duchem społecznikowskim, kochający policję obywatel wszedł i powiedział, że znał panią P., powiedział, że spotykał się z nią w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czy choćby w zeszłym tygodniu widział ją w sklepie. - Przez moment przeglądał raport z Balham. - Nie dopisywało im zdrowie, prawda, sir? Rak, wieńcówka...

-Gdy Parsons mówił nam co nieco o historii jego żony - powoli odezwał się Wexford - faktycznie się zastanawiałem, dlaczego powiedział: Jej wujek zmarł, nie został zabity". To drobiazg, ale teraz rozumiem. Jej rodzice zostali *zabici*, ale nie w taki sposób, jaki mamy na myśli, gdy mówimy o zabijaniu.

Burden poszedł do budynku sądu mieszczącego się za komendą i zadzwonił do panny Fowler. Odezwał się głęboki, kulturalny głos, starannie artykułujący nazwisko i numer. Burden zaczął wyjaśniać, ale panna Fowler mu przerwała. Tak, Margaret uczęszczała do jej liceum, jakkolwiek ledwie ją pamięta z tamtego czasu. Tym niemniej niedawno była w Kingsmarkham i rozpoznała ją jako tę zamordowaną kobietę z fotografii w gazecie.

- Doprawdy, inspektorze - powiedziała - cóż to za szokująca rzecz!

Mówiła tak, jakby zabójstwo było dla niej raczej obrazą niż okropieństwem albo, pomyślał Burden, jakby nauka w jej szkole automatycznie powinna zwolnić każdego z uczniów od stania się ofiarą mordercy.

Przeprosił ją za kłopot i zapytał, czy mogłaby mu udostępnić listę, której chciał Wexford.

- Zadzwoń do pani Mortlock, naszej sekretarki - odparła panna Fowler. - Poproszę, żeby zajrzała do szkoły i przejrzała akta. Inspektorze, proszę do mnie zadzwonić w okolicy lunchu.

Burden powiedział, że jest ogromnie wdzięczny.

- Nie ma za co. To żaden problem - odpowiedziała panna Fowler. - Doprawdy.

Dochodzenie zakończyło się w ciągu pół godziny, a dowody doktora Crockera zajęły z tego dziesięć minut. Śmierć, oświadczył, nastąpiła w wyniku uduszenia; prawdopodobnie przy pomocy szala albo kawałka materiału. Na ciele pani Parsons poza tym nie było siniaków, nie było też śladów napaści seksualnej. Była

zdrową kobietą, z lekką nadwagą w stosunku do swojego wzrostu. Na podstawie dowodów Wexford wydał opinię, że nie da się określić, czy w lesie odbyła się walka, czy też nie, ponieważ podłoże zostało zdeptane przez krowy Prewetta. Ponownie przepytano doktora, który powiedział, że na nogach zmarłej było kilka powierzchownych zadrapań. Były tak lekkie, że nie był w stanie określić, czy powstały przed, czy po śmierci.

Powróciło orzeczenie o morderstwie popełnionym przez nieznanego sprawcę lub sprawców.

W tym czasie Ronald Parsons siedział w milczeniu, mnąc chusteczkę, którą trzymał na kolanach. Głowę miał pochyloną, gdy koroner przekazał zdawkowe wyrazy współczucia, i dał znać, że słyszał, ledwie widocznym skinieniem głowy. Wydawał się tak oszołomiony żalem, że Wexford był zaskoczony, gdy przechodząc przez wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec, poczuł jego dotknięcie na rękawie.

- Dziś rano do Margaret przyszedł list - powiedział bez wstępów.

- Co ma pan na myśli, jaki list? - Wexford się zatrzymał. Widział niektóre listy pani Parsons: reklamy i rachunki za węgiel.

- Od jej kuzynki ze Stanów - odparł Parsons. Odetchnął głęboko i zadrżał w ciepłym powietrzu.

Patrząc na niego, Wexford uświadomił sobie, że Parsons nie był już otępiąły. Było w nim świeże zgorzknienie.

- Otworzyłem go.

Mówił z lekkim poczuciem winy. Ona nie żyła, a oni splądrowali jej rzeczy. Teraz nawet jej listy, listy otrzymane pośmiertnie, zostaną zabrane, słowa zbadane i obnażone równie starannie jak jej ciało.

- Nie wiem... nie rozumiem - powiedział - ale jest tam coś o kimś, kto nazywa się Doon.

- Ma pan ten list ze sobą? - ostro zapytał Wexford.

- W kieszeni.

- Idziemy do mojego biura.

Jeśli Parsons zauważył porozkładane po pomieszczeniu książki swojej żony, niczego po sobie nie pokazał. Usiadł i podał Wexfordowi kopertę. Na kopercie z poszarpanym rozdarcie zrobionym przez Parsonsa znajdował się napisany ręcznie adres *Nadawca: Pani Wilburowa S. Katz, 1183 Sunflower Park, Slate City, Colorado, USA.*

- To będzie od panny Anne Ives - powiedział Wexford. - Czy pańska żona regularnie z nią korespondowała?

Parsons wyglądał na zaskoczonego, słysząc to nazwisko.

- Nie powiedziałbym, że regularnie - odparł. - Pisała raz albo dwa razy do roku. Nigdy nie poznałem pani Katz.

- Czy pańska żona pisała do niej ostatnio, odkąd tu przyjechaliście?

- Nie wiem, panie inspektorze. Prawdę mówiąc, pani Katz mnie nie interesowała. Pisywała i opowiadała Margaret o wszystkich rzeczach, które miała - samochodach, pralkach, tego typu rzeczach... Nie wiem, czy Margaret wpędzało to w przygnębienie. Bardzo lubiła kuzynkę i nigdy nie wspominała, żeby dowiadywanie się o tych rzeczach sprawiało jej przykrość. Ale ja jasno powiedziałem, co myślę, i przestała mi pokazywać te listy.

- Panie Parsons, jak rozumiem, dom pani Ives został zapisany na pańską żonę i panią Katz. Z pewnością...?

- Inspektorze, odkupiliśmy od niej swój udział - przerwał mu z goryczą Parsons. - Spłaciliśmy siedemset funtów, co do pensa - za pośrednictwem banku w Londynie. Moja żona musiała pracować na pełen etat, żebyśmy dali radę, a gdy spłaciliśmy jej część, rada miasta kupiła od nas to miejsce za dziewięćset. Mieli jakiś nakaz.

- Nakaz przymusowego wykupu - powiedział Wexford. - Rozumiem. - Wystawił głowę przez drzwi. - Sierżancie Camb! Proszę o herbatę i dodatkowy kubek. Panie Parsons, jeśli nie ma pan nic przeciwko, przeczytam ten

list.

Został napisany na cienkim, niebieskim papierze, a pani Katz swojej kuzynce miała mnóstwo do powiedzenia. Pierwsze dwie strony w całości były poświęcone opisowi wakacji, jakie państwo Katz wraz z trójką dzieci spędzili na Florydzie; nowemu samochodowi pani Katz; grillowi, jaki kupił dla niej mąż. Pan i pani Parsons zostali zaproszeni, by przyjechać do Slate City na wakacje. Wexford zaczął rozumieć, co miał na myśli pan Parsons.

Ostatnia strona była bardziej interesująca:

Rany, Meg (pisała pani Katz), naprawdę byłam zdumiona, że ty i Ron przeprowadziliście się do Kingsmarkham. Założę się, że to był pomysł Rona, nie twój. I znowu na tapecie jest Doon, co? Strasznie bym chciała wiedzieć, kto to jest. Musisz mi powiedzieć, a nie ciągle rzucać aluzje.

Tak czy inaczej nie rozumiem, dlaczego miałabyś się bać. Czego tu się bać, na litość boską? W tym przecież nigdy nic nie było. (Meg, wiesz, co mam na myśli). Nie mogę uwierzyć, że Doon nadal o tym pamięta. Zawsze byłaś podejrzliwa!!! Ale skoro te spotkania oznaczają przejażdżki samochodowe i kilka darmowych posiłków, to nie miałabym wielkich skrupułów.

Kiedy ty i Ron kupicie sobie samochód? Wil powiada, że nie wie, jak sobie dajecie radę...

Było tam więcej w tym samym tonie, poznaczone wykrzyknikami i mocnymi podkreśleniami. List kończył się słowami:

Pozdrowienia dla Rona i przypomnij mu, że w Sunflower Park czekamy na was oboje z otwartymi ramionami, gdybyście mieli ochotę odwiedzić Colorado, USA. Całusy od Nan. Greg, Joanna i Kim ściskają swoją ciocię Meg.

- Panie Parsons, to może być bardzo ważne - powiedział Wexford. - Chciałbym go zatrzymać.

Parsons wstał, zostawiając nietkniętą herbatę.

- Żałuję, że przyszedł - powiedział. - Chciałem pamiętać Margaret taką, jaką ją znałem. Sądziłem, że była inna. Teraz wiem, że była dokładnie taka, jak wszystkie prowadzące się z innym mężczyzną za to, co mogły od niego dostać.

- Obawiam się, że tak właśnie może to wyglądać - cicho przyznał Wexford. - Proszę mi powiedzieć, nie miał pan pojęcia, że pańska żona może się spotykać z tym mężczyzną, z tym Doonem? Wygląda to tak, jakby Doon znał ją, gdy mieszkała we Flagford, i znowu się z nią zaprzyjaźnił, gdy wróciła. Panie Parsons, ona musiała tu chodzić do szkoły. Nie wiedział pan o tym?

Czy to przez to, że Parsons był zwyczajnie skryty, czy przez pragnienie zachowania jakichś resztek życia prywatnego - w końcu jego małżeństwo skończyło się przez niewierność i śmierć - zaczerwienił się i zaczął wiercić.

- We Flagford nie była szczęśliwa. Nie chciała o tym mówić, a ja przestałem ją pytać. Sądzę, że to dlatego, że było tam tylu snobów. Szanowałem jej powściągliwość, panie inspektorze.

- Rozmawiał pan z nią o jej wielbicielach?

- To był zamknięty rozdział - odparł Parsons. - Zamknięty dla nas obojga. Rozumie pan, ja *nie chciałem* wiedzieć. - Podeszedł do okna i wyrzwał, jakby to była noc, a nie jasny dzień. - Nie byliśmy takimi ludźmi. Nie byliśmy takimi ludźmi, którzy miewają romanse. - Zamilkł, przypominając sobie list. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć, gdy idzie o Margaret. Inspektorze, ona była dobrą kobietą, dobrą, kochającą kobietą. Cały czas myślę o tym, że ta cała pani Katz

wygadywała rzeczy, które nie były prawdą, które istniały tylko w jej głowie.

- Dowiemy się czegoś więcej, gdy skontaktujemy się z Colorado - powiedział Wexford. - Mam nadzieję poznać treść ostatniego listu, który pańska żona napisała do pani Katz. Nie ma powodu, dla którego nie miałyby go panu udostępnić.

- Dziękuję za nic- odburknął Parsons.

Zawahał się, dotknął zielonej okładki wierszy Swinburne'a i wyszedł szybko z pokoju.

Można to nazwać jakimś przełomem, pomyślał Wexford. Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział operatorce, żeby połączyła się ze Stanami Zjednoczonymi. Dziwna to była kobieta, dumiał, czekając.

Dziwna, tajemnicza kobieta, prowadząca podwójne życie. Dla swojego męża i nieświadomego świata była rozsądną, ostrożną kurą domową w sandałach i bawełnianym fartuchu, nauczycielką przedszkolną, która polerowała listwę progową pastą do miedzi i uczestniczyła w wydarzeniach kościelnych. Ale ktoś, ktoś hojny, romantyczny i namiętny, dręczył ją i zwodził przez dwanaście długich lat.

To ślicznych panien widać wianek...

Tennyson, *Pani z Shalott*⁸

W mieszkaniu panny Fowles nie było książek i nie wyglądało na mieszkanie nauczycielki. Burden, który miał świadomość własnej skłonności do katalogowania typów ludzkich, starał się nie spodziewać klimatu staropanieństwa, jednak to właśnie zastał. Pokój, do którego wprowadziła go panna Fowler, pełen był rękodzieła. Powłoczki na poduszki pokryte były starannym haftem, amatorskim akwarelom wyraźnie poświęcono wiele cierpliwości, ceramika była krzykliwa. Wyglądało to tak, jakby pannie Fowler nie mieściło się w głowie, że mogłaby pozbyć się prezentu od dawnego ucznia, ale ta kolekcja nie była ani kojąca, ani ładna.

- Biedna, biedna Margaret - powiedziała. Burden usiadł, a panna Fowler przycupnęła na bujanym fotelu naprzeciwko niego, stopy opierając na małym podnóżku. - Jakież to wstrząsające! I do tego ten biedny mąż. Mam tę listę, o którą pan prosił.

Burden zerknął na schludnie wypisany na maszynie wykaz nazwisk.

- Proszę mi o niej opowiedzieć - poprosił.

Panna Fowler zaśmiała się z zakłopotaniem, a potem przygryzła wargę, jakby pomyślała, że to nie była chwila na śmiech.

- Doprawdy, panie inspektorze - odparła. - Nie

⁸ Tłum. Anna Bańkowska.

pamiętam. Rozumie pan, tych dziewcząt jest tak dużo... Oczywiście nie wszystkie znikają nam z pamięci. Naturalnie pamiętamy o tych, które coś osiągnęły, miały najlepsze wyniki albo zdobyły świetne posady, to właśnie takie pamiętamy. Jej rocznik niespecjalnie się wyróżniał. Był bardzo obiecujący, ale niewiele z tego wyszło. A ją widziałam po tym, jak wróciła.

- Tutaj? W Kingsmarkham?

- To musiało być jakiś miesiąc temu. - Z półeczki nad kominkiem wzięła paczkę papierosów, poczęstowała Burdena i zaciągnęła się mocno, gdy podał jej zapalniczkę.

Tak naprawdę to nigdy nie dorastają, pomyślał Burden

- Byłam na High Street - ciągnęła. - Było tuż po szkole, a ona wychodziła ze sklepu. Powiedziała: Dzień dobry, panno Fowler". Doprawdy, nie miałam najbłedszego pojęcia, kto to taki. Potem powiedziała, że jest Margaret Godfrey. Rozumie pan, panie inspektorze, one oczekują, że będzie się je wszystkie pamiętać.

- Zatem jak pani...?

- Jak ją połączyłam z panią Parsons? Gdy zobaczyłam fotografię. Widzi pan, było mi przykro, że nie porozmawialiśmy, ale ciągle spotykam stare uczennice i doprawdy nie jestem w stanie powiedzieć, kto to jest i ile ma lat. Mogą mieć równie dobrze osiemnaście jak trzydzieści. Wie pan, jak to jest, trudno określić wiek osób młodszych od siebie. - Spojrzała na Burdena i uśmiechnęła się. - Ale pan *jest* młody - powiedziała.

Ponownie spojrział na listę. Nazwiska były w porządku alfabetycznym. Powoli czytał na głos, czekając na reakcję panny Fowler.

- Lyn Annesly, Joan Bertram, Cläre Clarke, Wendy Ditcham, Margaret Dolan, Margaret Godfrey, Mary Henshaw, Jillian Ingram, Anne Kelly, Helen Laird, Marjorie Miller, Hilda Pensteman, Janet Probyn, Fabia Rogers, Deidre Sachs, Diana Stevens, Winifred Thomas, Gwen Williams, Yvonne Young.

Pod nazwiskami pani Morphet napisała z dumą: *Panna Cläre Clarke jest pracownicą High School!!!*

- Chciałbym porozmawiać z panną Clarke - powiedział.

- Mieszka w Nectarine Cottage, pierwsza dróżka w lewo za Stowerton Road - odparła panna Fowler.

- Fabia to bardzo niespotykane imię - powoli zauważył Burden. Panna Fowler wzruszyła ramionami. Poklepała sztywne fale swoich szarych włosów. - Typ nieszczególnie niespotykany - stwierdziła. - Jedynie jedna z tych bardzo obiecujących młodych osób, o których panu mówiłam, która nigdy nie osiągnęła nic wielkiego. Mieszka gdzieś tutaj. Ona i jej mąż są, zdaje się, dobrze znani w tym, co nazywa się bodaj kręgami socjety. Helen Laird to kolejna taka. Bardzo urocza, bardzo pewna siebie. Zawsze w kłopotach. Chłopcy, wie pan. Doprawdy, taka głupiutka! Myślałam, że zostanie aktorką, ale nie, po prostu wyszła za mąż. I jeszcze oczywiście panna Clarke...

Burden odniósł wrażenie, że miała włączyć pannę Clarke do grona porażek, ale nie pozwoliła jej na to lojalność wobec pracowników. Nie naciskał. Dała mu bardziej zajmującą wskazówkę.

- Mówiła pani, że co stało się z Helen Laird?

- Panie inspektorze, ja naprawdę nic nie wiem. Pani Morpeth wspominała coś, że wyszła za mąż za sprzedawcę samochodów. Co za strata! - Zgasiła niedopałek papierosa w popielniczce pomalowanej plakatówkami i wyraźnie wypieczonej w domu. Gdy wróciła do wątku, w głosie miała lekki smutek. - One odchodzą, rozumie pan, a my je zapominamy, a potem, piętnaście lat później, staje przed tobą jakiś mały brzdąc, a ty myślisz sobie, że gdzieś już widziałas tę twarz! Oczywiście, że tak - u jego matki.

Dymphna i Priscilla, pomyślał Burden, prawie na pewno. Już niedługo, a twarz Dymphny, może te same rude włosy, poruszą pamięć panny Fowler, trąca jakąś dawną strunę.

- Jednakże - powiedziała, jakby czytała mu w myślach - wszystko ma swoje granice, a ja w ciągu dwóch lat przechodzę na emeryturę.

Podziękował jej za listę i wyszedł. Ledwie znalazł się na komendzie, Wexford pokazał mu list od pani Katz.

- Sir, wszystko to wskazuje, że zabójcą jest ten Doon - stwierdził Burden - kimkolwiek jest. Co robimy teraz, czekamy na wieści z Colorado?

- Nie, Mike, będziemy musieli cisnąć dalej. Pani Katz wyraźnie nie wie, kim jest Doon, i co najwyżej możemy mieć nadzieję, że nakreśli nam jakieś tło i przekaże ostatni list od pani P. Doon pewnie okaże się sympatią pani P. z czasów, gdy chodziła tutaj do szkoły. Miejmy nadzieję, że nie miała ich zbyt wielu.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Burden - bo doprawdy, jak mawia panna Fowler, te wiadomości w książkach Minny wcale nie wyglądają, jakby pochodziły od chłopca, chyba że był to bardzo dojrzały chłopiec. Są zbyt dopieszczane, zbyt wyczelowane. Doon mógł być starszym mężczyzną, który się nią zainteresował.

- Też o tym myślałem - przyznał Wexford - i sprawdziłem Prewetta i jego ludzi. Prewett kupił tę farmę w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, gdy miał dwadzieścia osiem lat. To wykształcony człowiek i całkowicie zdolny do napisania takich wiadomości, ale we wtorek był w Londynie. Co do tego nie ma wątpliwości, chyba że zawiązał spisek z dwoma lekarzami, znanym kardiologiem, siostrą, Bóg wie iloma pielęgniarkami i własną żoną.

Draycott przebywał w okolicy dwa lata, a potem, od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego był w Australii. Bysouth ledwie potrafi się podpisać, nie mówiąc już o dobraniu stosownych wierszy, by wysłać je ukochanej, a to samo w dużej mierze odnosi się do Traynora. Edwards w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym i pięćdziesiątym

pierwszym był w wojsku, a Dorothy Sweeting w żaden sposób nie może wiedzieć, co dwadzieścia lat temu działo się z życiem miłosnym Minny. Miała wtedy tylko siedem lat.

- Czyli wychodzi na to, że będziemy musieli przekopać się przez tę listę - powiedział Burden. - Sir, myślę, że niektóre nazwiska pana zainteresują.

Wexford wziął listę, a gdy dotarł do Helen Laird i Fabii Rogers, zaklął siarczyście. Burden ołówkiem dopisał *Missal* i *Quadrant*, dodając znaki zapytania po każdym nazwisku.

- Ktoś tu próbuje być sprytny - stwierdził Wexford - a tu nic z tego. Rogers. Jej tatko i jego żonka mieszkają w Pomfret Hall. Są nadziani. Dorobili się na farbach. Nie ma powodu, żeby nie mogła nam powiedzieć, że znała panią P. Gdy rozmawialiśmy z Dougiem, ten wątek Doona nie wydawał się taki istotny. Ale pani Missal... Coś takiego, nie zna pani P., a były w tej samej klasie!

Poczerwieniał ze złości. Burden wiedział, że nie znośli, jak się go zwodziło.

- Mike, miałem zamiar dać sobie spokój z tym biletem do kina, ale teraz nie jestem tego taki pewien. Jeszcze raz porozmawiam sobie z panią Missal. - Palcem stuknął w listę. - A gdy mnie nie będzie, może pan zacząć kontaktować się z tymi kobietami.

- Że też to musi być szkoła dla dziewcząt - burknął Burden. - Kobiety zmieniają nazwiska, mężczyźni nie.

- I co poradysz - warknął Wexford. - Griswold był tutaj już dwa razy i dyszy mi nad głową.

Griswold był komisarzem policji. Burden wiedział, co Wexford ma na myśli.

- Zna go pan, Mike. Najmniejsza trudność, a on krzyczy o Scotland Yardzie - powiedział Wexford i wyszedł, zostawiając Burdena z listą i listem.

Burden przed przystąpieniem do swojego polowania raz jeszcze przeczytał list. Zaskoczył go, bowiem dał mu

wgląd w charakter pani Parsons, ujawniając taką jego stronę, której początkowo się nie spodziewał. Okazała się być znacznie mniej nieskalana, niż ktokolwiek myślał.

...skoro te spotkania oznaczają przejażdżki samochodowe i kilka darmowych posiłków, to nie miałabym wielkich skrępułów, napisała pani Katz. Ale jednocześnie nie wiedziała, kim jest ten cały Doon. Pani Parsons była dziwnie tajemnicza, enigmatyczna, ukrywając tożsamość amanta przed swoją kuzynką, która była również bliską przyjaciółką.

Dziwna kobieta, pomyślał Burden, i dziwny wielbiciel. Dziwaczny miała związek z tym Doonem, powiedział sobie. Pani Katz pisze: *nie rozumiem, dlaczego miałabyś się bać*, a później: *W tym przecież nigdy nic nie było*. Co miała na myśli? Ale pani Parsons miała się bać. Czego, awansów seksualnych? Pani Katz mówi, że była podejrzliwa. Nic dziwnego, uznał. Każda cnotliwa kobieta bałaby się i miała podejrzenia w stosunku do mężczyzny, który poświęca jej wiele uwagi. Ale jednocześnie niczego w tym nie było. Pani P. nie powinna mieć takich skrępułów.

Burden posuwał się po omacku. Ten list, podobnie jak jego adresatka, był zagadką. Odkładając go i sięgając po telefon, był pewien tylko dwóch faktów: Doon nie czynił żadnych awansów; chciał czegoś innego, co przerażało panią Parsons, ale co w ocenie jej kuzynki było tak nieszkodliwe, że skrępuły w tej kwestii były przejawem przesadnej podejrzliwości. Pokręcił głową, jak człowiek niemogący sobie poradzić z trudną łamigłówką, i zaczął wybierać numery.

Najpierw zadzwonił do Bertram, bo w książce telefonicznej nie było nazwiska Annesly - ani, tak się złożyło, Pensteman, ani Sachs. A pan Bertram, który odebrał, powiedział, że ma przeszło osiemdziesiąt lat - jest kawalerem. Następnie Burden zadzwonił do jedynych Ditchamsów, jakich znalazł, ale pomimo długiego

oczekiwania nikt nie podniósł słuchawki.

Numer pani Dolan był zajęty. Odczekał pięć minut i znowu spróbował. Tym razem odebrała. Tak, była matką Margaret Dolan, ale Margaret była teraz panią Heath i mieszkała w Edynburgu. W każdym razie Margaret nigdy nie przyprowadziła do domu nikogo o nazwisku Godfrey. Szczególnie przyjaźniła się z Janet Probyn i Deidre Sachs, a pani Dolan pamiętała, że tworzyły raczej zamknięty krąg.

Matka Mary Henshaw nie żyła. Burden rozmawiał z jej ojcem. Jego córka nadal mieszkała w Kingsmarkham. "Wyszła za męża?" - zapytał Burden. Pan Henshaw zaczął ryczeć ze śmiechu, a Burden czekał cierpliwie. Uspokoił się i powiedział, że w istocie, wyszła. Nazywała się pani Hedley i była w szpitalu.

- Chciałbym z nią pomówić - poinformował Burden.

- Nie da rady - odparł Henshaw, bardzo rozbawiony. - Chyba że założy pan biały fartuch. Rodzi dziecko, swoje czwarte. Myślałem, że jest pan od nich, dzwoni z dobrą nowiną.

Przez panią Ingram dotarł do Jillian Ingram, obecnie Bloomfield. Ale nic nie wiedziała o Margaret Parsons poza tym, że w szkole była śliczna i poważna, lubiła czytać, raczej nieśmiała.

- Śliczna, powiada pani?

- Tak, śliczna, w pewien sposób atrakcyjna. Och, wiem, widziałam gazety. Wie pan, wygląd jednak często się zmienia.

Burden wiedział, ale i tak był zaskoczony.

Annę Kelly wyjechała do Australii, Marjorie Miller...

- Moja córka zginęła w wypadku samochodowym - powiedział ochryply głos, pełen rozbudzonego bólu. - Sądziłabym, że ze wszystkich ludzi akurat policja będzie o tym wiedzieć.

Burden westchnął. Pensteman, Próby, Rogers, Sachs... wszyscy po kolei. Tylko w miejscowej księżce

telefonicznej znalazł dwudziestu sześciu Stevensów, czterdziestu Thomasów, pięćdziesięciu dwóch Williamsów, dwunastu Youngów.

Obdzwonienie ich wszystkich zajmie większą część popołudnia i wieczora. Może mogłaby mu pomóc Clare Ciarke. Zamknął książkę telefoniczną i udał się do Nectarine Cottage.

Gdy Inge Wolff wpuściła Wexforda do holu, francuskie okna były otwarte i słyszał wrzaski kłócących się dzieci. Poszedł za nią przez trawnik i początkowo widział tylko dwie dziewczynki: starsza była miniaturowym odbiciem swojej matki, jasnooka i rudowłosa; młodsza była gruba i o jasnej cerze pokrytej piegami. Kłóciły się o huśtawkę łódkę, czerwono- żółtą i z głową królika pośrodku.

Inge z krzykiem ruszyła w ich stronę.

- Czy to dziewczynki się tak bawią, czy niezdolni chłopcy? Pan policjant przyszedł, żeby was zamknąć w więzieniu!

Ale dziewczynki jedynie mocniej uwiesiły się na linach, a Dymphna, która stała, zaczęła kopać siostrę po plecach.

- Skoro to policjant - zapytała - to gdzie ma mundur?

Ktoś się roześmiał i Wexford odwrócił się gwałtownie. Helen Missal leżała w hamaku rozwieszonym między drzewem morwy a ścianką altany, ze szklanki popijając herbatę bez mleka. W pierwszej chwili widział tylko jej twarz i miodowej barwy ramię spuszczone w stronę ziemi. Potem, gdy podszedł bliżej, zobaczył, że była ubrana do opalania. Miała na sobie tylko bikini, śnieżnobiałą ósemkę i trójkąt na złocistej skórze. Wexford był zakłopotany, a zakłopotanie sprawiło, że jego złość przeszła we wściekłość.

- Byle nie znowu! - westchnęła. - Teraz już wiem, jak czuje się osaczony lis. Nie podoba mu się to.

Missala nigdzie nie było widać, ale z za ciemnozielonej

bariery cypryśników Wexford słyszał pomruk kosiarki spalinowej.

- Pani Missal, czy możemy wejść do środka?

Zawahała się przez moment. Wexford pomyślał, że nasłuchuje, być może dźwięków z drugiej strony żywopłotu. Dźwięk kosiarki przycichł, a gdy wydawało się, że wstrzymała oddech, rozległ się znowu. Przewiesiła nogi przez krawędź hamaka i zauważył, że na lewej kostce miała cieniutki złoty łańcuszek.

- Pewnie tak - odparła. - I tak nie mam wyboru, prawda?

Weszła przed nim w otwarte drzwi, przeszła przez chłodną jadalnię, gdzie niedawno Quadrant przyglądał się winu, i wkroczyła do pokoju z rododendronami. Usiadła.

- No dobrze, to co tym razem?

W tym, jak zaprezentowała swoją nagość na tle różowego i zielonego perkalu, było coś skandalicznego, a jednocześnie złośliwego. Wexford odwrócił wzrok. Była we własnym domu i nie mógł jej powiedzieć, żeby poszła i coś na siebie założyła. Zamiast tego z kieszeni wyjął zdjęcie i podał jej.

- Dlaczego powiedziała mi pani, że nie zna tej kobiety?

Z jej oczu zniknął strach. Rozjarzyły się w zaskoczeniu.

- Bo jej nie znam.

- Pani Missal, chodziła z nią pani do jednej klasy.

Wzięła zdjęcie i przyjrzała mu się.

- Nic podobnego. - Włosy opadły jej na ramiona, jasnomiedziane jak nowa jednopensówka. - A przynajmniej nie wydaje mi się. Przecież wystarczy popatrzeć, żeby powiedzieć, że była ode mnie sporo starsza. Mogła być w szóstej klasie, gdy ja szłam do pierwszej. Nie wiedziałabym.

- Pani Parsons miała trzydzieści lat, tyle samo co pani - surowo powiedział Wexford. - Jej panięńskie nazwisko brzmiało Godfrey.

- Uwielbiam określenie "nazwisko panięńskie". To taki

życzliwy sposób na ujęcie tego stanu, prawda? W porządku, panie inspektorze, teraz sobie przypominam. Ale się postarzała, zmieniła...

- Nagle się uśmiechnęła, uśmiechem czystego, zachwyconego triumfu, a Wexford zdumiał się, że ta kobieta jest w tym samym wieku, co to żalosne, martwe stworzenie, które znaleźli w lesie.

- Pani Missal, wielka szkoda, że nie przypomniała sobie pani tego w czwartek wieczorem. Stawia się pani w bardzo niedobrym świetle, najpierw celowo okłamując inspektora Burdena i mnie, a następnie zatajając istotne fakty. Pan Quadrant powie pani, że mam wszelkie prawo oskarżyć panią o współudział...

- Dlaczego czepiać się mnie? - ponuro przerwała mu Helen Missal.

- Fabia też ją znała, a także... och, musiało ją znać całe mnóstwo ludzi.

- Ale ja pytam panią - odpowiedział. - Niech mi pani o niej opowie. - Jeśli to zrobię - powiedziała - czy obieca mi pan, że wyjdzie i nie wróci?

- Madame, proszę powiedzieć prawdę, a ja chętnie wyjdę. Jestem bardzo zajęty człowiekiem.

Skrzyżowała nogi i pogładziła się po kolanach. Kolana Helen Missal były kolanami małej dziewczynki, małej dziewczynki, która nigdy nie włąziła na drzewa ani nie opuściła kąpieli.

- Nie lubiłam szkoły - powiedziała ufnie. - Była taka restrykcyjna, jeśli pan wie, co mam na myśli. Ciągle błagałam tatusia, żeby zabrał mnie stamtąd po pierwszym semestrze szóstej klasy...

- Pani Missal, Margaret Godfrey.

- A tak, Margaret Godfrey. Cóż, była swego rodzaju pionkiem - czyż to nie urocze słowo? Przeczytałam je w książce. Swego rodzaju pionkiem. Jedną z tych osób na marginesie, niespecjalnie bystrą, ładną ani nic. - Jeszcze

raz spojrziała na fotografię. - Margaret Godfrey. Wie pan, nie mogę w to uwierzyć. Powiedziałabym, że to ostatnia dziewczyna, którą ktoś mógłby zamordować.

- A kto byłby pierwszą, pani Missal?

- Cóż, ktoś taki jak ja - odparła i zachichotała.

- Z kim się przyjaźniła, z kim spotykała?

- Niech pomyślę. Była Annę Kelly i ta cherlawka, przyszczata żółta Bertram, i Diana jakaś tam...

- Pewnie Diana Stevens.

- Mój Boże, pan już wszystko wie, co?

- Miałem na myśli chłopców.

- Nie wiem. W tej kwestii sama byłam dosyć zajęta. - Popatrzyła na niego, prowokacyjnie wydymając wargi, a Wexford, po raz pierwszy czując ukłucie współczucia wobec niej, zastanowił się, czy w miarę znikania jej urody ta kokieterijność będzie rosła, aż jako stara kobieta stanie się groteskowa.

- Anne Kelly - powtórzył - Diana Stevens, dziewczyna o nazwisku Bertram. A co z Clare Clarke, co z panią Quadrant? One by pamiętały?

Powiedziała, że nie cierpiała tej szkoły, ale gdy zaczęła mówić, głos miała bardziej miękki, niż kiedykolwiek słyszał, a wyraz twarzy łagodniejszy. Przez chwilę zapomniał o swojej złości, jej kłamstwach, prowokacyjnym kostiumie, który miała na sobie, i słuchał.

- Zabawne - powiedziała - ale razem z tymi nazwiskami wracają wspomnienia. Przesiadywałyśmy w takim jakby ogrodzie, dzikim, starym miejscu. Fabia, ja, ta Clarke - widuję ją od czasu do czasu - Jill Ingram, ta Kelly i... i Margaret Godfrey. Miałyśmy pracować, ale za wiele nie robiłyśmy. Zazwyczaj rozmawiałyśmy... och, sama nie wiem...

- O waszych chłopcach, pani Missal? - Wexford, ledwie wypowiedział te słowa, wiedział już, że jest głupi.

- Och, nie - odpowiedziała ostro. - Źle pan to zrozumiał. Nie wtedy, nie w tym ogrodzie. To była dzicz, stary staw, krzewy, ławka. Rozmawialiśmy o... cóż, o naszych marzeniach, o tym, co chcemy robić, co zrobimy ze swoim życiem. - Zamilkła, a Wexford w nagłym przebłysku zobaczył dzikie, zielone miejsce, dziewczęta ze swoimi książkami, w głowie usłyszał śmiech, zachłyśnięcie się beztroską ambicją. Potem niemal podskoczył, gdy jej głos się zmienił.

- Chciałam grać! - wyrzuciła z siebie gwałtownie, jakby zapomniała o jego obecności. - Oni mi nie pozwalali, mój ojciec i moja matka. Zmusili mnie, żebym została w domu, i tak się to potoczyło. Rozpłynęło się w pustce. - Odrzuciła włosy do tyłu i dwoma palcami wygładziła zmarszczki, które pojawiły się pomiędzy jej brwiami. - Poznałam Pete'a - powiedziała - i wzięliśmy ślub. - Zmarszczyła nos. - Historia mojego życia.

- Nie można mieć wszystkiego - zauważył Wexford.

- Nie - zgodziła się. - Nie byłam jedyna...

Zawahała się, a Wexford wstrzymał oddech. Miał intuicyjne przekonanie, że zaraz usłyszy coś o wielkim znaczeniu, coś, co rozjaśni całą tę sprawę, coś, co pozwoli uspokoić Griswolda. Zielone oczy rozszerzyły się i pojaśniały; potem zniecka płomień przygasł i stały się niemal matowe. W holu skrzypnęła deska podłogowa i Wexforda doszedł odgłos gumowych podeszew szurających o gruby dywan. Twarz Helen Missal zrobiła się biała.

- O Boże! - powiedziała. - Proszę, proszę, niech pan nie pyta o ten bilet do kina. Proszę!

Wexford przeklął w myślach, gdy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Missal. Pocił się i pod pachami podkoszulka miał mokre plamy. Popatrzył na żonę, a w oczach miał osobliwą mieszaninę obrzydzenia i pożądania.

- Załóż coś na siebie - krzyknął. - Dalej, zakładaj jakieś

ciuchy!

Podniosła się niezdarnie, a Wexford odniósł wrażenie, jakby słowa jej męża opadły na jej ciało jak obsceniczny rysunek na dziewczynę z plakatu.

- Opałałam się - oświadczyła.

Missal odwrócił się w stronę Wexforda.

- Co, przyjechał pan na peep show? - Twarz miał szkarłatną z wysiłku i zazdrości. - Cóż za oddany gliniarz.

Wexford chciał być zły, by zmierzyć się z gniewem tego mężczyzny przy pomocy własnego, chłodniejszego, ale czuł tylko litość.

- Pańska żona zdołała mi pomóc - powiedział jedynie.

- Jestem tego pewien. - Missal przytrzymał otwarte drzwi i prawie ją przez nie wypchnął. - Była miła, co? To jej specjalność, bycie miłą dla każdego przybłądy. - Dotknął palcem mokrej koszuli, jakby jego ciało go brzydziło. - No dalej - powiedział. - Niech pan zaczyna. Panie Missal, co pan robił w Kingsmarkham we wtorek po południu? Panie Missal, nazwisko klienta. Panie Missal, pański samochód był widziany na Kingsbrook Road. No dalej. Nie chce pan wiedzieć?

Wexford wstał i zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Ciężkie kwiaty, różowe, fioletowobrazowe i białe, ocierały się o jego nogi. Missal stał i wpatrywał się w niego jak przekarmiony, niewybiegany pies pragnący wydać z siebie wycie, którego nie był nauczony.

- Nie chce pan wiedzieć? Nikt mnie nie widział. Mogłem udusić tę kobietę. Nie chce pan wiedzieć, co robiłem? Nie chce pan?

Wexford na niego nie patrzył. Za często widywał ludzkie dusze, które niepotrzebnie obdzierały się z duchowej skóry.

- Wiem, co pan robił - nie dodając zwyczajowego sir". - Sam mi pan powiedział, w tym pokoju. - Otworzył drzwi. - Chociaż nie w tak wielu słowach.

Dom Douglasa Quadranta był znacznie większy i o wiele mniej przyjemny dla oka niż ten należący do Missalów. Stał na wzniesieniu pośród krzaków, jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi. Potężny cedr w jakimś stopniu łagodził jego surowość, ale gdy był w połowie dróżki, Wexford przypomniał sobie podobne domy, które widywał na północy Szkocji, zbudowane z granitu, jakby gotyckie, z wieżyczką o stromym dachu na każdym narożniku.

W ogrodzie było coś dziwnego, jednak trzeba było kilku minut, zanim sobie uświadomił, na czym to polegało. Trawniki były gładkie, dobór krzewów konwencjonalny, ale panowała tam ponura atmosfera. Nie było żadnych kwiatów. Ogród Douglasa Quadranta wyglądał jak pełen szarości, brązów i wielu tonów zieleni pejzaż Moneta.

Po błękitnych liliach i prawdziwych oraz sztucznych rododendronach w salonie pani Missal ta majestatyczna monotonia powinna być kojąca. Tymczasem była obrzydliwie przygnębiająca. Oczywiście żadne kwiaty nie mogły zakwitnąć, bo żadnych tu nie posadzono, ale efekt był taki, jakby ziemia była jałowa albo powietrze surowe.

Wexford wspiął się po płytkich, szerokich stopniach pod ślepyimi oczami okien obwieszonych oliwkowymi, bordowymi i gołębioszarymi kotarami i nacisnął dzwonek. Po krótkiej chwili drzwi otworzyła kobieta koło siedemdziesiątki, ubrana przedziwnie w brązową sukienkę, beżowy czepek i fartuch. „Pani starsza”, jak to się kiedyś mówiło, pomyślał Wexford. Tutaj, tego był pewien, nie będzie żadnych frywolnych teutońskich blondynek.

Ona zaś ze swej strony wyglądała, jakby określiła go jako „osobnika”, stworzenie nieodległe od obwoźnego handlarza, który powinien wiedzieć, że nie wypada mu się pojawiać u drzwi frontowych. Zapytało panią Quadrant i pokazał swoją legitymację.

- Madame pije herbatę - oświadczyła, niewzruszona dokumentami Wexforda ani jego statusem wcielonego prawa. - Zapytam, czy zechce pana przyjąć.

- Proszę jej powiedzieć, że inspektor Wexford chciałby zamienić z nią słowo. - Pod wpływem atmosfery dodał: - Jeśli mogę prosić.

Przekroczył próg i wszedł do holu. Był wielkości dużego pokoju, a wiszące na ścianach, rozpięte w ramach gobeliny przedstawiające sceny z polowań, o dziwo, w żaden sposób go nie pomniejszały. Tutaj także brakowało kolorów, ale nie był to brak aż tak totalny. Przyglądając się płaszczom myśliwych i czaprakom ich rumaków, Wexford pochwycił stłumiony błysk złota, czerwoną krew na ostrzu i heraldyczną purpurę.

Starsza kobieta popatrzyła na niego z niechęcią, jakby była gotowa na kłótnię, ale gdy Wexford stanowczo zamknął za sobą drzwi, rozległ się czyjś głos.

- Nianiu, kto przyszedł?

Rozpoznał głos pani Quadrant i przypomniał sobie, jak poprzedniego wieczoru uśmiechnęła się, słysząc prymitywny żart Missala.

Niania otworzyła przed nim podwójne drzwi. Zrobiła to w sposób, który widywał jedynie na filmach i oto przed jego oczami rozwijało się ujęcie, nedorzeczne, groteskowe i nieodparcie zabawne, jak z filmu braci Marx. Wizja rozviała się, a on wszedł do pokoju.

Douglas i Fabia Quadrantowie siedzieli na dwóch końcach niskiego stołu przykrytego koronkowym obrusem. Flerbatę najwyraźniej dopiero co podano, ponieważ książka, którą czytała pani Quadrant, leżała otwarta na podłokietniku jej fotela. Delikatne stare srebro imbryka, dzbanuszka na śmietanę i cukiernicy było tak starannie wypolerowane, że odbijały się w nim jej smukłe dłonie na tle ponurych kolorów pomieszczenia. Minęło czterdzieści lat, odkąd Wexford widział taki mosiężny czajnik bulgoczący delikatnie nad

palnikiem spirytusowym.

Quadrant jadł chleb z masłem, zwyczajny chleb z masłem, ale niekruszący się i pokrojony cienko jak wafelek.

- Cóż za nieoczekiwana przyjemność - powiedział, wstając. Tym razem obeszło się bez niezręcznego incydentu z papierosami. Niemal z wdziękiem odstawił swoją filiżankę na stolik i gestem wskazał Wexfordowi fotel.

- Zna pan oczywiście moją żonę?

Jest jak kot, pomyślał Wexford, szczupły, obojętny kocur, który mruczy w ciągu dnia, a z nastaniem nocy wychodzi. A ten pokój, te srebra, ta porcelana, te długie kotary o barwie wina, jak krew przemieniona w aksamit! A pośród tego wszystkiego pani Quadrant, ciemnowłosa, elegancka, w czerni, karmiła swojego kocura śmietanką. Jednak gdy zapalano lampy, kocur wykradał się, by kultywować swoje kocie przyjemności w krzakach, w niebezpiecznej ciemności.

- Herbaty, panie inspektorze? - Dołała do imbryka odrobinę wody.

- Nie, dziękuję.

Przebyła długą drogę, pomyślał Wexford, od czasów w dzikim ogrodzie, ale może nawet wtedy jej strój gimnastyczny był z bardziej kosztownego materiału, a włosy przycięte bardziej profesjonalnie niż u innych dziewcząt. Jest piękna, pomyślał, ale wygląda staro, znacznie starszej niż Helen Missal. Brak dzieci, mnóstwo pieniędzy, przez cały dzień nic do roboty poza karmieniem śmietaną odpasionego kota. Czy przeszkadzała jej jego niewierność, czy w ogóle o niej wiedziała? Wexford zastanawiał się, zaciekawiony, czy zazdrość, która oblewała Missalą czerwienią, wybieliła i postarzyła żonę Quadranta.

- A co mogę dla pana zrobić? - zapytał Quadrant. - W zasadzie spodziewałem się porannej wizyty.

Dowiedziałem się z gazet, że nie robicie wielkich postępów. - Ustawiając się po stronie prawa, dodał: - Tym razem to jakiś nieuchwytny zabójca, zgadza się?

- Sprawy się wyjaśniają - ciężko odparł Wexford. - W gruncie rzeczy to z pańską żoną chciałem porozmawiać.

- Ze mną? - Fabia Quadrant dotknęła jednego z platynowych kolczyków, a Wexford zauważył, że nadgarstki miała cienkie, a przedramiona żyłaste jak u znacznie starszej kobiety. - Och, rozumiem. Bo znałam Margaret, tak? Nigdy nie byłyśmy blisko, inspektorze. Musi być mnóstwo ludzi, którzy mogliby powiedzieć o niej więcej niż ja.

Być może, pomyślał Wexford, gdybym tylko wiedział, gdzie ich znaleźć.

- Odkąd jej rodzina wyprowadziła się z Flagford, w ogóle jej nie widywałam, dopiero kilka tygodni temu. Spotkałyśmy się na High Street i poszłyśmy na kawę. Odkryłyśmy, że nasze życie potoczyło się zupełnie inaczej i... cóż!

A tutaj, pomyślał Wexford, musiało chodzić o kontrast pomiędzy Tabard Road a tym domem. Przez sekundę, tak jak zawsze budując wrażenia za pomocą serii obrazków, ujrzał to spotkanie: pani Quadrant z jej pierścionkami i starannie wyprostowanymi włosami i Margaret Parsons, zakłopotana, w kardiganie i sandałach, które wydawały się takie wygodne, póki nie natknęła się na swoją dawną koleżankę. Co miały ze sobą wspólnego, o czym rozmawiały?

- Pani Quadrant, o czym rozmawiałyście?

- Och, o tym, jak się tutaj zmieniło, o ludziach, których znałyśmy w szkole, tego typu sprawach.

Guwernantka i pani na włościach. Wexford westchnął wewnątrz.

- Poznała pani kiedyś niejaką Anne Ives?

- Mówi pan o kuzynce Margaret? Nie, nigdy jej nie poznałam. Nie chodziła z nami do szkoły. Była

maszynistką czy urzędniczką, czy coś takiego.

Tylko kolejna z *hoi polloi*, pomyślał Wexford, z pogardzanej większości, dolne siedemdziesiąt pięć procent.

Quadrant siedział, słuchając i kołysząc elegancką nogą. Protekcyjność jego żony wydawała się go bawić. Dokończył herbatę, zmiął serwetkę i sięgnął po papierosa. Wexford patrzył, jak wyciąga z kieszeni pudełko zapalek i zapala jedną. Zapalki! To było dziwne. Z pewnością, gdyby jego zachowanie było spójne, Quadrant użyłby zapalniczki, jednej z tych zapalniczek stołowych, które wyglądają jak georgiański czajniczek, pomyślał Wexford. Jego wyobraźnia pracowała. Obok ciała pani Parsons leżała pojedyncza zapalka, pojedyncza, na wpół wypalona zapalka...

- A co do kolegów Margaret Godfrey, pamięta pani kogokolwiek? Pochylił się, próbując wyrzeć na niej wrażenie, że to pytanie jest ważne. W jej oczach zabłysło coś, co mogło być złościwością albo zwykłym wspomnieniem, lecz zaraz zniknęło. Quadrant głęboko wciągnął powietrze.

- Był pewien chłopiec - powiedziała.

- Pani Quadrant, proszę spróbować sobie przypomnieć. - Powinnam pamiętać - odparła, a Wexford był pewien, że pamiętała, że jedynie gra dla lepszego efektu. - To było coś z teatrem, londyńskim teatrem.

- Palladium, Globe, Haymarket? - Quadrant się naśmiewał. - Prince of Wales?

Fabia Quadrant zachichotała miękko. To był nieprzyjemny chichot, życzliwy wobec męża, nieco wrogi wobec inspektora. Pomimo jego niewierności, Quadranta i jego żonę coś łączyło, coś silniejszego, domyślał się Wexford, niż zwyczajne małżeńskie zaufanie.

- Już wiem, to był Drury. Dudley Drury. Mieszkał we Flagford.

- Dziękuję, pani Quadrant. Właśnie przyszło mi do

głowy, że pani mąż mógł ją znać.

- Ja? - Wymawiając tę jedną sylabę, Quadrant miał głos niemal histerycznie niedowierzający. Potem zaczął się trząść ze śmiechu. To było bezgłośne, okrutne rozbawienie, które wydawało się owiewać pomieszczenie złym wiatrem. Nie wydawał żadnych odgłosów, ale Wexford czuł, jak z tego śmiejącego się mężczyzny wylewa się pogarda, jakby to było atakujące zwierzę, pogarda i lekceważenie, i gniew, który jest jednym z grzechów głównych. - Ja miałbym ją znać? W jaki sposób? Zapewniam pana, drogi inspektorze, że jej nie znałem!

Wexford odwrócił się zniesmaczony. Pani Quadrant spoglądała na swoje kolana. Zupełnie jakby jej było wstyd.

- Ten Drury - powiedział Wexford - czy pamięta pani, żeby kiedykolwiek nazwała go Doonem?

Czy to była jego wyobraźnia, czy zwyczajny zbieg okoliczności, że w tej chwili śmiech Quadranta urwał się jak ucięty nożem?

- Doon? - zastanowiła się jego żona. - Nie, nigdy nie słyszałam, żeby mówiła o kimś takim.

Gdy Wexford się podniósł, nie wstała, ale skinęła mu głową na pożegnanie i sięgnęła po książkę, którą czytała. Quadrant wyprowadził go szybko, zamykając drzwi, zanim zszedł po schodach, jakby sprzedawał szczotki albo przyszedł odczytać licznik. Dougie Q. I Jeśli był jakiś mężczyzna, który mógłby udusić jedną kobietę, a potem dziesięć jardów dalej kochać się z inną... Ale dlaczego? Głęboko pogrążony w myślach, poszedł w dół Kingsbrook Road, przeszedł na drugą stronę ulicy i bezmyślnie minąłby garaż Helen Missal, gdyby nie zatrzymał go jej głos:

- Widział się pan z Douglasem? - Głos miała smętny, ale odkąd ostatnio ją widział, poweselała. Bikini zamieniła na wzorzystą jedwabną sukienkę, buty na wysokim

obcasie i wielki kapelusz.

To pytanie było poniżej godności Wexforda.

- Pani Quadrant zdołała wypełnić kilka luk - odparł.

- Fabia? Coś takiego. Jest bardzo dyskretna. Co może robić innego, skoro Douglas jest, jaki jest. - Przez chwilę jej piękna twarz napuchła zmysłowością. - Jest wspaniała, prawda? Niesamowity. - Otrząsając się, przeciągnęła dłonią po twarzy, a gdy ją odsunęła, Wexford zobaczył, że żądza zniknęła. - Chryste - powiedziała, znowu wesola i szokująca - niektórzy ludzie nie wiedzą, jacy są bogaci!

Otworzyła drzwi garażowe, sięgnęła do bagażnika czerwonego renault i wyciągnęła parę butów na płaskiej podszwie.

- Odniosłem wrażenie - odezwał się Wexford - że chciała mi pani o czymś powiedzieć. Gdy przeszkodził nam pani mąż.

- Może tak, a może nie. Teraz raczej panu nie powiem. - Zmieniła buty, podeszła do samochodu i pociągnęła drzwi.

- Jedzie pani do kina? - zapytał Wexford.

Zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik.

- A niech pana szlag trafi! - Wexford usłyszał jej krzyk ponad rykiem samochodu.

*Byliśmy młodzi, weseli, bardzo, bardzo mądrzy,
I wrota stały przed nami otworem...*

Mary Coleridge, *Unwelcome*

Nectarine Cottage leżało w wilgotnym zagłębieniu, porośniętej jeżynami kotlinie za Stowerton Road. Zejście w dół wietrzną ścieżką było niebezpieczne i panna Clarke sporo ryzykowała. W miarę schodzenia Burdena witały notatki napisane ołówkiem na papierze w linie. Pierwsza, na bramie, polecała: *Unieść i mocno popchnąć*; druga, jakieś dziesięć stóp w dół ścieżki: *Uwaga na drut kolczasty*. Jeżyny ustąpiły miejsca słabym śladom uprawy. Były to uprawy stricte użytkowe, rządki smutnej kapusty pośród chwastów, wspaniała dynia chroniona przed ostami domowej roboty kloszem ogrodniczym. Do jego szczytu ktoś przyczepił kartkę z napisem: *Nie zdejmować*. Panna Ciarke najwyraźniej miała nieuważnych znajomych albo była ofiarą intruzów. To Burden mógł zrozumieć, bo nic poza warzywami i kartkami nie wskazywało, że okolica jest zamieszкана, a dom zobaczył dopiero, gdy dotarł niemal do końca ścieżki.

Drzwi były szeroko otwarte i dochodziły zza nich chichoty. Przez chwilę sądził, pomimo że po drodze nie było żadnego innego domu, że trafił nie tam, gdzie trzeba. Gdy zastukał do drzwi, chichoty zmieniły się w głośny śmiech.

- To ty, Dodo? - rozległ się głos. - Już prawie straciliśmy nadzieję, że się pojawisz.

Dodo mógł być kobietą lub mężczyzną, przypuszczalnie kobietą. Burden kaszlnął bardzo po męsku.

- O rany, to nie Dodo - powiedział głos. - Coś ci powiem. Di. To musi być ten gliniarz od starej Fanny Fowler, kaszlący gliniarz.

Burden poczuł się nieprzyjemnie głupio. Głos dochodził z za zamkniętych drzwi na końcu korytarza.

- Madame, tutaj inspektor Burden! - zawołał głośno.

Drzwi natychmiast się otworzyły i wyszła z za nich kobieta ubrana jak tyrolska chłopka. Włosy miała ciasno ściągnięte do tyłu i warkocze upięte wokół głowy.

- O rany - powiedziała znowu. - Nie miałam pojęcia, że drzwi nadal są otwarte. Tylko żartowałam z tym gliniarzem panny Fowler. Zadzwoiła i powiedziała, że może pan przyjść.

- Panna Ciarke?

- A któżby inny? - Burden uznał, że wygląda bardzo dziwnie, dorosła kobieta ubrana jak Małgosia z opery Humperdincka. - Zapraszam ze mną i z Di do kuchni.

Burden poszedł za nią. *Uwaga na schody*, głosiła kolejna kartka przyczepiona do drzwi i zauważył ją w samą porę, żeby nie zlecieć z trzech stopni na wyłożoną kamiennymi płytami podłogę. Kuchnia była jeszcze bardziej obskurna niż kuchnia pani Parsons, i znacznie mniej czysta. Ale za oknem świeciło słońce, a do oszlifowanych szybek przytulała się czerwona róża.

W kobiecie, którą panna Ciarke nazywała Di, nie było nic dziwnego. To mogła być bliźniaczka pani Parsons, siedząca przy stole i jedząca tosta, tyle że włosy tej kobiety były czarne i nosiła okulary.

- Di Plunkett, inspektor Burden - powiedziała Clare Ciarke. - Proszę usiąść, inspektorze - nie na tym stolku, jest na nim tłusta plama - i napić się herbaty.

Burden podziękował za herbatę i usiadł na drewnianym krześle, które wyglądało na względnie czyste.

- Może pan mówić, gdy ja będę jadła - oświadczyła panna

Ciarękę, znowu zaczynając chichotać. Zerknęła na słoiczek z dżemem. - Niech to diabli! Południowoafrykański. Wiem, teraz nie powinnam się tym chwalić. - Wydęła wargi. - Smakuje jak popiół! - oświadczyła dramatycznie.

Jednak Burden zauważył, że nałożyła sobie hojną porcję na pajdę chleba.

- Niech pan strzela - zwróciła się do niego z pełnymi ustami. - Zamieniam się w słuch.

- Chcę tylko zapytać, czy jest pani wstanie podać mi nazwiska jakichkolwiek kolegów pani Parsons z czasów, gdy była Margaret Godfrey, gdy ją pani знаła.

Panna Ciarękę oblizwała wargi.

- Dobrze pan trafił - powiedziała. - Mam pamięć jak słoń.

- Co ty powiesz - odezwała się Di Plunkett. - Nie tylko pamięć.

Obie się roześmiały, panna Clarke bardzo radośnie.

- Doskonale pamiętam Margaret Godfrey - powiedziała. - Taki sobie mózg, anemiczny wygląd, osobowość zarazem pruderyjna i ponura. No, ale o zmarłych tylko dobrze i takie tam. Di, pozbądź się tej muchy. Na półce za tobą jest spray na owady. Margaret nie była szczególnie towarzyskim typem, nie miała ducha społecznego. Kręciła się z dziewczyną, która nazywała się Bertram, a która obecnie zaginęła w pomroce dziejów. Di, walnij ją! Przez jakiś czas przyjaźniła się z tą Fabią Rogers - z Fabią, no ludzie! - nie mówiąc już o Dianie Stevens...

Panna czy też pani Plunkett ryknęła śmiechem i pomachała sprayem na muchy, jakby miała popsikać nim głowę panny Clarke. Burden odsunął się z krzesłem poza jej zasięg.

Kuląc się i chichocząc, panna Clarke powiedziała dramatycznie:

- A teraz ciesząca się złą sławą w rolniczej okolicy Stowerton pani Williamowa Plunkett, jedna z najsławniejszych mieszkanek tej pipidowy!

- Cläre, jesteś stuknięta - prychnęła pani Plunkett. - Naprawdę zazdrościsz tym szczęściarzom z góry. Gdy sobie pomyślę, co musiałyśmy znosić...

- Panno Clarke, a co z kolegami?

- *Cherchez l'homme*, co? Mówiłam, że dobrze pan trafił. Di, pamiętasz, gdy spotkała się z nim po raz pierwszy, a my usiadłyśmy za nimi w kinie? O rany, do końca życia tego nie zapomnę.

- Ależ on był ckliwy - powiedziała pani Plunkett. - Margaret, czy mogę potrzymać cię za rękę?" Clare, myślałam, że ci pięknie tętnica. - Jak on się nazywał? - Burden był znudzony i jednocześnie zły. Sądził, że lata go zahartowały, ale teraz przed oczami stanął mu obraz zielono- białego zawiniątka w lesie; to i twarz pani Parsons. Uświadomił sobie, że ze wszystkich ludzi, których przesłuchiwał, nie polubił nikogo. Czy w żadnym z nich nie było współczucia, zwykłej litości?

- Jak się nazywał? - ze znużeniem zapytał po raz kolejny.

- Dudley Drury. Bóg mi świadkiem, Dudley Drury.

- Iść do łóżka z takim nazwiskiem... - mruknęła pani Plunkett.

Clare Clarke wyszeptała jej do ucha dość głośno, by Burden usłyszał:

- Nie zrobiła tego! Nigdy w życiu.

Pani Plunkett popatrzyła na jego twarz - wyglądała na nieco zawstydzoną.

- Nadal tu mieszka, jeśli chciałby pan z nim porozmawiać - powiedziała defensywnie w spóźnionej próbie pomocy. - Za Stowerton Station. Chyba pan nie myśli, że to on zabił Margaret Godfrey?

- Była całkiem ładna - zniechęcała się Clare Ciarke. - Bardzo ją lubił. Wtedy tak nie wyglądała, wie pan, nie jak na tym koszmarnym zdjęciu w gazecie. Chyba mam gdzieś jakąś fotografię. Wszystkie dziewczyny razem.

Burden dostał to, czego chciał. Teraz chciał sobie iść. Było już trochę za późno na fotografię. Gdyby dostali jakąś w czwartek, może by to coś pomogło, ale to tyle.

- Dziękuję, panno Ciarke - powiedział. - Pani Plunkett. Do widzenia.

- Cóż, pa. Miło było pana poznać. - Zachichotała. - Nieczęsto widzujemy tutaj mężczyzn, co, Di?

W połowie zarośniętej ścieżki przystanął. W stronę domku, pogwizdując, zmierzała kobieta w spodniach jeździeckich i koszuli rozpiętej pod szyją. Była to Dorothy Sweeting.

Dodo, pomyślał. Pomyliły go z kimś o imieniu Dodo, a Dodo to była Dorothy Sweeting. Z obszernego doświadczenia Burden wiedział, że niezależnie od tego, co dzieje się w powieściach detektywistycznych, w prawdziwym życiu częściej trafiają się zbiegi okoliczności niż spiski.

- Dzień dobry, panno Sweeting.

Uśmiechnęła się do niego z pogodną niewinnością.

- Och, dzień dobry - odparła. - Miło pana widzieć. Właśnie idę z farmy. Po lesie przewala się tłum jak podczas mistrzostw piłkarskich. Powinien pan to zobaczyć.

Burden, wciąż nieodporny na nieludzką ciekawość ludzi, westchnął.

- Kojarzy pan ten krzak, pod którym ją znaleźli? - ciągnęła przejęta Dorothy Sweeting. - Jimmy Traynor co chwila tam kogoś prowadzi. Powiedziałam panu Prewettowi, że powinien brać od każdego pół korony.

- Mam nadzieję, że nie wziął sobie do serca pani rady - karcąco powiedział Burden.

- Nie ma w tym nic złego. Znam faceta, na którego ziemi rozbił się samolot, a on całe pole zmienił w parking, tyłu było gapiów.

Burden przycisnął się do żywopłotu, żeby ją przepuścić.

- Herbata pani wystygnie, panno Sweeting - oświadczył.

- I co dalej? - zapytał Wexford. - Jeśli nie zareagujemy ostro, to wyniosą z tego lasu wszystkie patyki na pamiątkę.

- Sir, mam tam posłać kilku chłopaków? - spytał Burden.

- Niech pan tak zrobi, a potem przyniesie książkę telefoniczną. Pojedziemy sobie razem do tego Drury'ego.

- Nie zaczeka pan na wieści z Colorado?

- Mike, Drury to wielka możliwość. Może być tym Doonem. Nie mogę przestać myśleć, że cokolwiek Parsons mówi o cnotliwości swojej żony, to gdy tu wróciła, znowu spotkała się z Doonem i poddała jego wdziękom. A co do tego, dlaczego miałby ją zabijać - cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że mężczyznom zdarza się dusić kobiety, z którymi mają romans, a pani P. mogła się zgodzić na przejażdżki samochodowe i obiady, nie mając zamiaru płacić za te usługi. Tak jak ja to widzę, Mike, to Doon widywał się z panią P. i spotkał się z nią we wtorek po południu, zamierzając ją namówić, by została jego kochanką. U niej w domu nie mogli się spotkać ze względu na ryzyko, a Doon miał ją zabrać z Pomfret Road. Zabrała ze sobą kaptur przeciwdeszczowy, bo było mokro, a ona nie wiedziała, czy przez cały czas będzie w samochodzie. Nawet gdyby nie chciała Doona na kochanka, to nie chciała, żeby widział ją z mokrymi włosami.

Burdena martwił czynnik czasu i powiedział o tym.

- Jeśli została zabita wczesnym popołudniem, sir, to po co Doon zapalałby zapalniczkę, żeby się jej przyjrzeć? A jeśli została zabita później, to dlaczego nie zapłaciła za gazety, zanim z nim gdzieś pojechała, i dlaczego nie wytłumaczyła Parsonsowi, że się spóźni?

Wexford wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam - przyznał. - Dougie Q. używa zapalnek,

nosi je w kieszeni. Jak większość ludzi. Mike, on się bardzo dziwnie zachowuje. Czasami współpracuje, czasami jest aktywnie wrogi. Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Pani Missal wie więcej, niż mówi...

- No i jeszcze sam Missal - przerwał mu Burden.

Wexford się zamyślił. Potarł podbródek.

- Nie sądzę, żeby w jego poczynaniach we wtorek była jakaś tajemnica - powiedział. - Jest diablo zazdrosny o żonę, i z tego co wiemy, nie bez powodu. Idę o zakład, że pilnuje jej, jak może. Pewnie podejrzewa Quadranta, więc gdy mu powiedziała, że wychodzi we wtorek po południu, na wszelki wypadek pognał do Kingsmarkham, popatrzył, jak wyjeżdża, zobaczył, że nie do biura Quadranta, i wrócił do Stowerton. Wiedział, że na spotkanie z Dougiem by się odstrzeliła. Gdy zobaczył ją na Pomfret Road w tym samym ubraniu, jakie miała na sobie rano, założył, że jedzie na zakupy do Pomfret - mają otwarte we wtorki - i się uspokoił. Jestem pewien, że tak właśnie było.

- To do niego pasuje - zgodził się Burden. - Jak nic. Sir, czy Quadrant mieszkał tu dwanaście lat temu?

- Och tak, spędził tu całe życie, z wyjątkiem trzech lat w Cambridge, i osiadł w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Jednak pani P. nie była w jego typie. Zapytałem go, czy ją znał, a on tylko się roześmiał, ale ten śmiech... Mike, nie żartuję, ten śmiech zmroził mi krew w żyłach.

Burden z szacunkiem popatrzył na szefa. To nie byle jakie osiągnięcie, pomyślał, zmrozić Wexforda.

- Przypuszczam, że te pozostałe mogły być po prostu... cóż, igraszkami, a pani P. miłością życia.

- Chryste! - wrzasnął Wexford. - Niepotrzebnie dawałem panu tę książkę do przeczytania. Igraszki, miłość życia! Rzygać mi się chce. Na litość boską, niech się pan dowie, gdzie mieszka ten cały Drury i jedziemy.

Zgodnie ze spisem Drury, Dudley J. oraz Drury,

Kathleen mieszkali w Stowerton, na Sparta Drove 14. Burden znalazł tę ulicę malutkich, przedwojennych bliźniaków w pobliżu salonu Missala. Nie była to okolica, w której wyobrażał sobie Doona. Razem w Wexfordem zjedli w Carousel po kilka kanapek i do Stowerton zajechali na siódmą.

Dom Drury'ego miał żółte drzwi wejściowe i mnóstwo starannie podwiązanych, pnących róż na treliach wokół ganku. Na środku trawnika znajdowało się oczko wodne z plastikowej wanienki, a na jej brzegu stał gipsowy krasnal z wędką. Na wjeździe do garażu ktoś najwyraźniej pucował forda populara. Pani Katz pewnie by nim wzgardziła jako wozem do potajemnych schadzek, ale z pewnością był dość błyszczący, żeby olśnić Margaret Parsons.

Kołatkę stanowiła żeliwna głowa Iwa z kółkiem w pysku. Wexford zapukał głośno, ale nikt się nie pojawił, więc popchnął otwartą boczną furtkę i weszli do ogródka na tyłach. Na grządce warzywnej pod płótem jakiś mężczyzna kopał ziemniaki.

Wexford chrząknął, a ten człowiek się odwrócił. Miał czerwoną, połyskującą twarz, a chociaż było gorąco, mankiety koszuli z długimi rękawami miał zapięte. Piaskowej barwy włosy i białe nadgarstki potwierdziły opinię Wexforda, że przypuszczalnie jest podatny na oparzenia słoneczne. Nie jest to człowiek, pomyślał Burden, który rozkoszowałby się począć i posyłał urywki wierszy dziewczynie, którą kochał, a już na pewno nie był to człowiek, który kupowałby drogie książki i wypisywał subtelne, figlarne wiadomości na ich obwolutach.

- Pan Drury? - cicho zapytał Wexford.

Drury wyglądał na zaskoczonego, niemal przestraszonego, ale to mogła być po prostu reakcja na widok wkraczających do jego ogródka dwóch mężczyzn, znacznie większych od niego. Nad górną wargą miał warstwę potu, również prawdopodobnie efekt wysiłku

fizycznego.

- Kim panowie są?

To był słaby, wysoki głos, jakby lata temu nie przeszedł mutacji.

- Nadinspektor Wexford, sir, i inspektor Burden. Policja. Drury dbał o swój ogród. Poza kilkoma jardami kwadratowymi, na których rosły ziemniaki, znajdowały się tam różne, świeżo wzruszone grządki okalające klomby. Wbił widły w ziemię i otarł dłonie o nogawki.

- Chodzi o Margaret? - zapytał.

- Panie Drury, może lepiej wejdźmy do domu.

Wprowadził ich przez francuskie okno, zdecydowanie mniej eleganckie niż te u pani Missal, i do małego pokoju zagraconego powojennymi, praktycznymi meblami.

Ktoś właśnie zjadł tam samotny posiłek. Na stole nadal leżał obrus i brudne naczynia.

- Mojej żony nie ma - wyjaśnił Drury. - Rano pojechała z dziećmi nad morze. Co mogę dla panów zrobić?

Usiadł na krześle, kolejnie zaoferował Burdenowi i, w zgodzie z dobrymi manierami, jedyny fotel wskazał Wexfordowi.

- Panie Drury, dlaczego pan zapytał, czy chodzi o Margaret?

- Poznałem ją na zdjęciu w gazecie. Nieco mną to wstrząsnęło. A wczoraj wieczorem poszedłem do kaplicy i wszyscy o tym rozmawiali. Trochę dziwnie się poczułem, nie ma co, skoro poznałem Margaret w tej kaplicy.

To pewnie będzie kościół metodystów we Flagford, uznał Burden. Przypomniawszy sobie buraczkową budę z dachem z blachy falistej na północy wioski.

Drury nie wyglądał już na przestraszonego, tylko zasmuconego. Burdena uderzyło jego podobieństwo do Ronalda Parsonsa, nie tylko fizyczne, ale w sposobie wyrażania się i zachowaniu. Poza nijakimi rysami twarzy, cienkimi, jasnymi włosami, w tym mężczyźnie była taka

sama bierność, miał taką samą monotonną mowę. W kąciку jego ust zadrgał mięsień. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej przypominającego Douglasa Quadranta.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim związku z Margaret Godfrey - powiedział Wexford.

Drury wyglądał na zdumionego.

- To nie był związek - odparł.

Czyżby sądził, że jest o coś oskarżony, zadumał się Burden.

- Była jedną z moich koleżanek. Po prostu dzieciakiem ze szkoły. Poznałem ją w kaplicy i zabrałem gdzieś... może z dziesięć razy.

- Panie Drury, dokąd zabrał ją pan za pierwszym razem?

- To było dawno. Dwanaście, trzynaście lat temu... nie pamiętam. - Popatrzył na swoje dłonie, na których zasychała ziemia. - Pozwoli pan, że pójde się nieco obmyć?

Wyszedł z pokoju. Przez otwarte okienko do kuchni Burden widział, jak puszcza gorącą wodę i wsuwa pod nią ręce. Wexford zniknął z pola widzenia Drury'ego i podszedł do szafki z książkami. Pośród książek Penguina i egzemplarzami Reader's Digests znajdowała się książka oprawiona w granatowy zamsz. Wexford wyjął ją szybko, przeczytał napis i podał ją Burdenowi.

To było to samo drukowane pismo, ten sam rozmiłowany styl. Poniżej tytułu - *Portret Doriana Graya* - Burden przeczytał:

Minno, człowiek nie może żyć o samym winie, ale to wszystko, co mi zostało. Żegnaj, Doon, lipiec 1951.

*Przegadali cię, wygwizdali, rozdarli,
Tak jak i lepszych od ciebie.*

Matthew Arnold, *The Last Word*

Drury wrócił, uśmiechając się niepewnie. Rękawy miał podwinięte, a dłonie różowe. Gdy zobaczył książkę, którą Wexford trzymał w rękach, jego uśmiech zniknął.

- Swobodnie pan sobie poczyna - powiedział agresywnie.

- Skąd ma pan tę książkę, panie Drury?

Drury zerknął na nadruk, popatrzył na Wexforda i zaczerwienił się. Jego tik wrócił, poruszając podbródkiem.

- Ojej - westchnął. - Ona mi ją dała. Nawet nie pamiętałem, że ją mam.

Wexford spowaźniał. Jego mięsista dolna warga wysunęła się, sprawiając wrażenie, jakby miał wysuniętą żuchwę.

- Proszę posłuchać, dała mi tę książkę, gdy się z nią spotykałem. Jest tam wpisany lipiec i to musiało być wtedy. Lipiec, zgadza się. - Drury pobladł i usiadł ciężko.

- Nie wierzycie mi, prawda? Moja żona wam powie. Stoi tu, odkąd się pobraliśmy.

- Panie Drury, dlaczego pani Parsons ją panu dała?

- Wychodziłem z nią od kilku tygodni. - Popatrzył na Wexforda oczami zająca oślepionego przez reflektory samochodowe. - To było lato... nie wiem... Co tam jest napisane? Pięćdziesiątego pierwszego. Byliśmy w domu jej ciotki. Do Margaret przysłała paczka i otworzyła ją.

Spojrzała na nią z jakimś obłędem i rzuciła ją, rzuciła ją na podłogę, rozumiecie, ale ją podniosłem. Słyszałem o niej i pomyślałem... cóż, pomyślałem, skoro już musicie wiedzieć, że to sprośna książka, i chciałem ją przeczytać. Powiedziała: Weź ją sobie, jeśli chcesz". Coś w tym rodzaju. Nie pamiętam dokładnie. To było dawno temu. Minna miała już dość tego Doona i pomyślałem, że jakby się go wstydziła...

- Minna?

- Zacząłem nazywać ją Minną od imienia w książce. Co ja takiego powiedziałem? Na litość boską, niech pan nie patrzy na mnie w taki sposób!

Wexford wsadził książkę do kieszeni.

- Kiedy widział ją pan ostatni raz?

Drury złapał za nitkę wystającą z obicia jego krzesła. Zaczął wyciągać małe strzępki czerwonej bawełny.

- Wyjechała w sierpniu - powiedział wreszcie. - Zmarł jej wujek...

- Nie, nie. Ostatnio.

- W zeszłym tygodniu. To chyba nie jest przestępstwo, zobaczyć kogoś, kogo się kiedyś znało? Jechałem samochodem i poznałem ją. To było na High Street, w Kingsmarkham. Zatrzymałem się na chwilę i zapytałem, jak się miewa, takie tam...

- Proszę mówić. Chcę poznać wszystkie szczegóły.

- Powiedziała, że wzięła ślub, a ja odpowiedziałem, że ja też. Powiedziała, że wprowadziła się na Tabard Road, a ja, że kiedyś musimy się spotkać we czwórkę, z jej mężem i Kathleen. Kathleen to moja żona. W każdym razie powiedziałem, że do niej zadzwonię, i to wszystko.

- Powiedziała panu, jak się nazywa po mężu?

- Oczywiście. Dlaczego by nie?

- Panie Drury, powiedział pan, że poznał ją pan na fotografii. Nazwiska pan nie poznał?

- Nazwisko, twarz, co za różnica? Nie jestem w sądzie. Nie pilnuję każdego swojego słowa.

- Niech pan mówi prawdę, a nie będzie pan musiał. Zadzwoił pan do niej?

- Oczywiście, że nie. Miałem zamiar, ale potem przeczytałem, że nie żyje.

- Gdzie był pan we wtorek między dwunastą trzydzieści a dziewiętnastą?

- W pracy. Pracuję w sklepie żelaznym mojego wuja, w Pomfret. Proszę go zapytać, powie wam, że byłem tam przez cały dzień.

- O której zamyka się ten sklep?

- O wpół do szóstej, ale we wtorki zawsze staram się wyjść wcześniej. Hej, nie wierzy mi pan.

- Co pan powie.

- Wiem, że mi pan nie wierzy, ale moja żona to potwierdzi, mój wuj to potwierdzi. We wtorki zawsze jadę do Flagford, żeby odebrać warzywa zamówione przez żonę. Jest tam farma, na Clusterwell Road. Zamykają o wpół do szóstej. W ostatni wtorek było mnóstwo roboty i się spóźniłem. Miałem nadzieję, że zdążę do piątej, ale się nie udało. Gdy dotarłem do Spellmana, nikogo już tam nie było. Poszedłem na tyły szklarni i wołałem, ale nikt się nie pojawił.

- Więc wrócił pan do domu bez warzyw?

- Nie. To znaczy tak, wróciłem, ale nie od razu. Miałem ciężki dzień i byłem zły, że nie zdążyłem, więc zaszedłem do "Łabędzia" na drinka. Obsługiwała mnie taka dziewczyna. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Proszę posłuchać, czy moja żona musi o tym wiedzieć? Jestem metodystą, rozumie pan? Członkiem kościoła. Nie wolno mi pić.

Burden westchnął. Śledztwo w sprawie morderstwa, a ten martwi się o potajemne piwo!

- Pojechał pan do Flagford przez Pomfret Road?

- Tak. Jechałem przy tym lesie, gdzie ją znaleźli. - Drury wstał i zaczął macać na ślepo po półce nad kominkiem w poszukiwaniu papierosów. - Ale się nie zatrzymałem.

Pojechałem prosto do Flagford. Spieszyłem się po to zamówienie... Panie inspektorze, niech mi pan wierzy, nic Minnie nie zrobiłem. Była miłym dzieciakiem.

Lubiłem ją. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, nigdy bym nikogo nie zabił!

- Kto poza panem nazywał ją Minną?

- Z tego co wiem, tylko ten Doon. Nigdy mi nie powiedziała, jak naprawdę miał na imię. Odnosiłem wrażenie, że ona się trochę za niego wstydzi. Bóg jeden wie dlaczego. Był bogaty, a także inteligentny. Ona mówiła, że był inteligentny. - Wyprostował się i poparzył na nich wojowniczo. - Wolala mnie - oświadczył.

Podniósł się nagle i popatrzył na krzesło, które uszkodził. Pomiedzy brudnymi talerzami stała na wpół opróżniona butelka mleka, z grudkami twarogu na obrzeżu. Opróżnił ją do pustej filiżanki po herbacie i napił się, rozlewając mleko na spodeczek.

- Na pana miejscu chyba bym usiadł - powiedział Wexford.

Wyszedł do holu i skinął na Burdena. Stali w wąskim przejściu, blisko siebie. Chodnik był zaciągnięty drzwiami do kuchni, a jedno z dzieci Drurych pomazało tapetę niebieską kredką.

- Mike, niech pan przedzwoni do tego Łabędzia" - powiedział. Wydało mu się, że usłyszał szuranie krzesła i, pamiętając o otwartym francuskim oknie, odwrócił się szybko. Ale Drury, z twarzą ukrytą w dłoniach, nadal siedział przy stole.

Ściany były cienkie i we frontowym pokoju słyszał głos Burdena, a potem cichy brzęk, gdy słuchawka wróciła na widełki. Kroki Burdena zastukały po podłodze. Wszedł do holu i zatrzymał się. Zapadła głęboka cisza, a Wexford zerknął przez szczelinę w drzwiach, nie spuszczać Drury⁷ego z oka.

Burden stał przy drzwiach frontowych. Na podłodze, u podnóża wąskich schodów, stał wieszak na płaszcze

zgiętego metalu, z kolorowymi kołkami zamiast haczyków. Wisiała na nim męska, sportowa kurtka i dziecięca plastikowa peleryna, a na kołku najbliższej schodów znajdował się przejrzysty, różowy, nylonowy kaptur.

- Ja nie zdejmę odcisków - powiedział Wexford. - Mike, niech pan wróci do telefonu. Będzie potrzebna pomoc. Niech przyjadą Bryant i Gates.

Zdjął z kołka kaptur, trzema krokami przebył maleńki hol i pokazał swoje znalezisko Drury 'emu.

- Panie Drury, skąd pan to ma?

- To musi być mojej żony - odparł Drury. Nagle asertywny, dodał wojowniczo: - To nie jest pański interes!

- Pani Parsons kupiła taki kaptur we wtorek rano. - Wexford obserwował, jak Drury kolejny raz pogrąża się w chorej desperacji. - Panie Drury, chciałbym uzyskać pańskie pozwolenie na przeszukanie domu. Niech pan nie popełni błędu, mogę uzyskać nakaz, po prostu potrwa to odrobinę dłużej.

Drury wyglądał, jakby się miał rozplakać.

- Och, róbcie, co chcecie - powiedział. - Mógłbym tylko dostać papierosa? Zostawiłem swoje w kuchni.

- Inspektor Burden je przyniesie, gdy skończy rozmawiać przez telefon - odparł Wexford.

Zaczęli przeszukiwanie, a w ciągu pół godziny dołączyli do nich Gates i Bryant. Potem Wexford polecił Burdenowi, by skontaktował się z wujem Drury 'ego w Pomfret, z farmą Spellmana i kierownikiem supermarketu.

- Ta dziewczyna z "Łabędzia" dziś nie pracuje - poinformował Burden - ale mieszka we Flagford, Cross Roads Cottages. Nie ma telefonu. Nazywa się Janet Tipping.

- Zaraz pošlemy tam Martina. Niech pan spróbuje wyciągnąć z Drury 'ego numer, pod którym można złapać jego żonę. Jeśli nie pojechała nigdzie daleko - do Brighton czy Eastbourne - to dotrze tam pan na wieczór. Gdy

skończę przeszukanie tego domu, jeszcze raz zamienię słówko z panią Quadrant. Przyznała, że była „zaprzyjaźniona” z panią P., a jest praktycznie jedyną osobą, która się do tego przyznaje, oprócz naszego przyjaciela w sąsiednim pokoju.

Burden naciągnął różowy materiał, testując jego wytrzymałość.

- Naprawdę pan sądzi, że to Doon? - zapytał niedowierzająco.

Wexford zaczął otwierać szuflady, grzebiąc w kolorowych ołówkach, kartach do Piotrusia, kłębkach bawełny, kartkach pokrytych dziecięcymi bazgrołami. Pani Drury nie była schludną gospodynią i we wszystkich szafkach i szufladach panował bałagan.

- Nie wiem - przyznał. - Przez chwilę tak to wyglądało, ale strasznie się to nie klei. Mike, nie pasuje to do moich wyobrażeń, ale skoro nie możemy sobie pozwolić na wyobrażenia...

Przejrzał każdą książkę w domu - nie było ich więcej niż dwa czy trzy tuziny - ale nie znalazł nic więcej od Doona dla Minny. Żadnej poezji wiktoriańskiej, a poza *Portretem Dorianą Grayą* wszystkie powieści były thrillerami w miękkich okładkach.

Na haczyku w szafce kuchennej Bryant znalazł pęk kluczy. Jeden pasował do drzwi frontowych, następny do kasy pancерnej w sypialni Drury'ego, dwa kolejne do jadalni i pokoju frontowego, a piąty do garażu. Kluczyki do wozu były w kurtce Drury'ego na kołku, a klucz do tylnych drzwi tkwił w zamku. Wexford, szukając portfeli, znalazł tylko jeden, zielono- biały, plastikowy, w kształcie mordki kota. Był pusty i podpisany w środku Susan Mary Drury. Córka Drurych zabrała swoje oszczędności nad morze.

Na poddasze wchodziło się przez właz w suficie klatki schodowej. Wexford kazał Bryantowi przynieść z garażu drabinę i zbadał to poddasze. Zostawił Gatesa z Drurym i

poszedł do samochodu. Po drodze zdrapał trochę błota z opon niebieskiego forda.

Padła drobna mżawka. Była dziesiąta i panował mrok letniej nocy. Jeżeli Drury zabił ją o wpół do szóstej, pomyślał, nadal byłoby jasno, o wiele za wcześnie, żeby potrzebować światła zapalniczki. Musiało chodzić o tę zapalniczkę, którą znaleźli. Ze wszystkich rzeczy, które można by tam zostawić, zapalniczka z pewnością była najmniej obciążająca! I dlaczego nie zapłaciła za gazety? Co ze sobą robiła podczas tych kilku godzin pomiędzy wyjściem z domu a czasem, gdy spotkała się z Doonem? Ale Drury był okropnie przerażony... Wexford także zwrócił uwagę na jego podobieństwo do Rolanda Parsonsa. Rozsądnie było przypuszczać, argumentował, że Margaret Parsons pociągała ten typ osobowości i że wybrała swojego męża dlatego, że przypominał jej dawnego ukochanego.

Włączył reflektory wycieraczki i ruszył w drogę powrotną do Kingsmarkham.

*Czy to ciebie poznałem niedawno na kolacji,
Ciebie, o oczach i włosach egipsko czarnych?*

Sir Edwin Arnold,
To a Pair of Egyptian Slippers

W nocy dom wyglądał złowrogo. Surowy, szary granit połyskiwał w światłach reflektorów wozu Wexforda, a liście pozbawionej kwiatów glicynii, która przywarła do muru, pokazywały żywą, żółtawą zieleń.

Ktoś był u Quadrantów na kolacji. Wexford zaparkował obok czarnego daimlera i wszedł po schodach do drzwi frontowych. Kilka razy nacisnął dzwonek; wreszcie drzwi się otworzyły, gładko, niemal obraźliwie powoli. Stał za nimi sam Quadrant.

Na kolację z Helen Missal założył zwykły garnitur. W domu, z żoną i gośćmi, sięgnął po strój wieczorowy. Jednak w Quadrancie nie było nic wulgarnego, żadnego fikuśnego pasa smokingowego, żadnego flirtu z kolorem. Marynarka wizytowa była czarna i nieskazitelna, koszula - Wexford, gdy było to możliwe, lubił sam dla siebie posłużyć się stosownym cytatem - jak pióro łabędzie na grzbiecie kruka⁹.

Nie odezwał się ani słowem, ale wydawał się spoglądać poza Wexforda, na mroczny ogród za nim. Było w nim jakieś zuchwałe dostojęństwo, którego nie rozpraszały gobeliny obramowujące jego sylwetkę. Wexford

⁹ William Szekspir, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, akt III, scena 2.

powiedział sobie ostro, że ten człowiek jest, mimo wszystko, jedynie prowincjonalnym adwokatem.

- Panie Quadrant, chciałbym raz jeszcze porozmawiać z pańską żoną.

- O tej porze?

Wexford spojrział na zegarek, w tej samej chwili Quadrant spojrział na swój - ogniwa ze srebra i onyksu zalśniły w stłumionym świetle - i uniósł brwi na widok platynowej tarczy na nadgarstku.

To wielce niedogodne. - Nie wykonał żadnego ruchu, żeby wpuścić Wexforda. - Moja żona nie jest szczególnie silną kobietą i tak się składa, że na kolacji są moi teściowie...

Stary Rogers i jego żonka z Pomfret Hall, wulgarnie pomyślał Wexford. Stał nieporuszony, nie uśmiechając się.

- Och, niech będzie - ustąpił Quadrant - ale niech pan się pospieszy, dobrze?

Za jego plecami dało się zauważyć lekki ruch. Brązowa suknia, pęk kawowych wstążek, pojawiła się na chwilę na tle wyszywanych drzew, potem niania pani Quadrant oddaliła się pospiesznie.

- Proszę pójść do biblioteki. - Quadrant wskazał mu pomieszczenie umeblowane fotelami z obiciem z niebieskiej skóry. - Skoro jest pan na służbie, nie zaproponuję panu drinka. - Słowa te były odrobinę obraźliwe. Potem Quadrant zademonstrował swój szybki, koci uśmiech. - Przepraszam - powiedział. - Pójdę po żonę.

Odwrócił się powolnym, wdzięcznym ruchem tancerza, zatrzymał na moment i zamknął za sobą drzwi, zamykając Wexforda w środku.

Zatem nie pozwoli mi zepsuć rodzinnego spotkania, pomyślał Wexford. Ten człowiek był nerwowy, pod manierami człowieka swojej klasy i pod potężną samokontrolą ukrywał jakiś niesprecyzowany lęk.

Czekając, rozejrzał się po książkach. Były ich tutaj

setki, półka za półką, na każdej ścianie. Mnóstwo poezji wiktoriańskiej i masa wiktoriańskich powieści, ale równie dużo pism z siedemnastego i osiemnastego wieku. Wexford wzruszył ramionami. W okolicach Kingsmarkham było mnóstwo domów takich jak ten, bastionów bogactwa, domów z bibliotekami, bibliotek z książkami...

Fabia Quadrant weszła niemal bezgłośnie. Jej długa suknia była czarna, a on przypomniał sobie, że czerń nie była kolorem, a jedynie całkowitą absorpcją światła. Twarz miała wesołą, nieco napiętą, i powitała go pogodnie.

- Dzień dobry ponownie, inspektorze.

- Pani Quadrant, nie będę pani długo zatrzymywał.

- Może pan usiądzie?

- Dziękuję. Tylko na chwilę. - Obserwował, jak siada i składa dłonie na podolku. Diament na jej lewej ręce płonął w ciemnym zagłębieniu pomiędzy kolanami. - Chciałbym, by powiedziała mi pani wszystko, co pamięta o Dudleyu Drurym.

- Cóż, to był mój ostatni semestr w szkole - odparła. - Margaret powiedziała mi, że ma chłopca - być może jej pierwszego. Nie wiem. Inspektorze, to było tylko dwanaście lat temu, ale nie byliśmy jak dzisiejsze dzieciaki. Nie mieć chłopca w wieku osiemnastu lat nie było niczym szczególnym. Rozumie pan? - mówiła jasno i powoli, jakby pouczała dziecko. Coś w jej zachowaniu zirytowało Wexforda i zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu musiała się spieszyć, kiedykolwiek jadła na stojąco albo biegła na pociąg. - Było to może nieco nietypowe, ale nie dziwne, nie osobliwe. Margaret nie przedstawiła mi tego swojego przyjaciela, ale zapamiętałam jego nazwisko, bo było jak Drury Lane, a nigdy wcześniej nie spotkałam się z takim nazwiskiem.

Wexford starał się zachować cierpliwość.

- Pani Quadrant, co Margaret pani o nim mówiła?

- Bardzo niewiele. - Zamilkła i popatrzyła na niego tak, jakby nie chciała zdradzić człowieka w niebezpieczeństwie. - Tylko jedno. Powiedziała, że jest zazdrosny, zazdrosny do poziomu fanatyzmu.

- Rozumiem.

- Nie chciał, żeby miała innych przyjaciół. Odniosłam wrażenie, że był bardzo emocjonalny i zaborczy.

Cechy, których nie rozumiesz, pomyślał Wexford, a może tak? Pomyślał o niewierności Quadranta i znowu się zastanowił. Zadumę przerwał mu jej głos, nietypowo ostry i surowy.

- Był bardzo zły, że ona przenosi się do Londynu. Powiedziała, że on jest w okropnym stanie, że bez niej jego życie nie ma sensu. Może pan sobie sam wyobrazić to gadanie.

- Ale znali się tylko kilka tygodni.

- Inspektorze, mówię panu tylko to, co mi powiedziała. - Uśmiechnęła się tak, jakby była bardzo daleko od Drur/ego i Margaret Godfrey, lata świetlne, nieskończoną przestrzeń. - Nie wydawała się tym przejmować. Margaret nie była wrażliwą osobą.

W holu rozbrzmiały miękkie kroki i drzwi za Wexfordem się otworzyły.

- Ach, to ty - powiedziała Fabia Quadrant. - Nadinspektor Wexford i ja gawędzimy o młodzięczej miłości. Dla mnie to raczej „łaniebne marnotrawstwo sił ducha i ciała”¹⁰.

Ale to nie była młodzięcza miłość, pomyślał Wexford, usiłując umiejscowić cytat. Znacznie bardziej przypominało to, co dziś po południu widział na twarzy Helen Missal.

- Pani Quadrant, jeszcze jeden drobiazg - powiedział. - Przez te dwa lata spędzone we Flagford pani Parsons interesowała się chyba poezją wiktoriańską.

¹⁰ William Szekspir, Sonet 129, tłum. Stanisław Barańczak.

Zastanawiam się, czy kryje się w tym coś znaczącego.

- Nic zdrożnego, jeśli to ma pan na myśli - odparła. - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku poezja dziewiętnastego wieku była częścią planu kursu Angielski Zaawansowany na świadectwie Higher School. Teraz to się chyba nazywa "Poziom Z".

Wtedy Quadrant zrobił coś dziwnego. Przeszedł pomiędzy Wexfordem a swoją żoną i z jednej z półek wyjął książkę. Sięgnął po nią bez żadnego wahania. Wexford odniósł wrażenie, że znalazłby ją w ciemności i z zamkniętymi oczami.

- Och, Douglas - westchnęła pani Quadrant - pan inspektor nie chce tego oglądać.

- Proszę spojrzeć.

Wexford spojrział na ozdobną wkładkę po wewnętrznej stronie okładki.

*Dla Fabii Rogers za wybitne wyniki egzaminu
Higher School Certificate. 1951 r.*

W jego pracy nie powinno się zapominać języka w gębie, ale nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów, by opisać dumę na smagłej twarzy Quadranta albo złagodzić zakłopotanie jego żony.

- Pójdę już - powiedział wreszcie.

Quadrant gwałtownie odłożył książkę i ujął swoją żonę za ramię. Pewnie złożyła palce na rękawie jego marynarki. Nagle wydali się sobie bardzo bliscy, ale mimo wszystko była to jedność dziwnie pozbawiona seksualności. Brat i siostra, pomyślał Wexford, Ptolemeusz i Kleopatra.

- Dobranoc, pani Quadrant. Była pani ogromnie pomocna. Przepraszam za kłopot... - raz jeszcze spojrział na zegarek - o tej godzinie - dodał, rozkoszując się wrogością Quadranta.

- To żaden kłopot, inspektorze. - Zaśmiała się skromnie,

pewnie, jakby naprawdę była szczęśliwą żoną z oddanym mężem.

Razem odprowadzili go do drzwi. Quadrant był grzeczny, znowu układny, ale dłoń, na której przedramieniu spoczywały palce jego żony, była zaciśnięta, a kostki odznaczały się bielą na jego brązowej skórze.

O ścianę posterunku stał oparty rower, rower z koszem, praktycznymi światłami i wypchaną torbą narzędziową. Wexford wkroczył do holu i prawie wpadł na tęgą, jasnowłosą kobietę w skórzanej wiatrówce na obszernej sukni ściągniętej w pasie.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało - odparła. - Żadnych złamań. Jest pan może tym facetem, tym całym nadinspektorem?

Oficer za biurkiem uśmiechnął się lekko, zmieniając uśmiech w kaszel, i zakrył usta dłonią.

- Nadinspektor Wexford. W czym mogę pani pomóc?

Wyciągnęła coś z torby na ramieniu.

- W zasadzie - oświadczyła - to ja mogę pomóc panu. Jeden z pańskich chłopaków przyszedł do mojego domu...

- Panno Clarke - przerwał jej Wexford. - Proszę do mojego biura.

Jego nadzieje nagle ogromnie wzrosły. To miło, że dla odmiany ktoś przychodzi do niego. Potem znowu podupał na duchu, widząc, co kobieta trzyma w dłoni. To było tylko kolejne zdjęcie.

- Znalazłam to w masie innych pierdoł - powiedziała. - Skoro szukacie ludzi, którzy znali Margaret, to może pomóc.

Zdjęcie było powiększone. Był na nim tuzin dziewcząt w dwóch rzędach i ewidentnie nie była to oficjalna fotografia.

- Zrobiła je Di - powiedziała panna Clarke. - To znaczy Di

Stevens. Jest tutaj większa część szóstej klasy. - Spojrzała na niego i zrobiła minę, jakby się bała, że przynosząc je, zrobiła coś głupiego. - Może je pan zatrzymać, jeśli się przyda.

Wexford wsunął je do kieszeni, mając zamiar później się mu przyjrzeć, choć wątpił, by było to teraz potrzebne. Gdy odprowadzał pannę Clarke, natknął się na sierżanta Martina, który wracał z rozmowy z kierownikiem supermarketu. Nie mieli szczegółowego wykazu sprzedaży różowych kapturów, jedynie wykaz ogólny. Dostawa przyjechała w poniedziałek, a do soboty wieczór sprzedało się dwadzieścia sześć. Według kierownika w dostawie mniej więcej jedna czwarta była różowa i oceniał, bardzo z grubsza, że różowych sprzedało się sześć.

Wexford posłał Martina do Flagford na poszukiwania Janet Tipping. Potem zadzwonił do Drury'ego. Odebrał Burden. W domu niczego nie znaleźli. Pani Drury była w Hastings u swojej siostry, ale siostra nie miała telefonu.

- Martin będzie musiał tam pojechać - zdecydował Wexford. - Pana chcę mieć na miejscu. Co powiedział Spellman?

- We wtorek zamknęli dokładnie o siedemnastej trzydzieści. Drury zamówienie żony odebrał w środę.

- Swoją drogą, po co kupuje warzywa? Sam je uprawia w ogrodzie.

- Zamówione były pomidory, ogórek i dynia.

- To owoc, nie warzywo. Skoro już mowa o ogrodnictwie, to zamówiłem oświetlenie i można zacząć kopać. Uważam, że ta portmonetka i klucz mogą być pochowane gdzieś w ziemniakach Drury'ego.

Gdy Wexford wrócił na Sparta Drove, Dudley Drury był w żalonym stanie. Dreptał w tę i z powrotem, ale sprawiał wrażenie, jakby miał miękkie kolana.

- Jest chory - poinformował Gates.

- Pech - warknął Wexford. - Co ja jestem, opieka

zdrowotna?

Przeszukanie domu zostało zakończone i miejsce to wyglądało znacznie porządniej, niż gdy zaczynali. Gdy przyjechały reflektory, Bryant i Gates zaczęli kopać na grządce z ziemniakami. Blady jak ściana Drury patrzył z okna jadalni, jak przewracają skiby ziemi. Ten człowiek, pomyślał sobie Wexford, powiedział kiedyś, że życie bez Margaret Parsons będzie nie do zniesienia. Czy naprawdę uważał, że takie będzie, jeśli posiadzie ją ktoś inny?

- Drury, chciałbym, żeby pan pojechał teraz na komendę.

- Aresztuje mnie pan?

- Chcę tylko zadać panu jeszcze kilka pytań - odparł Wexford. - Tylko kilka pytań.

Tymczasem Burden pojechał do Pomfret, obudził kupca żelaznego i sprawdził alibi jego siostrzeńca.

- Dud we wtorki zawsze wychodzi wcześniej - burknął. - Z tygodnia na tydzień wcześniej, żeby pan wiedział. Bardziej o piątej niż kwadrans po.

- Mówi więc pan, że w ostatni wtorek wyszedł koło piątej?

- Nie powiedziałbym, że o piątej. Dziesięć, piętnaście po. Byłem zajęty w sklepie. Dud przyszedł i powiedział: „Wuju, to ja leczę”. Przecież nie będę go zatrzymywać, nie?

- To było bardziej dziesięć czy piętnaście po?

- O ile wiem, to mogło być i dwadzieścia po.

Nadal lekko mżyło. Główna droga była czarna i kleiście błyszcząca. Cokolwiek panna Sweeting mogła widzieć tego popołudnia, teraz dróżka i las były wyludnione. Górne gałęzie drzew poruszały się na wietrze. Burden zwolnił, rozmyślając, jakie to dziwne, że kawałek zapadłej wsi nagle zrobił się interesujący dlatego, że ktoś wykorzystał go jako złowieszczą i przerażającą kryjówkę, centralny punkt skupiający ciekawski wzrok i cel, pewnie na całe lata, wycieczek połowy gości tej okolicy. Od tej pory zamek Flagford w upiornym przewodniku

będzie zajmował drugie miejsce, za lasem Prewetta.

Na podjeździe komendy spotkał Martina. Nie udało mu się znaleźć Janet Tipping. Jak zwykle w sobotę wieczorem wyszła ze swoim chłopcem, a jej matka powiedziała Martinowi ze swego rodzaju agresywną obojętnością, że często wracała o pierwszej albo drugiej w nocy. Domek był zapuszczony, a matka flejtuchowata. Nie wiedziała, gdzie jest jej córka, a poproszona, żeby się zastanowiła, powiedziała, że Janet i jej przyjaciel pewnie pojechali jego motocyklem na wybrzeże.

Burden zastukał do drzwi Wexforda i nadinspektor krzyknął, żeby wchodzić.

W środku, naprzeciwko siebie, siedzieli Drury i Wexford.

- Jeszcze raz porozmawiajmy o wtorkowym wieczorze - mówił Wexford.

Burden cicho przysiadł na jednym ze stalowych, wyścielanych krzeseł. Zegar ścienny pomiędzy szafką na akta, gdzie nadal leżały książki Doona, i mapą Kingsmarkham mówił, że jest dziesięć minut do północy.

- Wyszedłem ze sklepu piętnaście po piątej i pojechałem prosto do Flagford. Gdy dotarłem do Spellmana, było już zamknięte, więc wszedłem i porozglądałem się wokół szklarni. Kilka razy zawołałem, ale nikt się nie pojawił. Przecież już to mówiłem.

- W porządku, Drury - cicho odpowiedział Wexford. - Powiedzmy, że mam kiepską pamięć.

Głos Drury'ego zrobił się bardzo wysoki i spięty. Wyjął chusteczkę i otarł czoło.

- Pokręciłem się, żeby zobaczyć, czy zamówienie może gdzieś nie leży, ale nie leżało. - Odchrząknął. - Byłem trochę zirytowany, bo moja żona chciała warzywa na kolację. Przejechałem powoli przez wioskę, bo pomyślałem, że natknę się gdzieś na pana Spellmana i poproszę o wydanie zamówienia, ale go nie widziałem.

- Widział pan kogoś, kogo pan zna, kogokolwiek, kogo znał pan, gdy mieszkał we Flagford?

- Biegały tam jakieś dzieciaki - odparł Drury. - Nie wiem czyje. Niech pan posłucha, przecież już to mówiłem. Poszedłem do "Łabędzia" i obsługiwała mnie ta dziewczyna...

- Co pan zamówił?

- Półkwartę bittera. - Zarumienił się. Z powodu kłamstwa, pomyślał Burden, czy naruszenia zasad wiary? - Pub był pusty. Zakaszlałem i po chwili z zaplecza wyszła tamta dziewczyna. Zamówiłem bittera i zapłaciłem. Powinna to pamiętać.

- Spokojnie, zapytamy ją.

- Nie została za barem. Byłem całkiem sam. Gdy skończyłem piwo, wróciłem do Spellmana sprawdzić, czy ktoś się nie pojawił. Nikogo nie zobaczyłem i pojechałem do domu.

Drury poderwał się i chwycił brzegu biurka. Papiery Wexforda zadrżały, a słuchawka telefonu zaklekotała na widelkach.

- Słuchaj pan! - krzyknął. - Wszystko już powiedziałem. Nie tknąłbym Margaret palcem.

- Niech pan siada - powiedział Wexford, a Drury znowu się skulił. Twarz miał wykrzywioną. - Był pan o nią bardzo zazdrosny, prawda? - mówił tonem konwersacyjnym, pełnym zrozumienia. - Nie chciał pan, żeby miała jakichś przyjaciół poza panem.

- To nieprawda... - Próbował krzyknąć, ale nie panował nad głosem. - Była tylko moją przyjaciółką. Nie wiem, co pan ma na myśli, jaka zazdrość? Oczywiście, że nie chciałem, żeby spotykała się z innymi chłopcami, gdy była ze mną.

- Panie Drury, czy był pan jej kochankiem?

- Nie, nie byłem. - Na ten afront znowu się zaczerwienił. - Nie ma pan powodu, żeby pytać mnie o takie rzeczy. Miałem tylko osiemnaście lat.

- Dał jej pan dużo prezentów, prawda? Dużo książek?

- To Doon, nie ja. Skończyła tę znajomość, gdy zaczęła spotykać się ze mną. Nigdy niczego jej nie dałem. Nie było mnie na to stać.

- Drury, gdzie jest Foyle's"?

- W Londynie. To księgarnia.

- Czy kiedykolwiek kupił pan tam jakieś książki i podarował je Margaret Godfrey?

- Mówię panu, że nigdy nie dałem jej żadnych książek.

- A co z *Portretem Doriana Graya*? Nie dał jej pan tej powieści. Dlaczego ją pan zatrzymał? Bo pomyślał pan, że mogłaby ją zaszokować?

- Dałem wam próbkę mojego charakteru pisma - zduszonym głosem powiedział Drury.

- Pismo mocno się zmienia przez dwanaście lat. Niech mi pan opowie o tej książce.

- Już mówiłem. Byliśmy w domu jej ciotki, a ta książka przyszła w paczce. Otworzyła ją, a gdy zobaczyła, kto ją przysłał, powiedziała, że mogę ją sobie wziąć.

Wreszcie zostawili go siedzącego w milczeniu w towarzystwie sierżanta. Razem wyszli na zewnątrz.

- Posłałem próbkę pisma Drury'ego do tego grafologa na St Mary Road - powiedział Wexford. - Ale pismo drukowane, Mike, i to dwanaście lat temu! Wygląda na to, że ktokolwiek napisał te dedykacje, zrobił to w ten sposób, bo jego pismo odręczne było brzydkie albo trudne do odczytania. Pismo Drury'ego jest bardzo krągłe i staranne. Mam poczucie, że niewiele pisze, a jego pismo nigdy nie dojrzało.

- Jest jedynym człowiekiem, z którym rozmawialiśmy, który nazywa panią P. Minną - zauważył Burden - i który wiedział o Doonie. Miał w domu jeden z tych kapturów, i chociaż może to być jeden z pozostałych pięciu, to może to być też ten należący do pani P. Jeśli od wuja wyszedł dziesięć albo piętnaście po piątej, mógłby do dwadzieścia po zdążyć do Prewetta, a do tego czasu Bysouth zagonił już te krowy.

Telefon milczał od dłuższego czasu, nietypowo długo jak na ruchliwy posterunek policji. Co z tym połączeniem, na które czekali od pory lunchu? Wexford wydawał się czytać mu w myślach.

- Lada chwila powinniśmy mieć połączenie z Colorado - powiedział. - Są z grubsza siedem godzin do tyłu, więc, zakładając, że pani Katz nie było w domu, powinna właśnie wracać. Tutaj jest wpół do pierwszej, czyli na zachodzie Stanów Zjednoczonych będzie między piątą a szóstą. Pani Katz ma małe dzieci. Przypuszczam, że wyszła z rodziną na cały dzień i nie mogli jej złapać. Ale powinna już wracać do domu i mam nadzieję, że nie potrwa to długo.

Burden podskoczył, gdy rozległ się dzwonek. Podniósł słuchawkę i podał ją Wexfordowi. Gdy tylko się odezwał. Burden wiedział, że to tylko kolejne złe wieści w sprawie dowodów.

- Tak - powiedział Wexford. - Tak, bardzo dziękuję. Rozumiem. Nic się nie poradzi... Tak, dobranoc.

Odwrócił się do Burdena.

- To był Egham, ten facet od pisma. Powiedział, że Drury mógł napisać te dedykacje. Pismo oczywiście się zmieniło, ale on mówi, że było bardzo dojrzałe jak na osiemnastoletniego chłopca, i że jeśli to pismo Drury 'ego, to spodziewałby się znacznie wyraźniejszego rozwoju, niż to, co Drury zaprezentował teraz. I jest jeszcze coś. Wziąłem próbkę z bieżnika jego opon i chociaż jeszcze z nią nie skończyli, to chłopaki z laboratorium są w zasadzie pewni, że ten samochód nie parkował w błocie od nowości. W próbce jest głównie piasek i kurz. Napijmy się herbaty, Mike.

Burden kciukiem wskazał na drzwi.

- Dla niego też herbata?

- Mój Boże, tak - westchnął Wexford. - Ile razy mam ci to powtarzać? To nie Meksyk.

*Czasem czuję dumę, a czasem łagodność,
A czasem wspominam stare dzieje...*

Christina Rossetti, *Aloof*

Margaret Godfrey była jedną z pięciu dziewcząt na kamiennej ławie i siedziała pośrodku. Te, które stały za nimi, dłonie trzymały na ramionach siedzących. Wexford naliczył dwanaście twarzy. Zdjęcie zrobione przez Dianę Stevens było bardzo ostre i wyraźne, a podobieństwo, nawet po tak długim czasie, dobre. Przywołał w pamięci twarz, którą widział na mokrej ziemi, potem ze świeżo przebudzoną ciekawością przyjrzał się twarzy w słońcu.

Pozostałe się uśmiechały, wszystkie poza Margaret Godfrey, której twarz była spokojna. Białe czoło było bardzo wysokie, oczy duże i bez wyrazu; usta miała zamknięte, ich kąciki bardzo lekko uniesione, patrzyła w aparat zupełnie jak Gioconda spoglądała na Leonarda. Tajemniczość i coś jeszcze w tych pogodnych rysach. Ta dziewczyna, pomyślał Wexford, wyglądała tak, jakby doznała czegoś, czego większość jej znajomych nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić, i naznaczyło ją to nie cierpieniem czy wstydem, ale pełnym zadowolenia spokojem.

Sportowa tunika była nie na miejscu. Powinna założyć sukienkę bez dekoltu, z bufiastymi rękawkami. Jej włosy, wówczas miękkie, nie kędzierzawe i faliste jak później, muskały kości policzkowe i dwoma błyszczącymi tukami układały się na skroniach.

Wexford spojrział na milczącego Drury'ego, teraz siedzącego jakieś pięć jardów od niego. Potem znowu zaczął się przyglądać fotografii. Gdy wszedł Burden, nadal to robił, a jego herbata zupełnie wystygła.

Była prawie trzecia godzina.

- Przyjechała panna Tipping - powiedział Burden.

Wexford wynurzył się ze słonecznego ogrodu, a zdjęcie przykrył teczką.

- Proszę ją więc przyprowadzić.

Janet Tipping była zaokrągloną, zdrowo wyglądającą dziewczyną, ze stożkiem lakierowanych włosów ponad głupią, podejrzliwą twarzą. Gdy zobaczyła Drury'ego, jej mina, bezmyślna i bezrozumna, nie zmieniła się.

- No, nie potrafię powiedzieć - oświadczyła. - To było dawno temu.

Nie dwanaście lat, pomyślał Burden, tylko cztery dni.

- Możliwe, że go obsługiwałam, znaczy się, podaję bittera setkom facetów... - Drury zapatrzył się na nią, jakby próbował pobudzić jej mętne, zmęczone myśli. - Słuchajcie - powiedziała. - Nie chcę nikomu narobić kłopotów.

Podeszła bliżej, gapiąc się tak, jakby oglądała jakieś dziwo w muzeum. Potem cofnęła się, kręcąc głową.

- Musisz mnie pamiętać - krzyknął Drury. - Musisz pamiętać. Zrobię wszystko, dam ci co zechcesz, tylko sobie przypomnij. Nie masz pojęcia, co to dla mnie oznacza...

- Och, dajże mi spokój - odparła dziewczyna, teraz przestraszona. - Głowię się i głowię, i nie pamiętam. - Spojrzała na Wexforda. - Mogę już iść?

Gdy Burden ją wyprowadzał, odezwał się telefon. Podniósł słuchawkę i podał ją Wexfordowi.

Tak... tak, oczywiście, że chcę, żeby wróciła - powiedział Wexford. - To był Martin - wyjaśnił czekającemu na zewnątrz Burdenowi. - Pani Drury mówi, że kupiła ten

kaptur w poniedziałek po południu.

- To niekoniecznie oznacza... - zaczął Burden.

- Nie, a Drury we wtorek wrócił o szóstej trzydzieści. Pamięta, bo czekała na pomidory. Chciała je wrzucić do sałatki na kolację. Mike, jeśli to nie on zabił panią P., to cholernie długo pił to piwo. Jak na niewinnego człowieka jest praktycznie chory z przerażenia.

- To niekoniecznie oznacza... - znowu powiedział Burden.

- Wiem, wiem.

- Sir, w ogrodzie zapewne niczego nie było?

- Pięć gwoździ, jakieś dwieście funtów pokruszonych cegieł i blaszany samochodzik - odparł Wexford. - Powinien nam podziękować. Aż do jesieni nie trzeba będzie kopać. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - O ile na jesień nadal tu będzie.

Wrócili do biura. Drury siedział bez ruchu, twarz miał koloru smalcu.

- To było bardzo długie piwo, Drury - powiedział Wexford. - Wrócił pan do domu dopiero o szóstej trzydzieści.

- Chciałem odebrać zamówienie - wymamrotał Drury. - Kręciłem się w pobliżu. Koło szóstej tam jest spory ruch. Nie jestem przyzwyczajony do alkoholu i przez jakiś czas bałem się siadać za kółkiem. Chciałem znaleźć pana Spellmana.

Pół kwarty, pomyślał Burden, a on bał się prowadzić?

- Kiedy odnowił pan swój związek z panią Parsons?

- Mówię wam, że nie było żadnego związku. Nie widziałem jej przez dwanaście lat. Potem przejeżdżałem przez High Street, zatrzymałem się i zamieniłem z nią kilka słów...

- Był pan zazdrosny o pana Parsonsa, prawda?

- Nigdy go nie spotkałem.

- Byłby pan zazdrosny o każdego, za kogo wyszłaby pani

Parsons. Nie musiał go pan widzieć. Sądzę, że spotykał się pan z panią Parsons, zabierał ją na przejażdżki swoim samochodem. Zmęczyło ją to i zagroziła, że powie pańskiej żonie.

- No to spytajcie moją żonę. Powie wam, że zawsze byłem jej wierny. Jestem szczęśliwym mężem.

- Drury, pańska żona już tu jedzie. Zapytamy.

Drury podskakiwał za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Teraz, gdy po długiej przerwie dzwonek znowu się odezwał, zadygotał wyraźnie i cicho jęknął. Wexford, po godzinach siedzenia jak na szpilkach, kiwnął głową do Burdena.

- Odbiorę gdzie indziej - powiedział.

Kartka papieru pokryta była pajęczymi hieroglifami stenotypii Bryanta. Wexford rozmawiał z szefem policji z Colorado, ale teraz, gdy w słuchawkach stał za Bryantem, nie słyszał nic, patrzył tylko, jak zakodowane w skrótach słowa spadają na papier.

Do czwartej zostały przetranskrybowane. Z flegmatycznym, ale dla Burdena pełnym skrywanego podekscytowania wyrazem twarzy, Wexford kolejny raz przeczytał list. Martwe słowa, teraz zimno przepisane na maszynie na oficjalnym papierze, nadal zdawały się być pełne życia, ruchliwego, zaaferowanego życia kobiety mieszkającej w wiejskim zaścianku. Tutaj, w głębinach nocy, pośród biurowych mebli i zielonych, stalowych szafek na akta, pani Parsons na chwilę - jedną z nielicznych chwil w całej tej sprawie - ożyła i okazała się prawdziwą osobą. W jej słowach nie było dramatu, jedynie szept małej tragedii, jednak ze względu na jej los list ten był przerażającym dokumentem, jedynym istniejącym zapisem jej życia wewnętrznego.

Kochana Nan,

Wyobrażam sobie Twoje zaskoczenie, gdy widzisz mój nowy adres. Tak, wróciliśmy i mieszkamy rzut kamieniem od szkoły i tylko kilka mil od drogiego, starego domku. Musieliśmy sprzedać dom po ciotce i trochę na tym straciliśmy, więc kiedy Ronowi nadarzyła się okazja na pracę tutaj, uznaliśmy, że to może być rozwiązanie. Podobno życie na wsi jest tańsze, ale powiadam ci, że jakoś tego na razie nie widzimy.

Pomimo tego, co sobie myślisz, całkiem podoba mi się życie we Flagford. Tylko to, co wiesz, mnie z niego wygoniło. Wierz mi, Nan, byłam naprawdę przerażona tymi interesami, którymi zajmuje się Doon, więc możesz sobie wyobrazić, że nie byłam zachwycona, gdy kilka tygodni po tym, jak się wprowadziliśmy, doszło do przypadkowego spotkania. Choć jestem dużo starsza, wciąż czuję trochę lęku i buntu. Powiedziałam, że lepiej zostawić wszystko w spokoju, ale Doon nie przyjmuje tego do wiadomości. Muszę jednak powiedzieć, że miło jest się przejechać ładnym, wygodnym samochodem i zjeść kilka posiłków w hotelach.

Wierz mi, Nan, jest tak samo jak zawsze, tylko przyjaźń. Te dwanaście lat temu, naprawdę nie sądzę, by nam zaświtało, że mogłoby istnieć coś innego. A w każdym razie ja nie wiedziałam. Oczywiście sama ta myśl mnie brzydzi. Doon chce tylko towarzystwa, ale to trochę upiorne.

Więc kupujesz kolejny nowy wóz. Żałuję, że nas nie stać na samochód, ale obecnie leży to całkowicie poza naszymi możliwościami. Przykro mi słyszeć, że Kim złapała ospę zaraz po odrze. Przypuszczam, że posiadanie rodziny ma wady i zalety. Nie wygląda na to, byśmy z Ronem doświadczyli tego niepokoju albo szczęścia, skoro od dwóch lat nie było nawet

falszywego alarmu.

Nadal jednak uważam, że jeśli masz naprawdę szczęśliwe małżeństwo, takie jak nasze, to nie trzeba dzieci, żeby je utrzymać. Może to po prostu zazdrość. Tak czy inaczej, jesteśmy szczęśliwi, a Ron teraz, gdy jesteśmy daleko od miasta, wydaje się znacznie bardziej odprężony. Nan, nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie tacy jak Doon nie mogą się zadowolić tym, co mają, i przestać pragnąć niemożliwego.

Cóż, muszę już kończyć. To naprawdę spory dom i nie do końca wyposażony w wygody! Uściskaj ode mnie Wila i dzieci. Pozdrowienia od Rona.

Całuję, Meg

Szczęśliwe małżeństwo? Czy małżeństwo może być szczęśliwe, żeglując z wysiłkiem po morzu kłamstwa i podstępów? Burden odłożył list, potem go podniósł i przeczytał ponownie. Wexford powiedział mu o swojej rozmowie z szefem policji i jego twarz nieco się rozjaśniła.

- Nigdy tego nie udowodnimy - stwierdził Burden.

- Jedna sprawa, może pan iść i powiedzieć Drur/emu, że Gates zawiezie go zaraz do domu. Jeżeli będzie chciał nas pozwać, to śmiem przypuszczać, że Dougie Q. chętnie mu pomoże. Tylko niech mu pan tego nie mówi i niech go więcej nie widzę. Jak na niego patrzę, to boli mnie wątroba.

Zaczynało świtać. Niebo było szare i zamglone, a ulice obsychały. Wexford, zeszywniały i obolały od siedzenia, zdecydował, że zostawi samochód i do domu pójdzie na piechotę.

Lubił świt, choć wołał go nie oglądać, jeżeli nie musiał. Pomagał mu w myśleniu. W pobliżu nie było nikogo. Plac targowy wydawał się znacznie większy niż za dnia, a w zatoczce autobusowej stała płytka kałuża. Na moście spotkał psa, zmierzającego gdzieś w swoich tajemniczych

sprawach, truchtającego szybko, z podniesioną głową, jakby miał jakiś konkretny cel. Wexford zatrzymał się na chwilę i popatrzył na wodę. Jego spojrzenie odwzajemniła wielka, szara postać, aż wiatr zmarszczył powierzchnię wody i odbicie zniknęło.

Minał dom pani Missal, minął domki... był blisko własnego. Na tablicy ogłoszeń przy kościele metodystów w coraz jaśniejszym świetle odczytał czerwony napis: "Bóg chce się z tobą zaprzyjaźnić". Wexford podszedł bliżej i przeczytał słowa na przypiętej poniżej kartce. „Pan R. Parsons zaprasza wszystkich członków kościoła na mszę ku pamięci jego żony, Margaret, która tak tragicznie zginęła w tym tygodniu. Msza odbędzie się w niedzielę o dziesiątej rano”.

Zatem dzisiaj, po raz pierwszy, odkąd zmarła, dom na Tabard Road będzie pusty... Nie, pomyślał Wexford, Parsons był na przesłuchaniu. Ale poza tym... Myślni wrócił do niektórych wydarzeń tego popołudnia, do śmiechu uciętego w środku, do książki, do straszliwego przeniesienia emocji, do kobiety ubranej na schadzkę.

"Nigdy tego nie udowodnimy", powiedział Burden.

Ale rano mogli pójść na Tabard Road i spróbować.

Minno, moje oczekiwania były bardzo skromne. Potrzeba mi było tak niewiele, tylko kilku godzin z wielu składających się na tydzień, nieskończenie mały wir w wielkim oceanie wieczności.

Moim pragnieniem było porozmawiać, Minno, rozłożyć u twych stóp ból i żal, cierpienie dekady rozpaczy. Czas, taka myśl mi przyświecała, czas, który prześlizguje się po ostrzu okrucieństwa, tępi ostrze pogardy, przycina skrzydła krytycyzmu, czas zmiękczy jej oczy i uwrażliwi uszy.

Las był cichy, tak jak droga znana nam tak dawno temu, ale ty zapomniałaś o kwiatach, które przy niej rosty, o woskowym diademie z powoju.

Moje słowa były łagodne, wydawało mi się, że się zastanawiasz. Przez chwilę zdawało mi się, że słuchasz, i wreszcie słowa ucichły, a mnie dręczył głód twojej delikatnej pochwały, twojej wyczekanej miłości. Tak, Minno, miłości. Czy to byłoby takie złe, takie niegodziwe, gdyby wypełniła czyste zręby przyjaźni?

Mój wzrok i dłonie dotknęły twoich włosów. Oczy miałaś zamknięte, bo ciężki sen uznałaś za lepszy od moich słów, i dotarło do mnie, że jest za późno. Za późno na miłość, za późno na przyjaźń, za późno na cokolwiek prócz śmierci...

*Tyle szaf do przeszukania,
tyle sypialni do nękania.*

Robert Browning, *Love in a Life*

Parsons miał na sobie ciemny garnitur. Na czarnym krawacie, nienowym i używanym pewnie przy innych żałobnych okazjach, znać było błyszczące ślady zbyt gorącego, niefachowo trzymanego żelazka. Do lewego rękawa miał przyszyty kawałek czarnej bawełny w kształcie rombu.

- Chcielibyśmy jeszcze raz rozejrzeć się po domu - powiedział Burden - gdyby mógł nam pan zostawić klucz.

- Róbcie, co chcecie - odparł Parsons. - Pastor zaprosił mnie na niedzielny obiad. Wrócę dopiero po południu.

Zaczął sprzątać ze stołu po śniadaniu, imbryk i dzbanuszek na dżem starannie odkładając na miejsce, które przeznaczyła dla nich zmarła. Burden obserwował, jak podnosi niedzielną gazetę, nieotwartą i nieprzeczytaną, i zmiata na nią okruszki tostów, po czym umieszcza w wiaderku pod zlewem.

- Sprzedaję ten dom jak szybko się da - oświadczył.

- Moja żona zamierza pójść na nabożeństwo - powiedział Burden.

Parsons nadal stał do niego plecami. Lał wodę z czajnika na pojedynczy kubek, spodeczek, talerz.

- Miło mi - powiedział. - Pomyślałem, że ludzie będą chcieli przyjść, ci ludzie, którzy jutro nie będą mogli wziąć udziału w pogrzebie. - Na zlewie były teraz brązowe

ślady, okruchy i fusy herbaciane przyklejone do tłustej linii wody. - Pewnie jeszcze nic nie wiecie? To znaczy o mordercy.

To było groteskowe. Potem Burden przypomniał sobie, co czytywał ten człowiek, podczas gdy jego żona robiła na drutach.

- Jeszcze nie.

- Nieważne - mruknął ze znużeniem. - To nie wróci jej życia.

Ściereczką kuchenną osuszył naczynia, a potem dłonie.

Zapowiadał się upalny dzień, pierwszy naprawdę gorący dzień tego lata. Na High Street upał już tworzył wodne miraż, jeziora, które migotały i znikwały, gdy Burden się do nich zbliżał; na drodze, gdzie poprzedniej nocy faktycznie stała woda, na asfalcie lśniło widziadło. Samochody, jeden za drugim, rozpoczęły swoją pielgrzymkę na wybrzeże, a Gates, za którym furkotały niebieskie rękawy koszuli, kierował ruchem na skrzyżowaniu. Burden poczuł ciężar własnej marynarki.

Wexford czekał na niego w swoim biurze. Mimo otwartych okien powietrze było nieruchome.

- Klimatyzacja działa lepiej, gdy są zamknięte - podsunął Burden.

Wexford chodził w tę i z powrotem, ciesząc się słońcem.

- Tak jest lepiej - powiedział. - Zaczekamy do jedenastej i ruszamy.

Samochód, który Wexford spodziewał się zobaczyć, parkował dyskretnie w uliczce odchodzącej od Kingsbrook Road, w pobliżu miejsca, gdzie łączyła się z końcem Tabard Road.

- Bogu dzięki - powiedział Wexford niemal pobożnie. - Póki co dobrze idzie.

Parsons dał im klucz do tylnych drzwi i cicho weszli do kuchni. Burden sądził, że w tym domu zawsze będzie

zimno, ale teraz, w żarze dnia, wydawał się duszny i pachniał starym jedzeniem i stęchłą, niepraną pościelą.

Panowała absolutna cisza. Wexford poszedł do holu, Burden za nim. Szli ostrożnie, by stare deski ich nie zdradziły. Na wieszaku w holu wisała kurtka i płaszcz przeciwdeszczowy Parsonsa, a na małym prostokątnym stoliku, pośród sterty ulotek reklamowych, brudnych chusteczek i porzrywanych kopert, coś błyszczało. Burden podszedł bliżej i przyjrzał się, pamiętając, by niczego nie dotykać. Rozsunął pozostałe rzeczy na boki i razem spojrzeli na klucz z zawieszka w kształcie podkowy na końcu srebrnego łańcuszka.

- Tutaj - samymi wargami powiedział Wexford.

Salon pani Parsons był gorący i zakurzony, ale wszystko było na miejscu. Ludzie Wexforda zostawili wszystko tam, gdzie było; nawet wazon z plastikowymi różami opierający się o palenisko. Słońce, wlewając się przez zamknięte okna, pokazywało taniec cząsteczek kurzu. Poza tym nic się nie poruszało.

Wexford i Burden stali za drzwiami, czekając. Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim coś się wydarzyło. A potem, gdy już się wydarzyło. Burden nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wykuszone okno wychodziło na opustoszałą ulicę, jasnoszarą w mocnym świetle i ostro odciętą przez krótkie cienie drzew w ogrodzie naprzeciwko. Nie było innych kolorów, tylko ta szarość i rozświetlona słońcem zieleń. Potem, z prawej strony, jak w filmie, pojawiła się idąca szybkim krokiem kobieta. Była jaskrawa jak zimorodek, królowa technikoloru w oranżu i zieleni. Włosy, o ton ciemniejsze od bluzki, kołysały się przy jej twarzy jak ciężkie draperie. Otworzyła furtkę, pokazując paznokcie jak dziesięć rubinów na tle szlifowanego drewna, i zniknęła z widoku, zmierzając do tylnych drzwi. Helen Missal wreszcie przysłała do domu swojej szkolnej koleżanki.

Wexford niepotrzebnie przyłożył palec do ust. Wpatrywał się w ozdobny sufit. Nad głowami słyszeli ciche kroki. Ktoś jeszcze usłyszał stukot wysokich obcasów ich gościa.

Przez szczelinę pomiędzy drzwiami a futryną, szeroką na ćwierć cala, Burden widział wąski wycinek schodów. Aż do tej pory były puste, pionowa linia tapety ponad drewnianą balustradą. Poczuł, że zaczyna się pocić pod pachami. Schody skrzyknęły, a w tej samej chwili cicho pisnęły zawiasy otwierających się tylnych drzwi.

Burden nie spuszczał oka z jasnej, wąskiej linii. Spał się, ledwie mając śmiałość oddychać, gdy tapeta i drewno na moment zostały przysłonięte widokiem czarnych włosów, ciemnego policzka, białej koszuli z cieniem błękitu. Potem nic więcej. Nie był nawet pewny, gdzie tych dwoje się spotkało, ale nie było to daleko od miejsca, w którym stał, i raczej poczuł ich spotkanie, niż je usłyszał, tak ciężka i tak desperacka stała się cisza.

Czworo ludzi, samych w upale. Burden złapał się na modlitwie, by zdołał wytrzymać w takim bezruchu, a jednocześnie być równie pobudzonym co Wexford. Wreszcie znowu zastukały obcasy. Przesunęły się do jadalni.

Pierwszy odezwał się mężczyzna, a Burden musiał się mocno skupić, by go usłyszeć. Głos miał cichy i bardzo opanowany.

- Nie powinnaś była tutaj przychodzić - powiedział Douglas Quadrant.

- Musiałam się z tobą zobaczyć - mówiła z wyraźną natarczywością. - Powiedziałeś, że spotkasz się ze mną wczoraj, ale nie przyjechałeś. Douglas, mogłeś przyjechać.

- Nie byłem w stanie się urwać. Miałem taki zamiar, ale przyjechał Wexford.

Jego głos ścichł i reszta zdania była niesłyszalna.

- Mogłeś później. Wiem, spotkałam go.

W salonie Wexford poruszył się lekko, zadowolony, że kolejny element wskoczył na miejsce.

- Sądziłam... - usłyszeli, jak śmieje się nerwowo. - Myślałam, że powiedziałam za dużo. Mało brakowało...

- Nie powinnaś była nic mówić.

- Nie powiedziałam. Powstrzymałam się. Douglas, ranisz mnie!

Jego odpowiedź była nieco gwałtowna, ale jej nie dosłyszeli.

Helen Missal nawet nie próbowała mówić cicho i Burden zastanawiał się, dlaczego jedno z nich przejawiało taką ostrożność, a drugie wcale.

- Po co tutaj przysłaś? Czego szukasz?

- Wiedziałaś, że przyjdę. Gdy zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem i powiedziałeś, że Parsonsa nie będzie, wiedziałaś...

Usłyszeli ją, jak chodzi po pokoju, a Burden wyobraził sobie ten mały, prosty nos, zmarszczony z dezaprobatą, palce wyciągnięte w stronę obszarpanych zasłon, rysujące linie w kurzu na szafkach pod ścianami. Jej śmiech, pogardliwy i pozbawiony wesołości, był zaskoczeniem.

- Widziałeś kiedyś taki paskudny dom? Niesamowite, że tutaj mieszkała, że naprawdę tutaj mieszkała. Mała Meg Godfrey...

Właśnie wtedy jego kontrola puściła, zapomniał o ostrożności i zaczął krzyczeć.

- Nienawidziłem jej! Mój Boże, Helen, jak ja jej nienawidziłem! Nigdy jej nie widziałem, aż do tego tygodnia, ale to przez nią moje życie jest takie, jakie jest.

- Bibeloty na półkach zagrzechotały i Burden domyślił się, że Quadrant opiera się o szafkę, tak blisko, że gdyby nie dzieląca ich ściana, mógłby go dotknąć. - Nie chciałem jej śmierci, ale cieszę się, że nie żyje!

- Kochany! - niczego nie usłyszeli, ale Burden wiedział, jakby ją widział, że przywarła do Quadranta z ramionami

na jego szyi. - Chodźmy stąd już. Proszę. Nie ma tutaj nic dla ciebie.

Brutalnie ją od siebie odtrącił. Powiedział im o tym jej cichy okrzyk i odgłos fotela ślizgającego się po linoleum.

- Wracam na górę - oświadczył Quadrant - a ty musisz stąd iść. Natychmiast, Helen. W tym stroju tak rzucasz się w oczy... - zamilkł, szukając metafory- jak papuga w gołębniku.

Chyba się zatoczyła, sparaliżowana swoimi obcasami i odrzuceniem. Burden, dostrzegając przez szparę płomień i błysk błękitu, poruszył się lekko, ale Wexford złapał go za ramię. W cichym domu ktoś nad nimi czekał niecierpliwie. Dwa piętra wyżej na podłogę posypały się książki, jakby dokładnie ponad nimi szalała burza.

Douglas Quadrant także to usłyszał. Ruszył w stronę schodów, ale Wexford był pierwszy i wpadli na siebie w holu. Helen Missal wrzasnęła i zakryła sobie usta ramieniem.

- O Boże! - jęknęła. - Dlaczego nie przyszedł pan wtedy, gdy panu mówiłam?

- Pani Missal, nikt nigdzie nie idzie - powiedział Wexford. - Najwyżej na górę.

Owiął klucz w chusteczkę.

Quadrant stał teraz bez ruchu, z uniesioną ręką, jak szermierz w tej swojej białej koszuli, pomyślał Burden, jak tropiciel wytropiony i schwytany w sidła. Twarz miał pustą. Przez chwilę wpatrywał się w Wexforda, a potem zamknął oczy.

- Idziemy? - zapytał wreszcie.

Wspinali się powoli, Wexford pierwszy. Burden na końcu. Śmieszna procesja, pomyślał Burden. Powoli, z rękami na poręczy, byli jak klienci oglądający dom albo krewni idący na górę z wizytą do chorego.

- Myślę, że wszyscy pójdziemy do tego pokoju, gdzie Minna trzymała swoje książki, te, które dał jej Doon - powiedział Wexford przy pierwszym zakręcie. - Cała ta

sprawa zaczęła się w tym domu i być może w zakończeniu jej tutaj będzie jakaś poetycka sprawiedliwość. Ale książki z poezją zniknęły, panie Quadrant. Jak powiedziała pani Missal, nie ma tu nic dla pana.

Nie powiedział nic więcej, ale dźwięki z góry stały się głośniejsze. Gdy Wexford położył dłoń na drzwiach do małego pokoiku, gdzie wraz z Burdenem czytali na głos wiersze, z drugiej strony dobiegło ciche westchnienie.

Podłoga strychu zasłana była książkami, niektóre leżały otwarte ~ rzucone okładkami do góry, inne na grzbietach z rozłożonymi stronami i podartymi kartkami. Jedna musiała się spotkać ze ścianą, jakby ktoś nią rzucił, i spadła, otwierając się na ilustracji dziewczynki z warkoczem i kijem do hokeja. Pośród tego chaosu klęczała żona Quadranta, w zaciśniętej pięści trzymając pognieciony, kolorowy papier.

Gdy drzwi się otworzyły i zobaczyła Wexforda, bardzo starała się wyrzeć wrażenie, że to jej dom, jakby buszowała po własnym strychu, a ta czwórka, która właśnie się pojawiła, była niespodziewanymi gośćmi. Przez sekundę Burden miał wrażenie, że zacznie ścisnąć dłonie. Ale nie odezwała się ani słowem i wyglądała jak sparaliżowana. Zaczęła się cofać w stronę okna, stopniowo unosząc ręce i przyciskając upierścienione dłonie do policzków. Gdy się przesuwała, obcasem zahaczyła o jedną z książek, dziewczęcy rocznik, zachwiała się, na wpół upadając na większą z dwóch skrzyń. Na jej kości policzkowej pojawił się gwiazdzisty znak w miejscu, gdzie do ciała przyciśnięty był pierścienek.

Leżała tam, gdzie upadła, póki nie podszedł do niej Quadrant i nie podparł jej. Potem jęknęła cicho i odwróciła twarz, ukrywając ją w jego ramieniu.

W drzwiach pojawiła się Helen Missal.

- Chcę wracać do domu! - oświadczyła.

- Inspektorze Burden, proszę zamknąć drzwi - Wexford podszedł do maleńkiego okienka i otworzył je tak spokojnie, jakby był we własnym biurze. - Chyba wszystkim przyda się trochę powietrza.

Pomieszczenie było wielkości pudełka na buty i w oliwkowym kolorze wnętrza takiego pudełka. Jedyne przewiew było od okienka, otwartego, by wpuścić więcej obezwładniającego gorąca.

- Obawiam się, że nie ma tu zbyt dużo miejsca - powiedział Wexford przeproszającym tonem gospodarza.

- Inspektor Burden i ja postoiemy, a pani, pani Missal, może usiąść na drugiej skrzyni.

Ku zdumieniu Burdena posłuchała. Zauważył, że wpatrywała się w twarz nadinspektora jak zahipnotyzowana. Zrobiła się bardzo blada i nagle zaczęła wyglądać na znacznie starszą, niż była. Rude włosy mogłyby być peruką na głowie kobiety w średnim wieku.

Quadrant milczał, tuląc żonę tak, jakby była krnąbrnym dzieckiem. Wreszcie odezwał się z odrobiną poprzedniej pogardy.

- To policyjne metody, inspektorze? Jakże melodramatyczne.

Wexford go zignorował. Stał przy oknie z twarzą obramowaną czystym błękitem.

- Opowiem państwu historię miłosną - powiedział. - Historię Doona i Minny.

Tylko Quadrant się poruszył. Sięgnął do marynarki leżącej na skrzyni, na której siedziała Helen Missal, z kieszeni wyjął złotą papierošnicę i zapalki i zapalił papierosa.

- Gdy Margaret Godfrey przyjechała tutaj po raz pierwszy - zaczął Wexford - miała szesnaście lat. Wychowali ją ludzie starošwieccy i w rezultacie była

poważna i łatwo ją było zaszokować.

Zdecydowanie nie była dziewczyną z Londynu zadziwiająco prowincję, była podmiejską sierotą ciśniętą w wyrafinowaną okolicę. Czyż nie tak, pani Missal?

- Można to i tak ująć.

- By ukryć swój brak obycia, przyjęła interesującą manierę, manierę opartą na tajemniczości, wyniosłości, powadze. Dla ukochanego coś takiego może być fascynującą mieszanką. Zafascynowała Doona. Doon był bogaty, inteligentny i przystojny. Nie mam wątpliwości, że na Minnie - takie imię nadał jej Doon i tak będę o niej mówił - że na Minnie zrobiło to ogromne wrażenie. Doon mógł podarować jej rzeczy, na jakie nigdy nie mogłaby sobie pozwolić, i tak przez jakiś czas Doon był w stanie kupować sobie jej miłość, czy raczej towarzystwo; ponieważ była to miłość platoniczna i nie wkradło się w nią nic fizycznego.

Quadrant palił zawzięcie. Zaciągnął się głęboko, a końcówka papierosa rozjarzyła się.

- Powiedziałem, że Doon był inteligentny - ciągnął Wexford. - Powinienem może dodać, że błyskotliwy intelekt nie zawsze idzie w parze z samowystarczalnością. Tak też było w przypadku Doona. Sukces, kwitująca ambicja, faktyczne osiągnięcia w tym przypadku uzależnione były od kontaktu z wybranką - Minną. Ale Minna tylko czekała, czekała na stosowną chwilę. Ponieważ, rozumieją państwo...

- Powoli, po kolei, popatrzył na zgromadzonych. - Państwo *wiedzą*, że Doon, pomimo bogactwa, inteligencji i dobrego wyglądu, miał jedną wadę nie do pokonania, wadę większą niż jakiegokolwiek kalectwo, zwłaszcza dla kobiety o zapleczu Minny, której nie mogły zmienić żadne okoliczności ani żaden czas.

Helen Missal wyraźnie pokiwała głową. Oczy miała rozjaśnione wspomnieniami. Fabia Quadrant, opierając się o męża, płakała cicho.

- Zatem gdy pojawił się Dudley Drury, rzuciła Doona bez namysłu. Wszystkie te drogie książki, które dostała od Doona, schowała w skrzyni i już nigdy do nich nie wróciła. Drury był nudny i zwyczajny - odpowiednim słowem będzie niedojrzały, prawda, pani Quadrant?

Nie był namiętny ani zaborczy. Te przymiotniki pasowały do Doona. Drury jednak pozbawiony był wady Doona, zatem Drury zwyciężył.

„Wolała mnie!”, Burden przypomniał sobie triumfalny okrzyk Drury 'ego w środku przesłuchania.

- Gdy Minna odebrała swoją miłość, czy przyzwolenie na bycie kochaną, jeśli tak wolą to państwo ująć, życie Doona straciło sens. Dla innych wyglądało to jak niedojrzałe zauroczenie, było jednak całkowicie prawdziwe. W tamtej chwili, w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, neuroza była rozwinięta, jakkolwiek przygasła przez lata i znowu rozpalila się wraz z jej powrotem. Gdy pojawiła się nadzieja. Nie byli już nastolatkami, tylko dojrzałymi ludźmi. Nareszcie Minna mogła słuchać i okazywać przyjaźń. Ale tego nie zrobiła i dlatego musiała umrzeć.

Wexford zrobił krok w stronę siedzącego mężczyzny.

- I tu dochodzimy do pana, panie Quadrant.

- Gdyby nie to, że zdenerwował pan moją żonę - powiedział Quadrant - uznałbym, że to wspaniały sposób na ożywienie nudnego, niedzielnego poranka. - Głos miał lekki i lekceważący, ale cisnął niedopałkiem przez pokój, obok ucha Burdena, w stronę otwartego okna. - Proszę mówić dalej.

- Gdy odkryliśmy, że Minna zaginęła - pan o tym wiedział. Pańskie biuro jest przy moście i musiał pan widzieć, jak przeszukujemy strumień - uświadomił pan sobie, że na oponach pańskiego samochodu jest błoto z tamtej drogi. Znał pan nasze metody. Żeby się chronić, ze względu na pańską szczególną pozycję”, że zacytuję, musiał pan zabrać wóz z powrotem na tę drogę, ale pod

jakimś usprawiedliwionym pretekstem. Nie było bezpiecznie jechać tam w ciągu dnia, ale tego wieczora był pan umówiony z panią Missal...

Helen Missal podskoczyła.

- Nie, to nieprawda! - zawołała.

- Niech pani siada - powiedział Wexford. - Naprawdę pani sądzi, że ona o tym nie wie? Sądzi pani, że nie wiedziała o pani i o wszystkich innych? - odwrócił się do Quadranta. - Arogancki z pana człowiek, panie Quadrant - powiedział - i w głowie panu nie powstało, że wiemy o pańskim romansie z panią Missal. Gdybyśmy kiedykolwiek w ogóle powiązali pana z tą zbrodnią, trochę by się pan poawanturował, ale pański powód do przebywania na tamtej drodze był tak ewidentnie ukradkowy, że wszelkie kłamstwa czy uniki zostałyby złożone na jego karb. Ale gdy przyjechał pan do tego lasu, musiał się pan rozejrzeć, tak dla pewności. Nie wiem, jaką wymówkę pan znalazł, żeby pójść do lasu...

- Powiedział, że musi na stronę - z goryczą powiedziała pani Missal.

- ...ale pan poszedł, a ponieważ do tego czasu zrobiło się ciemno, zapalił pan zapalniczkę, żeby przyjrzeć się zwłokom. Był pan zafascynowany, jak można się tego było spodziewać, i trzymał pan tę zapalniczkę, póki się nie wypaliła, a pani Missal pana nie zawołała. Potem pojechał pan do domu. Zrobił pan to, po co pan przyjechał, i przy odrobinie szczęścia nikt nigdy nie powiązałby pana z panią Parsons. Lecz później, gdy w pańskiej obecności wspomnieliśmy imię Doon - wczoraj po południu, pamięta pan? - przypomniał pan sobie o książkach. Być może były też listy - to było tak dawno temu. Wiedział pan, że Parsonsa nie będzie w domu i użył pan klucza zmarłej, żeby wejść do domu, i tak natknęliśmy się na pana, jak szukał pan tego, co mogło zostać po Doonie.

- Wszystko to bardzo przekonujące - zgodził się

Quadrant. Przygładził zmierzwione włosy żony i ciasniej otoczył ją ramieniem. - Oczywiście nie ma najmniejszej szansy, byście doprowadzili do skazania na podstawie tego dowodu, ale jeśli chcecie, to możemy spróbować. - Mówił tak, jakby miał wziąć udział w jakimś niewielkim fortelu, w rodzaju powrotu do domu, gdy samochód się zepsuje, czy taktownej odmowie wzięcia udziału w przyjęciu.

- Nie, panie Quadrant - odparł Wexford - nie będziemy na to marnować naszego czasu. Może pan iść, jeśli pan chce, ale wołałbym, żeby pan został. Widzi pan, Doon *kochał* Minnę, a chociaż mogła być tam także nienawiść, nigdy nie było pogardy. Wczoraj po południu, gdy spytałem pana, czy pan ją znał, roześmiał się pan. Ten śmiech był jedną z nielicznych szczerych odpowiedzi, jakie od pana usłyszałem, i wówczas wiedziałem, że chociaż Doon mógłby zabić Minnę, to namiętność nigdy nie zmieniłaby się w szyderstwo. Co więcej, dziś o czwartej rano dowiedziałem się czegoś jeszcze. Przeczytałem pewien list i już wiedziałem, że ani pan, ani Drury nie możecie być Doonem. Dowiedziałem się, jaka dokładnie była natura wady Doona.

Burden wiedział, co się kroi, ale nadal wstrzymywał oddech.

Doon to kobieta -oświadczył Wexford.

*Nie kochaj, nie kochaj!
 To, co miłujesz, odmienić się może:
 Różane wargi odmówić uśmiechu.
 Łagodny blask oczu stać się zimnym, obcym.
 Serce stracić żar.*

Caroline Norton, *Love Not*

Mógłby pozwolić, żeby go aresztowano, pomyślał Burden. Mogliby go zabrać jak jagnię. Teraz, pomimo nietykalności, jego tupet zniknął, a w oczach pojawiło się ostatnie uczucie, które Burden łączyłby z Quadrantem – panika.

Jego żona odsunęła się od niego i usiadła prosto. Podczas długiej przemowy Wexforda pochlipywała, przez co wargi i powieki miała opuchnięte. Jej łzy, może dlatego, że płacz jest słabością młodych, sprawiły, że wyglądała jak dziewczyna. Miała na sobie żółtą sukienkę uszytą z jakiegoś kosztownego, niegniotącego się materiału, prostą i gładką jak tunika. Jak dotąd nie odezwała się ani słowem. Teraz sprawiała wrażenie podnieconej, pełnej niewypowiedzianych słów.

- Gdy się dowiedziałem, że Doon to kobieta - powiedział Wexford - prawie wszystko zaczęło do siebie pasować. Tak dobrze tłumaczyło to tajemniczość pani Parsons, dlaczego oszukiwała męża, a jednak miała wrażenie, że tego nie robi; dlaczego Drury sądził, że wstydziała się Doona; dlaczego pełna obrzydzenia dla samej siebie schowała te książki...

I dlaczego pani Katz, znając pleć Doona, ale nie imię, była taka ciekawa, pomyślał Burden. To tłumaczyło ten list, który tak ich zdziwił poprzedniego dnia. *Czego tu się bać? W tym przecież nigdy nic nie było...* Kuzynka, powierniczka, wiedziała, cały czas wiedziała. Dla niej nie była to żadna tajemnica, ale fakt, którego świadoma była tak długo, że nie uznała za konieczne mówić o nim szefowi policji Colorado, póki nie zapytał. Potem okazał się być naturalnym postscriptum do przesłuchania.

- Zaraz, co takiego? - powiedziała. - Pan sądził, że to facet?

Helen Missal cofnęła się w cień. Skrzynia, na której siedziała, była przysunięta do ściany, a słońce kładło się jasną plamą na jej jasnoniebieskiej spódnicy, zacinając twarz. Zaciskała ręce na kolanach, a słońce odbijało się dziesięciokrotnie w jej lustrzanych paznokciach.

- Pani Missal, pani zachowanie było osobliwe - powiedział Wexford. - Początkowo okłamała mnie pani, mówiąc, że nie zna pani Parsons. Być może faktycznie nie poznała jej pani na tamtej fotografii. Ale w przypadku ludzi pani pokroju trudno powiedzieć. Tak często wzniewała pani zamieszanie, że ostatecznie byliśmy w stanie się czegokolwiek dowiedzieć jedynie z rozmów innych ludzi albo z rzeczy, które wymknęły się pani przypadkiem.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Douglas, na litość boską, daj mi papierosa - powiedziała.

- Uznałem, że pani osoba nie ma w tej sprawie znaczenia - ciągnął Wexford - póki w piątek wieczorem coś się nie wydarzyło. Wszedłem do pani salonu i powiedziałem do pani męża, że chciałbym porozmawiać z jego żoną. Pani była tylko zirytowana, ale pan Quadrant był przerażony. Zrobił wtedy coś bardzo dziwnego i widziałem, że się denerwował. Założyłem, że gdy pani mi powiedziała, że byliście razem, on nie będzie chciał, byśmy się o tym

dowiedzieli.

Myślałem więc i myślałem, i wreszcie uświadomiłem sobie, że patrzę na tę małą scenę ze złej strony. Dokładnie pamiętałem słowa, których użyłem, i na kogo patrzyłem... ale zostawmy to teraz i kontynuujmy. Pani Missal, dyrektorka pani szkoły panią pamiętała. Wszyscy sądzili, że zostanie pani aktorką, powiedziała. A pani powiedziała to samo. "Chciałam grać!", powiedziała pani. Nie kłamała pani. To było w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, gdy Minna zostawiła Doon dla Drury 'ego. Pracowałem przy założeniu, że Doon była ambitna, a jej separacja od Minny zdławiła tę ambicję. Jeśli szukałem zrujnowanego życia, nie musiałem szukać dalej.

- W późnych latach nastoletnich Doon z bystrej, pełnej pasji i nadziei dziewczyny stała się kimś pełnym goryczy i pozbawionym złudzeń. Pasowała pani do tego wzoru. Pani wesołość była w istocie bardzo powierzchowna. Och tak, miała pani swoje romanse, ale czy to nie było logiczne? Czy nie był to sposób pocieszania się po czymś prawdziwym i prawdziwie, której nie mogła pani mieć?

Przerwała mu wtedy i krzyknęła buntowniczo:

- I co z tego? - Wstała i kopnęła jedną z książek, aż przeleciała po podłodze i uderzyła w ścianę u stóp Wexforda. - Chyba pan oszalał, jeśli pan sądzi, że to ja jestem Doon. Ja nie wdałabym się w tak obrzydliwą... oburzającą sprawę z inną kobietą! - Ściągając ramiona, prezentując im swoją pleć, odżegnywała się od perwersji, jakby była to jakaś deformacja jej ciała. - Nienawidzę tych rzeczy. Niedobrze mi się od nich robi! Nie znosiłam ich w szkole. Wszędzie to widziałam, cały czas....

Wexford podniósł książkę, którą kopnęła, i z kieszeni wyjął inną. Kwiat na bladozielonym zamszu wyglądał jak kurz.

- To była miłość - powiedział cicho. Helen Missal wzięła głęboki wdech. - To nie było obrzydliwe ani oburzające.

Dla Doon to było piękne. Minna musiała tylko słuchać i być łagodna, musiała być tylko miła. - Wyrzał przez okno, jakby zainteresowany stadem ptaków lecących w formacji w kształcie liścia. - Minna proszona była tylko o to, by wychodziła z Doon, by jadła z nią lunch, jeździła po drogach, po których spacerowały, gdy były młode, słuchała, gdy Doon mówiła o swoich marzeniach, które nigdy się nie ziściły. Proszę posłuchać - powiedział. - To było tak. - Palcem miał założoną stronę w książce. Otworzył ją i zaczął czytać:

- Gdyby miłość była różą, A ja byłbym liściem. Nasze życia wzrastałyby razem, Czy słońce, czy deszcz".

Fabia Quadrant poruszyła się i odezwała. Jej głos wydawał się dochodzić z daleka, odszukując zwrotkę w starych wspomnieniach.

- Brunatne pola czy zwiędłe kwiecie. Zielona rozkosz czy szary żal..."

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała. Mąż chwycił ją za nadgarstek, ściskając palcami drobne kości. Gdyby śmiał, pomyślał Burden, zatkałby jej usta.

- Gdyby miłość była różą - powiedziała - ja byłabym liściem".

Przerwała jak dziecko czekające na oklaski, które powinno otrzymać dwanaście lat wcześniej i które już nigdy się nie rozlegną. Wexford słuchał, rytmicznie wachlując się książką. Delikatnie wyjął marzenie z jej rąk.

- Ale Minna nie słuchała - powiedział. - Nudzila się. Widzi pani, ona już nie była Minną - zwrócił się poważnie do kobiety, która dokończyła wiersz. - Była gospodynią domową, była nauczycielką, która lubiła rozmawiać o gotowaniu i robieniu na drutach z kimś podobnym do siebie. Z pewnością pani pamięta - powiedział swobodnym tonem - jak duszno było we wtorek po południu. W samochodzie musiało być bardzo gorąco. Doon i Minna zjadły lunch, znacznie większy lunch, niż

Minna zjadłaby tutaj... Była znudzona i zasnęła. - Podniósł głos, ale nie z gniewu. - Nie mówię, że wtedy zasłużyła sobie na śmierć, ale prosiła się o to!

Fabia Quadrant strząsnęła dłoń męża i podeszła do Wexforda. Z godnością zbliżyła się do jedyne go człowieka, który to rozumiał. Jej mąż ją chronił, pomyślał Burden, przyjaciele się odsunęli, ta, którą kochała, po prostu się nudziła. Zrozumiał ją wiejski policjant. Nie śmiał się ani nie wzdragał.

- Zasłużyła na śmierć! Zasłużyła! - Złapała za klapy płaszcza Wexforda. - Tak bardzo ją kochałam. Panu mogę o tym powiedzieć, bo pan rozumie. Widzi pan, miałam tylko swoje listy. - Twarz miała teraz melancholijną, głos miękki i drżący. - Żadnych książek. - Powoli pokręciła głową jak dziecko, które odmawia przyjęcia ciężkiej nauki. - Żadnych wierszy. Ale Douglas pozwolił mi pisać moje listy, prawda, Douglasie? Tak bardzo się bał... - Emocje się w niej gotowały, zalewały jej twarz, policzki płonęły, kąpała się w żarze wpadającym przez okno. - Tu nie było się czego bać! - Jej słowa były nutami w crescendo, ostatnie było krzykiem. - Gdyby tylko pozwolili mi ją kochać... kochać ją, kochać... - Rękami zaczęła szarpać włosy. - Kochać ją, kochać...

- O Boże! - powiedział Quadrant, kuląc się na skrzyni. - O Boże!

- Kochać ją, kochać... Zielona rozkosz albo szary żal..." - Przypadła do Wexforda i zapłakała w jego ramię. Objął ją, zapominając o zasadach, i zamknął okno.

- Może pan wyprowadzić panią Missal - zwrócił się do Burdena, nadal ją trzymając. - Proszę dopilnować, by bezpiecznie dotarła do domu.

Helen Missal zapadła się w sobie jak wędnący kwiat. Nie podnosiła wzroku, a Burden prowadził ją przez drzwi, na klatkę schodową i w dół po ciemnych schodach. To nie był dobry moment, ale wiedział, że Wexford wkrótce

będzie musiał powiedzieć: Fabio Quadrant, ma pani prawo odmówić zeznań, a wszystko, co pani powie...".

Opowieść o miłości dobiegła końca i wybrzmiał ostatni wers wiersza.

Prawda jest wielka i zwycięży.

Coventry Patmore,
Magna est Veritas

Doon napisała do Minny dokładnie sto trzydzieści cztery listy. Żaden nie został wysłany ani nawet nie opuścił biblioteki Quadrantów, gdzie w niedzielne popołudnie w szufladzie biurka znalazł je Wexford. Były owinięte różową wstążką, a obok leżała brązowa portmonetka ze złotym zatrzaskiem. Stał dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniego wieczora, gdy nic o tym jeszcze nie wiedział, z dłońmi o kilka cali od tej wstążki, portmonetki i tych szalonych listów.

Burden, przeglądając je pobieżnie, zrozumiał, dlaczego dedykacje w książkach dla Minny Doon pisała drukowanymi literami. Pismo odręczne go zniechęciło. Było pajęczne i trudne do odcyfrowania.

- Chyba lepiej je zabrać - powiedział. - Sir, będziemy to wszystko czytać?

Wexford przejrzał je dokładniej, oddzielając znaczące od kompletnie obłąkanych.

- Myślę, że tylko pierwszy i ostatnie dwa - uznał. - Biedny Quadrant. To piekło, nie życie! Mike, zabieramy to na komendę. Mam nieprzyjemne uczucie, że niania podsłuchuje pod drzwiami.

Upał światło odarły dom z jego charakteru. Był jak grawerowana stal. Kto by go kupił, wiedząc, co ukrywał? Mógłby być szkołą, dumął Burden, albo hotelem, albo

domem starców. Staruszkowie pewnie gawędziliby, wspominali i oglądali telewizję w pokoju, w którym Fabia Quadrant pisała do kobiety, którą zabiła.

Przez trawnik poszli do samochodu.

- Zielona rozkosz i szary żal" - powiedział Wexford. - To jak raz podsumowuje to miejsce.

Na komendzie wszyscy o tym mówili, kręcąc się po holu. To było wydarzenie, które pojawiło się w odpowiednim momencie, właśnie gdy wszyscy zaczynali się coraz bardziej męczyć śledztwem w upale. Morderczyni, kobieta... W Brighton to jeszcze, pomyślał Burden, ale tutaj! Dla sierżanta Camba niedzielna służba była dzięki temu łatwiejsza do zniesienia; żółtodziób Gates, który prawie już podjął decyzję o rezygnacji, dzięki temu zaczął się zastanawiać, czy jednak nie zostać.

Gdy Wexford wszedł, wpuszczając powietrze do dusznego wnętrza, rozproszyli się. Zupełnie jakby wszyscy nagle zajęli się ważnymi sprawami.

- Co, gorąco się zrobiło? - warknął Wexford. Wpadł do swojego biura.

Okna były cały czas otwarte, ale na biurku nie poruszył się żaden papier.

- Mike, żaluzje. Niechże pan zaciągnie żaluzje! - Wexford rzucił marynarkę na krzesło. - Kto, do diabła, zostawił otwarte okna? Klimatyzacja przez to nie działa.

Burden wzruszył ramionami i opuścił żółte listewki. Widział, że plotki, których nienawidził, wprawiły Wexforda we wściekłość. Jutro w całym mieście będzie huczeć od spekulacji, mądrzy po szkodzie. Rano będą musieli ją postawić przed sądem specjalnym... ale to był jego dzień wolny. Rozpromienił się, gdy pomyślał, że zabierze Jean nad morze.

Wexford usiadł i położył na biurku pęk listów, gruby jak manuskrypt długiej powieści albo autobiografia,

autobiografia Doon. Teraz biuro było zacienione, przez żaluzje przesączały się wąskie strużki światła.

- Myśli pan, że gdy się z nią żenił, to o tym wiedział? - zapytał Burden. Zaczął przeglądać listy, tu i ówdzie wylawiając możliwe do odczytania zdanie. - "Doprawdy, złamałaś mi serce i cisnęłaś kielichem wina o ścianę..." - przeczytał z zażenowanym zdumieniem.

Wexford ochłonął już nieco i kręcił się na swoim fioletowym krześle.

- Bóg jeden wie - westchnął. - Myślę, że zawsze uważał się za dar od Boga dla kobiet, a poślubienie go sprawi, że zapomni o Minnie. - Palcem wskazującym postukał w jeden z listów. - Wątpię, czy to małżeństwo zostało w ogóle skonsumowane. - Burden wyglądał na nieco zniesmaczonego, ale Wexford kontynuował: - "Dla tego drugiego mieszkańca moich trzewi moje ciało było jak zagaszona świeczka". - Popatrzył na Burdena. - I tak dalej, i tak dalej. W porządku, Mike, trochę to niesmaczne. - Gdyby nie było tak gorąco, walnąłby pięścią w blat. - W sądzie będą musieli się tym zająć.

- To musi być okropne dla Quadranta - powiedział Burden. - Ze względu na panią Missal i innych.

- Myliłem się co do niej. Co do pani Missal. Ona naprawdę zakochała się w Quadrancie, szalała za nim. Gdy sobie uświadomiła, kim jest pani P. i przypomniała, co się działo w szkole, uznała, że to Quadrant ją zabił. Potem oczywiście połączyła to z jego zachowaniem wlesie. Nie rozumie pan, Mike...? - Wexford był skupiony, ale myślami przebywał daleko. - Niech pan sobie wyobrazi tok jej rozumowania, gdy powiedziałem jej, kim była pani P. Przypomniała sobie, jak Quadrant nalegał, żeby pojechać na tamtą drogę, jak zostawił ją w samochodzie, jak po długim czasie poszła za nim, zobaczyła ognik zapalki w krzakach, może go zawołała. Założę się, że gdy do niej wrócił, był blady jak prześcieradło.

Potem, wczoraj, rozmawiałem z nią i ją zaskoczyłem. Przez ułamek sekundy miała zamiar powiedzieć mi o Fabii, ojej wszystkich porzuconych ambicjach. Powiedziała mi o tym, gdyby nie wszedł Missal. Wobec tego zadzwoniła do Quadranta w ciągu tych pięciu minut, których potrzebowałem, żeby dotrzeć do jego domu, i wyszła, żeby się z nim spotkać. Spytałem ją, czy wybiera się do kina! On nie przyjechał. Pewnie walczył z Fabią. Wieczorem znowu do niego zadzwoniła i powiedziała, że wie, że Doon to Fabia, że wie, że w szkole kochała się w pani P. Potem on musiał powiedzieć, że chce pójść do domu Parsonsów i zająć się książkami na wypadek, gdybyśmy do nich zajrzeli. Niech pan pamięta, że nigdy ich nie widział - nie wiedział, co w nich jest. Pani Missal zobaczyła ogłoszenie na tablicy w kościele. Jest tuż przy jej domu. Powiedziała Quadrantowi, że Parsonsa nie będzie w domu...

- A Fabia miała klucz - dokończył Burden. - Klucz, który pani P. zostawiła w samochodzie, zanim została zamordowana.

- Quadrant musiał chronić Fabię - powiedział Wexford. - Nie mógł być mężem, ale mógł być opiekunem. Musiał się upewnić, że nikt się nie dowie, jak faktycznie to wygląda między nimi. Mike, ona była szalona, kompletnie stuknięta, i całe jego życie poszłoby z dymem, gdyby to się wydało. Poza tym miała pieniądze. W porównaniu z nimi jego dochody z praktyki to ochłapy. Ale nic dziwnego, że wymykał się wieczorami. Pomijając fakt, że ewidentnie ma duże potrzeby seksualne, wszystko było lepsze od wysłuchiwania niekończących się opowieści o Minnie. To musiało być nie do wytrzymania.

Zamilkł na chwilę, przypominając sobie dwie swoje wizyty w tym domu. Jak długo byli małżeństwem? Dziewięć lat, dziesięć? Najpierw aluzje i przeprosiny; potem huragany namiętności, wspomnienia, które nie chciały zniknąć, gorzka uraza wobec przypadkowego

zauroczenia, które spaczyło całe życie.

Ze straszną delikatnością, gorszą od wszelkiej niezręczności. Quadrant musiał próbować zdjąć to zakłęcie. Wexford oderwał swoje myśli od tych usiłowań, znowu czując dygot kobiety na strychu, jej serce walące o jego pierś.

Burden, którego wiedza o Quadrantach nie była tak osobista, wyczuł wycofanie się szefa.

- Potem Minna wróciła jako pani Parsons - powiedział. - Fabia ją spotkała - jeździły na przejażdżki samochodem Quadranta. We wtorek z niego nie korzystał, ale ona tak. Gdy we wtorek wieczorem Fabia wróciła do domu, powiedziała mu, że zabiła panią P. Stało się to, czego się zawsze obawiał, jej stan psychiczny doprowadził do wybuchu agresji. Pierwsze, o czym pomyślał, to że musi ją z tego wyciągnąć. Powiedziała mu, gdzie jest ciało, a on pomyślał o oponach samochodu.

- Dokładnie - powiedział Wexford, kolejny raz skupiając się na pobocznym szczególe. - Wszystko, co mi powiedziałem na tym strychu Parsonsów, było prawdą. Pojechał nabrać błota na opony i przyjrzeć się ciału. Nie ze względu na ciekowość czy sadyzm - jakkolwiek musiał czuć i nienawiść w stosunku do pani P., - ciekawość, na Boga! - ale po prostu po to, by się przekonać, że *faktycznie* tam była. Z tego, co nam wiadomo, Fabia nie zawsze rozumowała przytomnie. Potem pani Missal upuściła swoją szminekę. Jest po prostu roztrzepana, jak powiedział Quadrant, i była to zwykła nieuwaga. Miał nadzieję, że nie wpadniemy na to, żeby przesłuchać Fabię, przynajmniej przez jakiś czas. Gdy w piątek wieczorem wkroczyłem do salonu pani Missal...

- Rozmawiał pan z Missalem - przerwał mu Burden - ale patrzył na Quadranta, bo obaj byliśmy zaskoczeni, widząc go tam. Powiedział pan: "Chciałbym zamienić słowo z pańską żoną", a Quadrant pomyślał, że mówi pan do niego.

- Podejrzewałem go aż do wczorajszego popołudnia - przyznał Wexford. - Potem spytałem, czy znał panią P., a on się roześmiał i wiedziałem, że to nie on jest Doonem. Powiedziałem, że od tego śmiechu zrobiło mi się zimno, i nic dziwnego, Mike, dużo się mieściło w tym śmiechu. Widział zwłoki pani P. i jej zdjęcie w gazecie. Musiał być mocno rozgoryczony, myśląc o tym, co doprowadziło jego żonę do szaleństwa i zniszczyło jego małżeństwo.

- Powiedział, że nigdy nie widział jej żywej - zauważył Burden. - Ciekawe, dlaczego nie? Zastanawiam się, dlaczego nie próbował jej zobaczyć.

Wexford się zamyślił. Złożył wstążkę i odsunął ją wraz z portomentką i kluczem. W szufladzie palcami musnął coś gładkiego i błyszczącego.

- Bo nie miał odwagi - powiedział. - Niech pan sobie wyobrazi, że bogata, inteligentna, piękna dziewczyna, taka jak Fabia, mogłaby odnaleźć w niej to, czego szukała... - Zamienił zdjęcia, odejmując dwanaście lat. - Pańska kumpelka, panna Clarke, przyniosła mi zdjęcie. Podsunęło mi to kilka pomysłów, zanim dostaliśmy informacje z Colorado.

Margaret Godfrey była jedną z pięciu dziewcząt na kamiennym siedzisku i siedziała pośrodku rzędu. Te, które stały z tyłu, opierały dłonie na ramionach siedzących. Burden naliczył dwanaście twarzy. Wszystkie pozostałe się uśmiechały, ale jej twarz była spokojna. Białe czoło było bardzo wysokie, oczy duże i pozbawione wyrazu. Usta miała zaciśnięte, kąciki leciutko uniesione, i patrzyła w aparat tak, jak Gioconda patrzyła na Leonarda...

Burden wyłowił Helen Missal z włosami skręconymi w niemodne loki; Clare Clarke z warkoczami. Wszystkie oprócz Fabii Quadrant patrzyły w aparat. Ona stała za dziewczyną, którą kochała, spoglądając na dłoń obróconą ku górze, na opadającą rękę, odsuwającą się od jej własnej. Ona także się uśmiechała, ale brwi miała

ściągnięte, a dłoń, którą trzymała i pieściła, wisiała bezwładnie nad rękawem przyjaciółki. Burden wpatrywał się w zdjęcie, świadomy tego, że widzą dowód na pojawienie się pierwszej chmury przysłaniającej twarz miłości.

- Jeszcze tylko jedna rzecz - dodał. - Powiedział pan, że wczoraj zastał panią Quadrant na lekturze. Zastanawiam się, czy... Ciekaw jestem, co to była za książka.

Wexford uśmiechnął się, otrząsając z melancholii.

- Science fiction - odparł. - Ludzie są niekonsekwentni.

Potem przysunęli krzesła do biurka, rozłożyli przed sobą listy i zaczęli czytać.

POSŁOWIE

pióra Ruth Rendell

Z najlepszymi życzeniami śmierci to moja pierwsza opublikowana powieść. Napisałam dwie inne, jedną z nich wydawca widział, raczej mu się podobała i spytał, czy napisałam coś jeszcze. Tym, co faktycznie napisałam, była powieść detektywistyczna. Napisałam ją dla zabawy, żeby się przekonać, czy potrafię, a także dlatego, że miałam coś, co uznałam za dobrą i poniekąd obiecującą fabułę. Koniecznie musiał w niej wystąpić oficer śledczy, i tak narodził się nadinspektor Wexford.

Gdyby tylko urodził się w roku 1964, nie musiałabym później radzić sobie z problemem detektywa zawsze za starego do swojej pracy.

Jednak tego roku, gdy *Z najlepszymi życzeniami śmierci* zostało wydane po raz pierwszy, nie miałam pojęcia, że będzie miało kontynuację, że Wexford zyska popularność, będzie miał masę czytelników i pojawi się w telewizji. Dla mnie było to jednorazowe podejście, a następna książka, jaką napisałam, była kryminałem, choć nie powieścią detektywistyczną.

Wówczas, dzięki wspinałym pisarkom, takim jak Patricia Highsmith i Josephine Tey, na podstawie sztywnych zasad komponowania kryminałów kształtowała się literatura detektywistyczna i sensacyjna. Stopniowo "mysteries", "kryminały", żeby użyć uniwersalnego obecnie amerykańskiego określenia, traciły swój aspekt trupa w bibliotece", zestaw typowych bohaterów, zebrania się wszystkich podejrzanych tuż przed końcem i, po niespodziewanej wolcie, szokującego zakończenia. W *Z najlepszymi życzeniami śmierci* są

twisty i niespodzianki, sędzę jednak, że występujące w niej postaci mogłyby znaleźć się w literaturze mainstreamowej, podobnie jak fabuła opierająca się na kobiecie zakochanej w innej kobiecie. Być może to właśnie te rzeczy doprowadziły do niewielkiego sukcesu, publikacji w Ameryce i przekładów moich książek na języki europejskie.

Była tutaj oczywiście zagadka i suspens. Sądziłam, że nie wiem, w jaki sposób stworzyć suspens. W zasadzie nigdy się nad tym szczególnie nie zastanawiałam. Stwierdziłam jednak, że potrafię. W każdym razie wydawcy i recenzenci tak twierdzili i teraz uważam, że suspens to niezbędny element nie tylko w przypadku kryminału, ale fikcji w ogóle. Bo co, jeśli nie ciekawość, co będzie dalej, sprawia, że czytelnik nadal odwraca strony? Co innego sprawia, że czytelnik nie chce odkładać książki?

Z najlepszymi życzeniami śmierci zaczyna się od zaginionej kobiety. Tak jak większość postaci kobiecych, jest gospodynią domową. Był to rok 1964. To mężczyźni byli lekarzami i dentystami, oficerami policji, prawnikami i przedsiębiorcami. Miasteczko, w którym żyją ci ludzie, mieściło się w Sussex, a choć nosiło nazwę Kingsmarkham, wzorowałam je na Midhurst, gdzie mieszkałam przez jakiś czas w dzieciństwie. Byłam akurat na wakacjach w Irlandii i nazwisko mojego nadinspektora mogło równie dobrze brzmieć Waterford, ale zdecydowałam się na Wexforda. Bardziej podobało mi się jego brzmienie.

Zaczął jako raczej twardy glina. Później, gdy pojawiał się w kolejnych książkach, to się zmieniło. Skoro miałam żyć z tym człowiekiem, to chciałam, by był wykształcony, bardziej liberalny, grzeczniejszy, wrażliwszy. Byłam zdecydowana nie pozwolić mu stać się jednym z tych detektywów, którzy niszczą swoje małżeństwa, mieszkają w maleńkich, podupadających mieszkaniach, za dużo

piją, są zgorzkniali i posepni. Wexford musiał mieć udane życie domowe, i przy jego pierwszej sprawie mamy tego przedsmak. Widzimy go jako, mam nadzieję, człowieka dającego się lubić, ale który nie znosi głupców. Człowieka, którego dwadzieścia lat później na ekranie odtworzył George Baker. Ja Wexforda opisałam jako brzydkiego, ale George zmienił go w przystojnego mężczyznę z lekkim akcentem z Sussex i moi czytelnicy widzą go właśnie takim. Zawsze, czy to na papierze, czy w filmie, był duży i wysoki, i ciągle miał problemy z wagą.

Margaret Parsons, ta zamordowana kobieta, dziś mogłaby nie istnieć. Mając zaledwie trzydzieści lat, była religijna, zaangażowana w życie kościoła, bardzo szacowna, dumna i staroświecka nawet jak na rok 1964. Mąż dawał jej pięć funtów tygodniowo na utrzymanie domu. Nie miała dzieci. Morderstwo wydawało się pozbawione motywu. Jaką krzywdę wyrządziła komukolwiek, kiedykolwiek? Jakie cierpienie wywołała? Nie miała przyjaciół, chyba że jest nim tajemniczy Doon - mężczyzna? Tym, co mogło ich łączyć, było upodobanie do poezji wiktoriańskiej, od cytatu z której zaczęłam każdy rozdział. Matthews Arnold, Tennyson, Christina Rossetti, Swinburne, wszyscy oni przenikają tę książkę. Większość tej rzewnej pisaniny miała, gdy tworzone ją w dziewiętnastym wieku, rys romantyczny. Teraz widzimy w niej namiętą tęsknotę, ale także niemal nieznośną frustrację seksualną. I o tym właśnie jest *Z najlepszymi życzeniami śmierci*: nie tylko o cierpieniu kobiety, której odmówiono spełnienia jej miłości do innej kobiety, ale także o wyparciu faktu, że taka miłość w ogóle może istnieć.

Pięćdziesiąt lat później, gdy Margaret Parsons jest anachronizmem, jej niedoszła kochanka musi się wydawać nie na miejscu. Dziś byłaby tylko kobietą o odmiennych niż większość jej przyjaciół czy sąsiadów gustach seksualnych, akceptowaną przez wszystkich

poza bigotami, nawet już niespecjalnie interesującą. Przymuszczałnie żyłaby z inną kobietą, bardzo możliwe, że w związku partnerskim. Nigdy nie wyszłaby za mąż, choć mogłaby mieć dzieci.

Współcześnie nie mogłaby powstać książka tego rodzaju. Maniery, język, życie społeczne i jego rytm zmieniły się ponad wszelkie wyobrażenie. Była to kolebka pięćdziesięcioletniego Wexforda, pokazanie czytelnikom Kingsmarkham, ziemi dziadków, gdzie nadal są zagajniki wiazów i żywopłoty dzielące pola, gdzie kobiety robią na drutach i same szyją sobie ubrania, a przejście na dziesiąty system płatniczy to nadal kwestia przyszłości.

Ci, którzy czytają *Z najlepszymi życzeniami śmierci* po raz pierwszy, mogą potraktować tę książkę jako powieść historyczną, osadzoną w przeszłości tak odległej, jak wiktoriańska poezja.

Ruth Rendell,

Marzec 2014